

NAUKA • BADANIA • KULTURA

Rok XXXI (XLVII) / nr 11–12 (410)

grudzień 2022 / cena 5 zł

ISSN 1230-9710

Ukazuje się od 1952 roku

GŁOS UCZELNI

CZASOPISMO UNIwersYTETU MIKOŁAJA KOPERNIKA W TORUNIU

**Hejt – zjawisko
psychoaktywne**

s. 7–10

**Konopnicka.
Arcypoetka**

s. 23–27

Po co nam Święta?

s. 36–39

**Święty Mikołaj – szkic
do portretu literackiego**

s. 66–69

Spokoju i pokoju - na święta i cały rok!



UNIwersYTET
MIKOŁAJA KOPERNIKA
W TORUNIU

KONCERT SPECJALNY PAMIĘCI GRZEGORZA CIECHOWSKIEGO

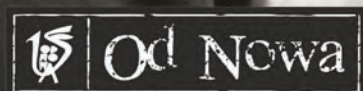
17 GRUDNIA 2022

godz. 20.00

Od Nowa

ul. Gagarina 37a

Toruń



WRĘCZENIE NAGRODY ARTYSTYCZNEJ MIASTA TORUNIA IM. GRZEGORZA CIECHOWSKIEGO

bilety: 100 zł w przedsprzedaży (120 zł w dniu koncertu) | EmpikBilety.pl | aplikacja Going. | Od Nowa (ul. Gagarina 37a)



UNIWERSYTET
MIKOŁAJA KOPERNIKA
W TORUNIU



MIASTO
TORUŃ

RADIO GRA

WYBORCZA

Mercure
HOTEL
TORUŃ CENTRUM

GRODA

GONDEK
STAGE & EVENTS

LECH

Głos na stronie

Przyznam, że pisanie felietonu do czasopisma ukazującego się raz na kilka tygodni to ostatnimi czasy spore wyzwanie. Tyle się dzieje, tyle tematów rozgrzewa się i stygnie błyskawicznie. Z poprzednim „Głosem na stronie” wyszło jednak jak z dzieśiątką w tarczy. Nie żebym nieskromnie sądził, że „Głos” ląduje na biurkach decydentów (i jeszcze na dodatek jest z uwagą czytany), ale nauczycielskie protesty oraz późniejsze ataki na lekarzy znalazły się potem na politycznej mapie aktualności.

Polityki nie cierpię. Ba, wręcz uczulony jestem na socjotechniczne sztuczki stosowane przez panów w garniturach oraz panie w garsonkach. Dziennikarz nie może jednak pozwolić sobie na komfort i stwierdzenie w rodzaju: Panie, mnie tam polityka nie interesuje, telewizji nie oglądam, gazet nie czytam.

Zwłaszcza gdy polityka wchodzi także na nasze akademickie podwórko. Pewien poseł stwierdził publicznie, że nikt nie musi być lekarzem, a jak nie chce pracować po studiach w tym zawodzie, to niech odda półtora miliona złotych za swoje wykształcenie (skąd taka kwota – nie wiem). Zaleciało aromatem już nie tylko PRL-u, ale wręcz stalinowskich czasów. Na szczęście już tylko dość wiekowi czytelnicy pamiętają skierowania do przymusowej pracy po studiach.

Oczywiście są tacy, którym taki sposób rozumowania się spodoba. A niech te doctory, magistry płacą, nieroby jedne, zdrajcy narodu! Ale, zapytam grzecznie, za co? Za skorzystanie z konstytucyjnych praw? Przecież edukacja jest w Polsce darmowa. Edukacja jest finansowana z budżetu państwa, a ten z naszych podatków. Idąc na skróty, rzec by można: to rodzice, płacąc podatki w tym kraju, fundują wykształcenie swoim dzieciom. I nie słyszałem, by istniał jakikolwiek przepis mówiący o tym, że jest



obowiązek pracy w wyuczonym zawodzie lub zakaz zmiany zawodu. Wybór studiów to nie jest podpisywanie cyrografu z diabłem.

Idąc tropem myślowym owego posta, należałoby: po pierwsze – zmusić wszystkich emigrantów do zwrotu pieniędzy za wykształcenie pobrane w Polsce (ale jak to zrobić w praktyce?), a po drugie: ścigać tych, którzy w zawodzie nie pracują (w ramach sprawiedliwości społecznej takie ściganie nie może dotyczyć tylko lekarzy). I tu mogę pozwolić sobie na obywatelski donos na dwójkę moich dzieci: córka z dyplomem UMK wyjechała do Holandii i pracuje tam w menagemencie Tesli, a syn porzucił dyplom Wydziału Lekarskiego Collegium Medicum na rzecz zajęcia programisty. I co? Mają płacić?

A co z tymi, którzy chcieliby pracować w zawodzie, ale takiej pracy znaleźć na rynku nie mogą? Tacy z kolei zapewne powinni dostać od państwa odszkodowanie za to, że zmarnowali swój czas na niepotrzebne nikomu studia.

Idźmy dalej tą drogą myślową: z pewnością wszyscy zawodowi parlamentarzyści powinni oddać pieniądze za swoje wykształcenie, bo w zawodzie nie pracują. Nie ma takiego dyplomu jak mgr polityk. Oddadzą? Już to widzę...

Winicjusz Schulz

Redaktor naczelny „Głosu Uczelni”

NAUKA • BADANIA • KULTURA • SPORT

**GŁOS
UCZELNI**

Ten numer „Głosu Uczelni” został zamknięty

24 listopada 2022 roku.

Redaktor prowadzący: Winicjusz Schulz

e-mail: glos-umk@umk.pl

www.glos.umk.pl



Hejt – zjawisko psychoaktywne

s. 7–10



Konopnicka. Arcypoetka

s. 23–27



Granica wytrzymałości

s. 18–22



Sztuka rozumienia rzeczywistości

s. 28–33

NAUKA • BADANIA • KULTURA • SPORT
GŁOS UCZELNI

Zespół redakcyjny: Winicjusz Schulz (redaktor naczelny), Marcin Czyżniewski, Marcin Lutomierski, Maurycy Męczekalski, Tomasz Ossowski, Andrzej Romański, Wojciech Streich, Ewa

Walusiak-Bednarek.

Stale współpracują: Sebastian Dudzik, Jarosław Dumanowski, Marek Jurgowiak, Nikodem Pręgowski, Tomasz Wojciechowski, Sebastian Żurowski.

Adres redakcji: 87-100 Toruń, ul. Reja 25, pokój 7 i 12, tel. 56 611-42-89, 56 611-42-39.

Opracowanie graficzne: Nikodem Pręgowski

Skład: Dariusz Żulewski

Druk: Wydawnictwo Naukowe UMK, ul. Gagarina 5, 87-100 Toruń, tel. 56 611-42-95, e-mail: wydawnictwo@umk.pl

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz ich tytułów.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam.



Po co nam Święta?

s. 36–39



Dieta zimowa

s. 53–55



Święty Mikołaj – szkic do portretu literackiego

s. 63–69

Głos na stronie	3
Jakie ryzyko, taki zysk	6
Hejt – zjawisko psychoaktywne	7
<i>Kosmos i życie</i> – lektura obowiązkowa i uzupełniająca (2)	11
Granica wytrzymałości	18
Konopnicka. Arcypoetka	23
Sztuka rozumienia rzeczywistości	28
Lidia Chylewska-Barakat	34
Po co nam Święta?	36
Wigilia Bożego Narodzenia jako czas duchów	40
Nagroda Nobla 2022	42
Pod czeską banderą	46
Starzenie, wątroba, zakażenia a układ immunologiczny	49
Plażing pod Kanikufą	52
Dieta zimowa	53
Wigilia. O zupie migdałowej, jarmużu z kasztanami i karpia w piernikach	56
Dziedziczenie w Prawie Polskim	61
Czas na kamuflaż	63
Patriotyzm (nie tylko) dla dzieci	64
Święty Mikołaj – szkic do portretu literackiego	66
Sekstanty	70
Jesień z jazzem	75
Fortepian Moździerza	79
Oceaniczne uczucia	81
Historia Wydziału Teologicznego 2001–2022	86

Winicjusz Schulz

Jakie ryzyko, taki zysk

Prof. Katharina Boguslawski oraz prof. Piotr Wciśło – oboje z Wydziału Fizyki, Astronomii i Informatyki Stosowanej UMK znaleźli się w ekskluzywnym gronie laureatów europejskich grantów ERC (*European Research Council*), czyli Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych.

O niezwykłym prestiżu tego wyróżnienia niech świadczy to, że ubiegało się o nie tysiące uczonych z całego świata, a ostatecznie ze wszystkich polskich szkół wyższych uzyskały je zaledwie cztery osoby z Polski, w tym właśnie wspomniana dwójka z UMK (wcześniej goszcząca już na łamach „Głosu” ze swymi badaniami). Pozostali to: dr Adam Kłosin z Instytutu Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego Polskiej Akademii Nauk oraz dr inż. Rafał Kucharski z Wydziału Matematyki i Informatyki Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Warto dodać, że ERC to nie tylko prestiż przekładający się na pozycję uczonego i jego uczelni w świecie, ale także znaczące fundusze na badania prowadzone przez laureata i jego zespół. Prof. Piotr Wciśło otrzymał 1.923.239 euro na projekt *New experimental methods for trapping cold molecular hydrogen* (Nowe eksperymentalne metody pułapkowania molekularnego wodoru), zaś dr hab. Katharina Boguslawski, prof. UMK – 1.218.088 euro na realizację projektu *Devising Reliable Electronic Structure*

Schemes through Eclectic Design (Opracowanie niezawodnych schematów metod badania struktury elektro nowej poprzez eklektyczny design).

Warto dodać kilka wiadomości o samym konkursie Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych – agencji utworzonej przez Komisję Europejską w 2007 r. Jej propozycja grantowa kierowana do naukowców z całego świata, bez względu na wiek i uprawianą dyscyplinę nauki – pod warunkiem, że badania będą prowadzone na terenie Unii Europejskiej, a zgłaszane projekty są bardzo nowatorskie. Przyznawanych jest kilka rodzajów grantów: *Starting Grant* – dla początkujących naukowców i naukowczyń (2–7 lat po doktoracie), *Consolidator Grant* – dla wzmacniających własne zespoły badawcze (7–12 lat po doktoracie), *Advanced Grant* – dla już doświadczonych badaczy i badaczek, *Synergy Grant* – dla zespołów naukowych wspólnie prowadzących projekty oraz *Proof of concept* – skierowany do laureatów ERC poprzednich edycji.

Dobrze oddaje charakter tej inicjatywy jej motto: *High risk – high gain* (Wysokie ryzyko – wysoki zysk).

22 listopada ogłoszono laureatów programu *Starting Grant*. Na prawie trzy tysiące wniosków najwięcej dotyczyło nauk fizycznych i inżynierskich. W całym konkursie 636 mln euro trafi do 408 autorów projektów. Granty będą realizowane przez pięć lat w 26 europejskich krajach.



Fot. Andrzej Romański



Hejt – zjawisko psychoaktywne

Z dr. hab. Wiktorem Dróždą, prof. UMK, kierownikiem Katedry Psychiatrii na Wydziale Lekarskim, o psychicznych aspektach i skutkach mowy nienawiści w kontekście powszechnego oddziaływania hejtu zarówno na samych sprawców, jak również adresatów i biernych uczestników, rozmawia Tomasz Ossowski

Fot. nadesłana

– Mowa nienawiści wydaje się wszechobecna. Stykamy się z nią niemal codziennie. Istotą angielskiego terminu „hate speech” jest interakcja, oddziaływanie nacechowanej negatywnie wypowiedzi na określoną osobę lub grupę osób, zwłaszcza na ich emocje i psychikę.

– Niestety, jest obecna w wielu odmianach i w wielu miejscach. Zbyt wielu. Stała się zjawiskiem dość powszechnym. Jej oddziaływanie dotyczy, a raczej razi mocą pocisku wiele osób. Warto jej poświęcać uwagę, podejmować refleksję nad przyczynami i środkami zaradczymi wobec jej następstw. Pamiętajmy, że przemoc jest językiem komunikacji społecznej w krajach autorytarnych. Nie powinna być obecna w relacjach osobowych w krajach demokratycznych, w których wartość jednostki stanowi jeden z fundamentów życia społecznego. Uzasadniona jest zatem, ujęta w ramy normy politycznej i prawnej, troska o eliminację mowy nienawiści z przestrzeni publicznej.

– Hejt jest wielowymiarowy: jednostkowy, społeczny, kulturowy, polityczny, medialny. Czy moż-

na go również ujmować przez pryzmat kondycji psychicznej danej zbiorowości i poszczególnych jej członków?

– Z pewnością. Wszyscy to odczuwamy, jednak nie postrzegam siebie jako eksperta w aspektach zbiorowych tego zjawiska. Najbliższa jest mi perspektywa indywidualna, ponieważ w swojej praktyce lekarskiej spotykam osoby dotknięte napiętnowaniem przez mowę nienawiści. Najczęściej to nastolatki, dla których grupa rówieśnicza jest najważniejszą płaszczyzną odniesienia, nie tylko społecznego, ale wręcz egzystencjalnego. Osoby dorosłe na ogół lepiej niż młodzież radzą sobie z hejtem, posiadają zwykle lepsze oparcie społeczne, własne osiągnięcia, poczucie wartości. Potrafią też w skrajnych przypadkach zorganizować sobie pomoc prawną. Z mojego punktu widzenia najbardziej zagrożone skutkami mowy nienawiści są osoby młode, wchodzące w dorosłe życie. Niestety, trzeba przyznać, że brutalizacja obyczajów i przeniesienie ogromnej części interakcji społecznych do przestrzeni cyfrowej, zapewniającej większy stopień anonimowości, a także zanik autorytetów i uznanie, że każdy pogląd jest uprawniony, to czyn-

niki w moim przekonaniu sprzyjające pojawianiu się mowy nienawiści. Ponadto zauważalny jest swoisty kult przemocy obecny we współczesnej kulturze (a raczej w antykulturze). Dlatego dla niektórych sukcesem, osiągnięciem, powodem do satysfakcji i poczucia spełnienia jest gnębienie, psychiczne maltretowanie i dyskredytowanie innych osób poprzez hejt, który można opisać jako metodę psychicznego niszczenia drugiego człowieka.

– Jak psychiatra zdiagnozowałby osobowość hejtera, przy założeniu że jest on tzw. przeciętnym człowiekiem i dobrowolnie używa mowy nienawiści w ogólnie dostępnej werbalnej przestrzeni komunikacyjnej, a nie należy do „zawodowych” trolli realizujących konkretne zamówienia na hejt.

– Konieczne jest zastrzeżenie, że nie diagnozuję typowego hejtera jako psychiatra, ponieważ zgodnie z kanonem medycznym mogę to zrobić jedynie wtedy, gdy zgłasza się do mnie po pomoc człowiek cierpiący – pacjent. Dotychczas żaden z moich pacjentów nie oznajmił, że jego problem polega na generowaniu hejtu. Twórcy mowy nienawiści zazwyczaj cieszą się w swoim mniemaniu doskonałym stanem zdrowia psychicznego i nie potrzebują żadnych w tym względzie korekt. Zatem mogę jedynie jako człowiek, nauczyciel akademicki, badacz zajmujący się psychiką, naszkicować sylwetkę psychiczną hejtera, mając do czynienia z ofiarami jego/jej działań oraz korzystając z dostępnego na ten temat piśmiennictwa. Organizatorzy hejtu to zazwyczaj osoby o narcystycznych cechach osobowości, przeceniające swoją wartość i swoją rolę społeczną, skłonne do przemocy, z tendencjami wielkościami i paranoicznymi, obdarzone ponadprzeciętną zdolnością do manipulowania innymi ludźmi. Niekiedy przeciwnie – to pełni złości i agresji frustraci, tchórzliwie ukrywający swoją tożsamość w Internecie. Są to osoby kierujące się negatywnymi motywacjami, takimi jak zawiść, nietolerancja, dążące do wyrządzenia innym ludziom jak najbardziej dotkliwej krzywdy i zdegradowania swoich ofiar.

– Czy tak zdiagnozowanego hejtera stać na przejaw autokrytycyzmu lub autokorekty i przewartościowania aspektów życia związanych ze stosowaniem mowy nienawiści?

– Z pewnością to możliwe, choć trudne zadanie, wymagające czasu, talentu i zaangażowania innych

osób. Potrzebne są też nadzwyczajne okoliczności i doświadczenia, a także jakiś minimalny, wewnętrzny zasób dobra i poczucia przyzwoitości u hejtera. Skalę problemu może odzwierciedlać na przykład historia osobowej przemiany młodego przestępcy opowiedziana w filmie *Johnny*.

– A jeżeli – posługując się językiem Gombrowiczowskim – każdy z nas jest w jakimś stopniu skłonnością do hejtu podszyty? Jeżeli mamy do czynienia z uśpionym stanem potencjalnym, gotowym zmienić się w stan faktyczny, gdy poziom stresu i frustracji przekroczy krytyczną granicę?

– Oczywiście, każdy może zachować się w sposób dyskryminacyjny, ale osoby empatyczne zatrzymają się, widząc swój błąd. Nawet w stanach nadzwyczajnego napięcia i frustracji można reagować tak, aby nie dochodziło do krzywdzenia innych osób. Niemniej jednak można zrozumieć osoby, które zostają poddane systematycznym szykanom w postaci ośmieszania, deprecjonowania i dyskredytowania, upokarzania, zastraszania i psychicznego dręczenia, obrażania, wyzywania i zniesławiania, co w efekcie wywołuje u nich rozstrój zdrowia psychicznego, a nawet somatycznego z pojawianiem się bezsenności, nadciśnienia tętniczego, udarów, zawałów serca, choroby wrzodowej przewodu pokarmowego, dolegliwości bólowych, itp. Można zatem zrozumieć, że osoby tak doświadczone tracą panowanie nad sobą. Uzasadnione jest przypuszczenie, że hejterzy wręcz dążą do wywołania takich efektów.

– Z drugiej jednak strony, każdy z nas podlega egzystencjalnej presji o różnym natężeniu, zależnym od momentu i okoliczności życiowych, ale nie każdy odreagowuje mową nienawiści...

– Człowiek dojrzały potrafi bronić siebie, własnego dobrego imienia czy szczególnie dla siebie ważnych wartości i osób, jednak z pewnością usankcjonowane możliwości obrony przed mową nienawiści powinny być łatwiej dostępne, a techniki szerzej znane. Potrzebne są programy profilaktyki mowy nienawiści. Możemy też od siebie i innych wymagać stawiania granic nawet słabym przejawom mowy nienawiści, jasnego komunikowania „nie życzę sobie”, „nie akceptuję”, „nie biorę w tym udziału”. Szybko i jasno postawione granice hamują zachowania przemocowe. Jeśli nie reaguje-

my, stajemy po stronie hejtera, bo pozwalamy mu działać.

– Jakie są skutki mowy nienawiści dla psychiki osoby lub grupy osób, wobec których taka mowa jest używana?

– W aspekcie poznawczym i egzystencjalnym zachodzące u ofiary zmiany fenomenalnie opisał Franz Kafka w *Procesie*. W zasadzie każdy narażony na mowę nienawiści czuje się jak bohater powieści Józef K. – jak odczłowieczony obiekt niestusznego oskarżenia, potępiony i torturowany psychicznie już przez sam fakt wszczęcia przeciw niemu procesu, metodycznie, stopniowo prowadzony do samozniszczenia. Uwewnętrzzona opresja staje się narzędziem autodestrukcji, a odczuwany przez ofiarę hejtu ostracyzm potrafi dotkliwie ranić. Nie ma w tym przesady – mowa nienawiści może powodować urazy psychiczne, innymi słowy traumę. W aspekcie emocjonalnym natomiast prawdę o położeniu takiej osoby oddaje spostrzeżenie Jean Paul Sartre'a: „Piekło to inni”. Rzeczywiście, będąc obiektem nienawistnej nagonki, człowiek czuje się, jakby był w piekle: napiętnowania, poniżenia, znieważenia, wykluczenia. Co więcej, człowiek przez długi okres szyskanowany i zaszczuwany może z powodu silnego napięcia emocjonalnego utracić pozytywne relacje rodzinne czy przyjacielskie, ponieważ staje się zniecierpliwiony, rozdrażniony, opryskliwy, skłonny do nieprzemyślanej reakcji – słowem niełatwy. W tym kontekście szczególnie mocno brzmi stwierdzenie Philipa Zimbardo: „Relacje z innymi ludźmi są niezbędne do fizycznego, psychologicznego i społecznego przeżycia i funkcjonowania człowieka”.

– Czy używanie mowy nienawiści, mniej lub bardziej świadome, może zagrażać samemu hejterowi, na przykład powodując pogłębianie się kompleksów, które uważa się za istotną przyczynę stosowania hejtu, i prowadząc do utrwalenia niekorzystnych zmian osobowościowych.

– Niestety, skuteczny hejt, gromadzący wokół lidera grono kibiców i popleczników, których należałoby określać mianem współsprawców, buduje u lidera poczucie mocy i utrwała poczucie bezkarności. Może też skłaniać do wszczynania kolejnych kampanii i seansów nienawiści. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że mamy wtedy do czynienia ze spira-

lą przemocy psychicznej i doskonalenia modus operandi sprawcy.

– A intensywność oddziaływania? Wydaje się, że łatwiej można poradzić sobie z hejtem jednorazowym, natomiast trudniej wyprzeć ze świadomości lub zapomnieć nękanie długofalowe. A może odwrotnie: hejt jednorazowy rani głębiej i trwalej, podczas gdy ten ciągły w końcu znieczula i uodparnia...

– Generalnie lepiej mimo wszystko znosimy jednorazowe silne wydarzenie traumatyczne niż powtarzające się przez długi czas oddziaływanie nękańcych nas urazów psychicznych. Jedną z form ucieczki przed takim procesem jest popadanie w stan psychicznego odrętwienia, zobojętnienia „na wszystko”, na całą rzeczywistość. Taki stan może niektóre osoby prowadzić nawet do zamachu samobójczego, ponieważ życie przestaje mieć wartość i traci sens, a także dlatego, że staje się istnieniem głęboko ułomnym, pozbawionym wartości. Trzeba mocno podkreślić, że długotrwała przemoc psychiczna w postaci hejtu może niektóre osoby skłaniać do odebrania sobie życia. Warto w tym miejscu stwierdzić, że brakuje szeroko zakrojonych programów profilaktyki hejtu, prowadzonych m.in. w szkołach, programów opartych na edukacji do odpowiedzialnego korzystania z mediów społecznościowych, w ramach których młodzi ludzie byłiby uczeni, w jaki sposób identyfikować hejt, nie przyłączać się do niego, a nawet mu przeciwdziałać. Uważam, że istotną strategią radzenia sobie z żywiołami hejtu byłoby ich izolowanie w przestrzeni społecznej. Mogłoby to wygaszać niepożądane zachowania i akcje, a także skłaniać hejterów do refleksji, może nawet do zmiany sposobu funkcjonowania w relacjach z ludźmi.

– Wskutek bieżącego powszechnego korzystania z szeroko pojętej cyberprzestrzeni każdy z nas jest poddawany co najmniej biernemu oddziaływaniu obecnej tam mowy nienawiści. Jak ta bierność wpływa to na naszą psychikę? Odczuwamy sprzeciw, zobojętnienie, czy wręcz przeciwnie – mniej lub bardziej skrywaną aprobatę, a może nawet chęć eskalacji czy anonimowego odwetu?

– Oczywiście reagujemy zgodnie z naszymi indywidualnymi predyspozycjami, zależy to również od konkretnego kontekstu zdarzeń. Wachlarz spo-

tykanych reakcji może być szeroki. Trzeba rozumieć, że jednym z perfidnych celów napaści i nękania jest doprowadzenie ofiary do bezsilnej złości i tego, by reagowała w równie podły sposób, w jaki została zaatakowana. Przez to prawdopodobnie straci dobre zdanie o sobie, ponieważ nienawidzi tak samo jak jest nienawidzona i stanie się jeszcze bardziej podatna na kolejne ataki.

– Czasami można odnieść wrażenie, że im mocniej hejt jest zwalczany, tym bardziej się upowszechnia.

– Być może dlatego, że napiętnowany jest w sferze oficjalnej, uważanej za wytwór pewnej konwencji, w pewnym sensie „sztucznej”, natomiast w sferze nieoficjalnej hejt ma się niestety świetnie. Jak wspomniałem, przez wielu jest traktowany jako część „kultury” przemocy i agresji, wyraz nieskrępowanej wolności, kwintesencja pewności siebie i dowód na moc własnego (destrukcyjnego) wpływu na innych ludzi. Niestety dla niektórych niszczenie innych osób w atmosferze nienawiści i w asyście grona współsprawców daje doprawdy sadystyczną satysfakcję.

– Jak chronić własną kondycję psychiczną przez negatywnym wpływem zalewającej nas fali hejtu?

– Mogę zarekomendować książkę *Porozumienie bez przemocy* Marshalla Rosenberga, nie jako kolejną interesującą lekturę, ale raczej metodę dążenia do porozumienia opartego na empatii i poszukiwaniu tego, co wspólne. Wielu moim pacjentom, którzy zbyt mocno żyją emocjami uniwersum mediów radzę umiar w korzystaniu z nich, „dozowanie” ich w sposób adekwatny do poziomu własnej odporności psychicznej. Nie jest to łatwe, ale

możliwe. Można też budować własne środowisko relacji międzyludzkich wolne od mowy nienawiści i od destrukcyjnych, negatywnych emocji. Można wykluczać spośród ulubionych i znajomych prowodyrów mowy nienawiści, można perswadować innym, zwłaszcza naszym bliskim, by nie ulegali wpływom inspiratorów hejtu i zachowań przemocowych, a także reagowali, zachowując się godnie. Ważne jest docieranie do ludzi młodych, wchodzących dopiero w świat mediów i w realia relacji w grupie rówieśniczej. Możemy ich przekonywać, by odmawiali współudziału w praktykach hejterskich. Ponadto możemy, jako wspólnota, konsekwentnie uznawać nienawiść za nieakceptowalny styl odnoszenia się do innych osób. Za coś nienormalnego i niemieszczącego się w definicji człowieczeństwa. Konflikty mogą być rozwiązywane bez przemocy. Świat mediów stał się, zwłaszcza dla osób młodych, naturalnym środowiskiem komunikacji społecznej. Jestem przekonany, że o to środowisko należy dbać, wzmacniając świadomość konieczności odrzucania lub co najmniej filtrowania trucizny hejtu. Raz jeszcze podkreślę, że mam na myśli wymiar personalny czy interpersonalny tych zjawisk, nie mam kompetencji, by definiować metody zwalczania mowy nienawiści w wymiarze prawnym i politycznym. Zdaję sobie sprawę, że to niezwykle paląca, a zarazem trudna do uregulowania bolączka porządku demokratycznego. Niemniej jednak poprzez wygaszanie praktyk przemocowych w relacjach międzyludzkich możemy tworzyć kulturę komunikacji opartą na porozumieniu i współpracy, która ma szansę stać się wzorcem i stylem obowiązującym również w przestrzeni oficjalnej i publicznej.

– Dziękuję za rozmowę



Kosmos i życie – lektura obowiązkowa i uzupełniająca (2)

Centrum Nowoczesności Młyn Wiedzy w Toruniu, wspólnie z Wydawnictwem Naukowym UMK, zorganizowało spotkanie poświęcone książce *Kosmos i życie* z udziałem autorów prof. prof. Jana Kopcewicz, Włodzisława Ducha i Andrzeja Strobla. Spotkanie prowadził Winicjusz Schulz, red. naczelny „Głosu Uczelni”. Poniżej przedstawiamy, zgodnie z zapowiedzią, drugą część obszernych fragmentów debaty.

Winicjusz Schulz: Homo sapiens, czyli człowiek rozumny. Czyli jaki? Z punktu widzenia biologa i kognitywisty?

Jan Kopcewicz: Uważam, że jako cywilizacja niewątpliwie wykazujemy cechy ogromnego postępu. Z jednej strony mamy duże możliwości, ale z drugiej strony – intensywnie zaprzepaszcza nasze osiągnięcia, rozdrabniając się na jakieś dziwne poczynania i historie, które naszej cywilizacji nie służą. Homo sapiens, człowiek rozumny..., to my sobie dodajemy to „rozumny”, żebyśmy się dobrze czuli.

Włodzisław Duch: Im więcej wiemy o tym, jak wyglądała nasza przeszłość..., np. co potrafili neandertalczyki, to okazuje się, że prawie wszystko to, co

my i pod pewnymi względami nawet więcej. (Warto zwrócić uwagę, że mieli większe mózgi!). Homo sapiens nie tylko, że się mieszał z nimi – mamy kilka procent genów, które po nich odziedziczyliśmy – ale wiele rzeczy, wcześniej odkrytych przez neandertalczyków, wydaje się, że przejął od nich. Obecnie jest wiele opracowań, w których autorzy próbują dociec, co takiego stanowiło o tym, że homo sapiens, jako gatunek, odniósł tak duży sukces i co nas wyróżniło – tym bardziej, że obecnie stwierdzamy coraz częściej, że niewiele rzeczy jednak nas wyróżnia.

Co ciekawe, w jednej z prac przeczytałem, że wyodrębniła nas głównie „zdolność do współpracy”, a inne naczelne i zwierzęta nie potrafiły tego robić, uczyć się wzajemnie od siebie i wspierać. Istnieją różne testy pokazujące, że np. szympansy mają lepszą pamięć roboczą niż człowiek; okazuje się, iż mają też liczne zdolności, które są równie dobre jak nasze, ale pomimo tego nie odniosły takiego sukcesu. Z kolei w testach, w których wymagana jest współpraca, nawet małe dzieci są w stanie to robić i wzajemnie sobie pomagać, natomiast zwierzęta tego nie potrafią.

Jan Kopcewicz: Problem polega na tym, że życie na naszej planecie przebiega w myśl ewolucji darwinowskiej (Darwin oczywiście to opisał). Zakłada ona walkę o byt, pożywienie, energię..., o wszystko. My mamy ciągle zakodowaną – od początku ewolucji, od ameby czy pierwotniaka – konkurencyjność. W związku z czym, widzimy, co się dzieje na naszej planecie. Obecnie Rosjanie walczą z Ukraińcami – po co?! To wynika również z układu genetycznego, który został przeniesiony z dawnych czasów. Człowiek nie chce, po prostu, przyjąć pewnego systemu myślenia, ponieważ ewolucja darwinowska go nauczyła i utrwaliła w nim pojęcie tej konkurencyjności, walki o byt. Czy istnieje możliwość innej cywilizacji, w której nie ma czegoś takiego? Trudno jest mi powiedzieć..., z kolei trudno sobie wyobrazić jakieś życie bez ewolucji, bez której nie ma podniety. Jest ona potrzebna, żeby ukazywały się nowe wartości, pojawiały się nowe geny, nowe możliwości itd. Czy gdzieś we Wszechświecie jest inna możliwość, bez tego typu konkurencyjności? Ciężko powiedzieć.

Włodzisław Duch: Fascynującą rzeczą w nauce są powstające różne trendy, które zaczynają sobie nawzajem przeczyć. W książce Rutgera Bregmana *Homo sapiens. Ludzie są lepsi niż myślisz*, autor dość szczegółowo charakteryzuje dwa poglądy filozo-

ficzne opisujące ludzi. Jeden – Thomasa Hobbesa (napisał *Lewiatana*), twierdzącego, że człowiek jest egoistą i próbuje wszystko wykorzystać, a drugi – Jeana-Jacquesa Rousseau, mówiącego, że jesteśmy z natury dobrzy, tylko cywilizacja nas zepsuła. Te dwa poglądy ciągle się ścierają. Ten, o którym mówił prof. Kopcewicz, darwinowskiej teorii ewolucji, jest w znacznej mierze dominujący, iż człowiek próbuje zagarnąć, zdobyć różne rzeczy; i jest ten drugi pogląd pokazujący, że jeśli popatrzeć np. na przeszłość – tę jeszcze przed cywilizacją (przed rozwojem rolnictwa), czyli na bardzo pierwotne kultury – okazuje się, że posiadamy niewiele dowodów na to, że między ludźmi występowały duże konflikty. Istnieją setki malowideł skalnych, ale na żadnym z nich (liczą sobie kilkadziesiąt tysięcy lat) nie ma scen wojny (!). W związku z tym pojawiły się sugestie, że być może Rousseau miał rację, iż to cywilizacja spowodowała wzrost poziomu agresji, od momentu, gdy ludzie zaczęli gromadzić bogactwa i ze sobą walczyć – bo było o co. Wcześniej każdy miał niewiele i niewiele mu było trzeba.

Jan Kopcewicz: Walczył jedynie o pożywienie.

Andrzej Strobel: Chciałem zapytać, czy w tak rozumianym procesie ewolucji, który prowadzi nas do utrwalonego stanu agresji może zaistnieć jakaś forma altruizmu?

Jan Kopcewicz: Zdajemy sobie sprawę z tego, że altruizm jest bardzo dobrą cechą. Myślę, iż każdy z nas chciałby być altruistą i specjalnie by się nie przyznał, że nim nie jest. Co niemniej jednak, dążenie do altruizmu a fakt istnienia altruizmu, to są dwie różne rzeczy. Uważam, że przy ewolucji darwinowskiej jest to praktycznie niemożliwe.

Winicjusz Schulz: Przez wieki umysłowością człowieka zajmowała się głównie filozofia. Rodziły się fundamentalne pytania i próby odpowiedzi. Rozwój nauk eksperymentalnych sprawił, że w ostatnim czasie coraz więcej wiemy o człowieku. Te wszystkie wiązki neuronów, synapsy, procesy biochemiczne (które niedawno nazywaliśmy np. miłością). Czy nie ma Pan czasem wrażenia, że im więcej wiemy, tym mniej wzniosły jest ten wizerunek człowieka. Chyba nie chcielibyśmy być tylko chodzącym laboratorium?

Włodzisław Duch: Nie, nie mam takiego wrażenia, że gdy wiemy, na czym polega dany proces, to prze-

staje być on dla nas istotny. To, że wiemy, iż np. oksytocyna jest potrzebna do wytworzenia się więzi między matką i dzieckiem nie znaczy, że znikło poczucie miłości, bo powiedzmy osoba zajmująca się hormonami wie to. No wie to (*śmiech*). Działanie oksytocyny pomaga nam zrozumieć dlaczego jest depresja poporodowa..., bo akurat może być jej za mało – to pomaga nam leczyć pewne schorzenia. Ale nasze wewnętrzne odczucia i to, co my wiemy, to są dwie różne rzeczy. Tego niestety ludzie zwykle nie rozumieją.

Jest taki paradoks w filozofii umysłu, czy osoba, która jest daltonistką (Mary daltonistka) – ale zarazem ekspertem od widzenia, również od widzenia kolorów – i odzyskałaby wzrok, to czy coś więcej by się dowiedziała? Czego Mary się dowie, gdy zacznie widzieć naprawdę kolory? Oczywiście mózg działa inaczej, wiedza intelektualna to jest jedna rzecz, a wiedza polegająca na tym, że mózg przyjmuje różne stany w tym także stany emocjonalne, to nie jest coś, co można sprowadzić do jakichś reguł wiedzy intelektualnej; na przykład ktoś mi powie, co to znaczy „kochać”. To mi nic nie da. Ja muszę wejść w jakiś taki stan, w odczucia, które pozwolą mi – pewnie każdy inaczej to przeżywa – doświadczyć czegoś, jako pewnego stanu psychicznego. Zatem obojętnie, czego się dowiem się o tym świecie, to nie zmieni mojego faktu, że mam dzieci i wnuki (*śmiech*).

Winicjusz Schulz: W książce wielokrotnie pojawiają się pojęcia: mózg i umysł. Moglibyśmy przyrzeć się relacji między nimi?

Włodzisław Duch: Problem ten cały czas przewija się przez filozofię umysłu, również w postaci pytań, jaka jest relacja między tym, co psychiczne, a tym, co fizyczne. Jak pamiętamy, za czasów Kartezjusza, czyli w XVI i XVII wieku, ludzie bardzo mocno rozdzielili te pojęcia, bo nie mogli sobie wyobrazić, że to, co psychiczne jest w jakimś sensie jednak zależne od tego, co fizyczne i stąd tyle dziwnych pomysłów pojawiło się w filozofii umysłu, skąd się ten umysł bierze.

Obecnie wiemy, iż jest to pewna funkcja, pewien proces, który w nas zachodzi, powodując że wykazujemy pewne reakcje, iż pojawiają się pewne odczucia. Natomiast na poziomie fizycznym badamy jedno i drugie, np. obecnie ludzie zajmują interfejsami mózg-komputer, bo jak ktoś jest np. całkowicie sparaliżowany, chcielibyśmy odczytać jego intencje, stany mózgu. Trochę również u nas (w ICNT UMK)

tym się zajmujemy. Parę osób z naszego laboratorium współpracuje z Fundacją „Światło”; mamy chorego przeżywającego różne stany psychiczne, i który chciałaby wydać pewne polecenia, ma intencje, a my możemy i próbujemy odczytać stany jego mózgu i zamienić te intencje na działania zewnętrzne.

Jest taka dziedzina, która nazywa się „odczytywanie stanów mózgu”. Dzięki niej można np. uzyskać informacje, jaki obraz człowiek sobie wyobraża. Są świetne eksperymenty na małpach pokazujące, że jeżeli umieścimy zaledwie 200 elektrod w mózgu zwierzęcia w obszarach wzrokowych, to na podstawie odebranych impulsów, możemy nauczyć się odczytywać, co ta małpa sobie myśli, wyobraża lub jaką twarz przed chwilą widziała – ogląda twarz, my zapisujemy ciągi tych impulsów i na ich podstawie możemy odtworzyć wewnętrzne stany. Warto zwrócić uwagę, że w badanym obszarze są miliardy neuronów, a nam wystarczy 200 elektrod do odtworzenia wspomnianych stanów.

Wewnętrzny świat jest rzeczywisty, on potrzebuje materii, ale mózg jest tylko substratem do tego by powstał świat psychiczny. Substrat jest konieczny, bo bez niego nie da się go utworzyć. Ten substrat może być różny, dlatego wspomniany już przeze mnie pomysł wymieniań kawałków naszego mózgu nie jest taki utopijny.

Na Uniwersytecie Południowej Kalifornii w Los Angeles, gdzie spędziłem dwa lata, pracuje badacz Ted Beger, który od kilku lat próbuje umieszczać implanty głęboko w mózgu człowieka w obszarze hipokampu. Wycina kawałek z tego obszaru i wkłada tam elektronikę. Tym sposobem próbuje naprawiać funkcje tego obszaru. Można sobie wyobrazić, że jak to się rozwinie, tak krok po kroku, i da się nam wymieniać modułowo fragmenty mózgu, co byłoby rzeczą fantastyczną, to w końcu będziemy mogli w ten sposób osiągnąć nieśmiertelność. Ponieważ będziemy robić to stopniowo, nie odczuwamy w związku z tym żadnych wielkich zmian. Takie coś mogą sobie wyobrazić, ale to jeszcze daleko przed nami.

Winicjusz Schulz: Kognitywistyka to młoda, ale bardzo dynamicznie rozwijająca się dziedzina. Przyniosła już wiele cennych odpowiedzi, ale wciąż wiele kwestii czeka na wyjaśnienie. Dla Pana – jako kognitywisty – które z tych przyszłych odpowiedzi byłyby najciekawsze, najbardziej intrygujące?

Włodzisław Duch: Rzecz jest bardzo skomplikowana. Czasami – to zależy od dnia – wydaje mi się, że

wszystko z grubsza rozumiemy – to jak powstają stany mentalne, czy dlaczego akurat człowiek jest świadomy, czy zachowuje się w sposób świadomy. Jeśli Państwo podacie mi konkretny przykład, mogę wam wskazać eksperyment, który pokazuje, dlaczego akurat tak, a nie inaczej, ten mózg pracuje i jakie mamy stany subiektywne. Natomiast, to tylko w niektóre dni tak mi się wydaje (*śmiech*), bo w inne z kolei, jak się zastanawiamy nad szczegółami tych procesów i tego, jak to naprawdę zachodzi, to musimy przywołać zasadę Feynmana „nie rozumiemy, dopóki czegoś nie zbudujemy”. Nie potrafimy jeszcze zbudować w pełni czegoś, co jest sztucznym mózgiem, aczkolwiek takie prace trwają na dużą skalę. Badacze robią coś, co nazywa się systemami neuromorficznymi (niestychanie złożonymi), czyli takimi kawałkami tkanki mózgowej, działającej w podobny sposób. Złożoność przygotowywanych modeli sięga tysięcy miliardów parametrów, pozwalających tym systemom nauczyć się języka naturalnego, odpowiadać na pytania i mnóstwa innych rzeczy. Dochodzimy do momentu, w którym będziemy w stanie to zrobić. Powstaje jednak pytanie, czy tylko będziemy w stanie zrobić, czy zrozumieć? To jest ważne i ciekawe pytanie, bo to, że potrafimy coś skonstruować, to dobrze, ale czy rozumiemy, co robi i jak działa? Obawiam się, że tego automatycznie nie da nam się zrobić.

Winicjusz Schulz: Ostatnimi czasy coraz częściej mówi się o sztucznej inteligencji. Nie tylko mówi. Ona już jest z nami. I często pada też fundamentalne pytanie: czy nam nie zagrazi, gdy np. stanie się mądrzejsza od człowieka, a człowiek stanie się najślabszym ogniwem? Grozi nam wizja braci, a teraz już siostr Wachowskich, wykreowana w sadze Matrix?

Włodzisław Duch: To jest często zadawane pytanie, ale wydaje mi się ono bez sensu. Ludzie walczą o zasoby, na przykład o ziemię (jak widać to na naszej wschodniej granicy). Natomiast, po co sztucznej inteligencji świat rzeczywisty? Inteligencja ta może wytwarzać sobie światy wysokowymiarowe, nie trójwymiarowe jak my, może rozważać tam różne abstrakcje, a potrzebuje jedynie energii, żeby podtrzymywać komputery w stanie sprawnym i to wszystko. Natomiast ja się czymś innym martwię, że zastosowania wojskowe sztucznej inteligencji mogą doprowadzić do tego, że jak już będziemy mieli te superroboty i inne „zabawki”, które autonomicznie

mogą polecieć i spuszczać bomby – co już teraz jest możliwe – to ludzie przestaną się przejmować stratami własnymi. Dlaczego wojny, które USA zaczęły, udało się zastopować? Bo były protesty, że „nasi” ludzie giną, prawda? Wprawdzie „naszych” ludzi zginęło mało, a tamtych bardzo dużo (np. w Iraku czy Afganistanie), no ale my się przejmujemy „naszymi” i to powoduje, że wojny się zatrzymuje.

Winicjusz Schulz: ... i nie obawia się Pan, że w jakiejś chwili zaczniemy, ze swoją ludzką ułomnością, przeszkadzać sztucznej inteligencji?

Włodzisław Duch: Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, że może powstać sytuacja, iż taki system zacznie się nami interesować. Co on by od nas chciał i w czym możemy mu przeszkadzać? My żyjemy w innym świecie. Świat umysłu, który daje się wytworzyć w takich superkomputerach, to nie jest świat fizyczny i nie ma ograniczeń w porównaniu z naszym trójwymiarowym, w którym musimy się poruszać.

Winicjusz Schulz: A jakbyśmy chcieli wyciągnąć wtyczkę z gniazdka? I gdyby oni to zrozumieli, że możemy to zrobić?

Włodzisław Duch: To jest ciekawe pytanie. Można wytworzyć w takim systemie chęć przetrwania i strach przed wyłączeniem, tak jak w filmie „2001: Odyseja kosmiczna”, gdzie wyłączanie wtyczki źle się skończyło dla astronautów. To można sobie wyobrazić, ale dużo większe zagrożenia dla nas – wracam do tego – leżą w zastosowaniach wojskowych. To, że sztuczna inteligencja osiągnęła nadludzkie możliwości, to wiemy już od czasu, kiedy Kasparow przegrał z nią w szachy, a później inni mistrzowie przegrali w go, pokera itd. Teraz nie ma już żadnej gry, która by była jakimś wyznacznikiem inteligencji człowieka. Krótko mówiąc, jeśli trzeba wystać eskadrę, która będzie walczyć z przeciwnikiem, no to mamy do tego sztuczną inteligencję, która potrafi tym kierować dużo lepiej niż ludzie. I do tego nie trzeba będzie wsadzać pilotów do samolotów.

Winicjusz Schulz: W książce *Kosmos i życie* intrygujące są także passusy odnoszące się do funkcjonowania ludzkiej pamięci. Na ile da się nią sterować?

Włodzisław Duch: Właściwie cały czas nią sterujemy, gdyż ciągle wbija nam się do głowy różne treści i efekt jest taki, że ludzie potrafią uwierzyć we

wszystko. Ponieważ mózg człowieka jest uniwersalnym narzędziem kontroli naszego ciała, bardzo długo musimy uczyć się pewnych rzeczy – musimy mieć jednocześnie zaufanie do kogoś lub tego, czego się uczymy – co powoduje, iż to w nas mocno wsiąka.

Przypomniały mi się wydarzenia, jakie miały miejsce w Kambodży w latach 70. XX wieku, gdy Czerwoni Khmerzy uczyli małe dzieci zabijania. Oczywiście, powstaje pytanie, jak taki człowiek dorosnie czy można będzie go jeszcze uratować? To jest okropna sytuacja, ale w tej chwili widzimy, że Rosjanie, którym wmówiono, że tam (w Ukrainie) są naziści i w związku z tym trzeba ich wszystkich zabić, jest efektem wieloletniej propagandy.

W przeszłości, gdy nie było źródeł informacji, które obecnie posiadamy, spotykaliśmy się razem i wymienialiśmy się wiadomościami. Ludzie mieli bardzo różne poglądy, nasze wyobrażenie o świecie było bardzo zróżnicowane. Teraz, w zależności od tego, do jakiej grupy podobnie myślących się wpiśzemy, coraz bardziej wzmacniamy się w tym swoim myśleniu.

Winićusz Schulz: Można też pomyśleć o pozytywnym aspekcie tego kontrolowania pamięci, bo na przykład można by leczyć pewne choroby psychiczne, zapewnić odpowiedni komfort życia.

Włodzisław Duch: Jeśli myśli pan o technologii, to przed chwilą mówiłem o Begerze i jego pracach

polegających na wymienianiu fragmentów mózgu w hipokampie ludziom, którzy cierpią np. na poważne zaniki pamięci. Wyniki doświadczeń na zwierzętach, a ostatnio na ludziach, pokazują, że osoby te są w stanie częściowo ją odzyskać.

Kilka dni temu, przed naszym spotkaniem, przeczytałem znakomitą pracę pokazującą, jak można wpływać na mózg osób, które zapadają na chorobę Alzheimera w sposób nieinwazyjny, poprzez światło i dźwięk. Okazuje się, że z ich mózgów usuwają się określone złoże i w efekcie poprawia się pamięć i zwalnia postęp choroby Alzheimera. Więc wydaje się, że jest w tej chwili szereg pomysłów technologicznych, jak oddziaływanie ultradźwiękami, impulsami elektromagnetycznymi, puszczeniem słabych prądów i jeszcze parę innych pokazujących, że za ich pomocą będziemy, do pewnego stopnia, mogli naprawiać mózgi, może nawet nieinwazyjnie.

Winićusz Schulz: Skieruję teraz pytanie ogólnej natury do wszystkich Panów: czy życie na Ziemi to jakiś przypadkowy, choć chyba atrakcyjny, dodatek do Wszechświata?

Jan Kopcewicz: Dlaczego ciągle interesuje nas ten problem? Również nas w tej książce? Czy życie może gdzieś indziej występować? My na ten temat oczywiście nic nie wiemy, ale ogólnie rzecz biorąc, to trzeba zdawać sobie sprawę z dwóch możliwości. Pierwszej – życie, które na naszej planecie się



pojawiło jest tak nieprawdopodobnym zbiegiem chemicznych reakcji, że mogło to się wydarzyć raz albo dwa we Wszechświecie i jest to całkowity przypadek, i coś nieprawdopodobnego. Albowiem, jeżeli zaczniemy analizować wszystko od początku do końca, to odnosimy wrażenie – na obecnym stopniu rozwoju naszej wiedzy – iż było to całkowicie niemożliwe, aby coś takiego się wydarzyło. To jest jeden pogląd, a drugi jest odwrotny – wszystko zależy od tego czy istnieją określone prawa, które są wkomponowane w większy jakiś program, który nasz Wszechświat realizuje (tam jest także zaprogramowane życie). Jeśli takie coś istnieje, to znaczy istnieją prawa, które prowadzą do tego, że tam gdzie znajdują się odpowiednie warunki, gdzie zostaną przełamane pewne bariery – tak jak na naszej planecie – tam życie powstanie.

Oczywiście, pierwszy pogląd sugeruje, że życie jest czymś wyjątkowym, jest fenomenem; tym olbrzymim Wszechświecie jest może jeszcze jeden, może są dwa przypadki, gdy zaistniał ten nieprawdopodobny zbieg reakcji chemicznych. Natomiast drugi – tam gdzie zostaną spełnione odpowiednie warunki, życie we Wszechświecie występuje bardzo obficie. To niekoniecznie muszą być cywilizacje, takie jak nasza, ale np. życie jednokomórkowe.

Chciałem zwrócić uwagę, iż cały szereg przypadków na naszej planecie przyczynił do tego, że ewolucja ruszyła. Przecież przez dwa miliardy lat nie było ewolucji! Powstały bakterie prokariotyczne, które nie były w stanie wejść na drogę doboru naturalnego na ścieżkę ewolucyjną. Dwa miliardy lat! I nagle – być może zdarzył się przypadek – połączyły się komórka bakteryjna z komórką archeona i wtedy nowa komórka eukariotyczna uzyskała zdolności do tworzenia organizmów wielokomórkowych. Gdyby na naszej planecie tak się nie zdarzyło, to prawdopodobnie życie do dnia dzisiejszego byłoby jednokomórkowymi prokariotami i być może Wszechświat – jeśli ta druga koncepcja, którą przed chwilą przytoczyłem jest prawdziwa – właśnie „tętni” takim życiem jednokomórkowym. Ale przejście dalej, do ewolucji, powstania człowieka, to już jest całkowicie wyjątkowa sytuacja.

Andrzej Strobel: Warto czasami założyć wyjątkowość życia na Ziemi, bo może to stymulować określony element rozwoju świadomości człowieka. Nie jestem pewien czy to wpłynie na niego, na jego dalszą ewolucję, ale takie przystawowe określenie „my już nie mamy pastwisk do wymiany”, oznacza,

iż wyczerpaliśmy wszystkie możliwości. Musimy zastanowić się nad sobą, jak można zmusić siebie, poruszyć swoją świadomość do tego, aby ta wyjątkowość ustawiła nas wobec takich wymogów. Może dlatego czasami warto podkreślić ten niesłychany „cud życia”.

Winicjusz Schulz: Nawet nie chcę zadawać tego jakże popularnego, wręcz wyświechtanego pytania: czy wierzą Panowie w istnienie innych niż ziemską, cywilizacji. Wolę zapytać: czy dobrze byłoby spotkać inną cywilizację, czy lepiej byłoby dla ludzkości, gdyby do takiego spotkania nie doszło?

Jan Kopcewicz: Freeman Dyson, który był jednym z najbardziej zaangażowanych badaczy w poszukiwanie innych cywilizacji, na pytanie czy dojdzie kiedyś do spotkania z jakąś inną cywilizacją, odpowiedział „Mam nadzieję, że nie!”.

Włodzimierz Duch: Nawet, gdyby doszło do tego spotkania, to sądzę, że nie będzie ono miało charakteru fizycznego, dlatego że odległości są ogromne. Nie wydaje nam się, żeby udało się przelecieć powiedzmy z Alfa Centauri te kilka lat świetlnych i wylądować na Ziemi. No, chyba że ktoś ogląda niektóre telewizje, w których starożytni kosmici są codziennie, w dużych ilościach, i o których wiadomo, że przylecieli po to, aby poustawić nam trochę ciężkich kamieni, bo nic innego po nich nie zostało.

Winicjusz Schulz: ... i zobaczyć, jak sobie z tą zagadką poradzimy.

Włodzimierz Duch: No właśnie (*śmiech*). To jest to wyobrażenie ludzi, po co kosmici przylatywali na Ziemię.

Jan Kopcewicz: Chciałbym powiedzieć, że celem napisania przez nas książki *Kosmos i życie* było to, aby połączyć dwa ważne problemy. Z jednej strony Wszechświat, z drugiej – życie. Dlatego są w niej rozdziały poświęcone: Kosmosowi, o którym pisał prof. Strobel, życiu ziemskiemu, biologii życia, które ja pisałem i naturze umysłu autorstwa prof. Ducha. Książkę zamyka rozdział *Życie poza Ziemią*, który jest pewną formą dyskusji, czy jest możliwość życia pozaziemskiego, jakie są możliwości jego badania i tym podobne. Czy osiągnęliśmy swój cel? Trudno powiedzieć. Jeśli dojdziemy do wniosku, że tak, to może w przyszłym wydaniu udoskonalimy tę książkę.

Włodzimierz Duch: Chciałem jeszcze coś dodać. Nie mam poczucia, że my nie rozumiemy życia, bo słusznie powiedział pan profesor Kopcewicz, że mogło ono powstać na bardzo różne sposoby i rzeczywiście nie mamy szans, żeby się cofnąć o 4 miliardy lat i dowiedzieć się, jak powstało to konkretne życie na Ziemi; jest dużo teorii na ten temat i każda z nich ma jakieś „dziury”, ale mogę sobie to wszystko wyobrazić i nie mam poczucia tajemnicy. Natomiast to, że Wszechświat powstał i istnieje, że w ogóle jesteśmy i skąd się to wzięło..., to tutaj jednakże mam głębokie poczucie tajemnicy.

Jan Kopcewicz: ... tym bardziej, że Wszechświat powstał z niczego, prawda?

Włodzimierz Duch: No właśnie. Więc te wszystkie teorie fizyczne w rodzaju, że może jest wiele światów i tak dalej – to są wszystko zabawy i spekulacje, próby opisanie tych rzeczy. Jednak nie docierają one do głębokiego poziomu naszej wiedzy, który by nam powiedział, dlaczego tak jest, a nie inaczej. Oczywiście, fizycy mają nadzieję stworzenia ogólnej teorii wszystkiego, aby z logiki wyniknęło, że tak być musiało. To by było fajne, ale jest pytanie czy to nas zadowoli, czy to spowoduje utratę tego poczucia tajemnicy istnienia? Chyba nie.

Wiele osób uważa, że fizyka jest tą dziedziną, która głęboko wniknęła w rzeczywistość i potrafi wyjaśnić wiele fundamentalnych zagadnień. Jako fizyk (z doktoratem z fizyki) muszę przestrzec przed pewnym rozczarowaniem. Fizyka opisuje, to, co jest wokół nas, istniejące oddziaływania – dlaczego tylko cztery? – i że mamy jakieś cząsteczki; próbujemy to sprowadzić do kwarków, leptonów i teraz mamy tego całkiem sporo, takie zoo cząstek elementarnych. Dlaczego?! Na to nie ma żadnej odpowiedzi! My jesteśmy w stanie opisać świat, a opisując konstruować różne urządzenia – to nam daje technologię, która jest bardzo ważna – natomiast, nasze zrozumienie, czym jest ta rzeczywistość jest w dalszym ciągu tajemnicą.

Jan Kopcewicz: Panie Profesorze, problem polega jeszcze na tym, że fizyka opisuje Wszechświat, natomiast nie ma fizyki opisującej żywy organizm. To musi być całkiem nowa fizyka. Weźmy mechanikę kwantową, opisanie żywego organizmu przy jej pomocy, to jest daleka przyszłość. Teraz są tylko sugestie, że takie coś jest możliwe, a być może właśnie to leży u podstaw i praw w ogóle funkcjonowania życia. Tak więc fizyka musi stworzyć nowe prawa, które będą opisywały procesy życiowe.

Przygotował i opracował: Wojciech Streich

Zdjęcia Andrzej Romański



Oksana Lytvynenko

Granica wytrzymałości



Pierwsze dwa tygodnie po 24 lutego pamiętam bardzo dobrze, ale nie da się tych dni ułożyć w żadną barwną historię – wszystko stało się czarno-białe. Zabójcy i ratownicy. Swoi i wrogowie. Skrajne emocje podziwu i wściekłości. Bezgraniczne uczucia niesamowitej wdzięczności i niewyobrażalnej chęci zemsty.

W pierwszych godzinach wojny okazało się, że strasznie brakuje ukraińskich tłumaczek i tłumaczy, wszędzie. Zdarzało się, że prowadząc samochód, jadąc do tłumaczenia na punkcie recepcyjnym albo na dworcu, jednocześnie przez telefon pomagałam porozumieć się w szpitalu Ukraince z bardzo chorym dzieckiem albo jeszcze komuś – i w żadnym z tych miejsc nie można było czekać.

Ale taki tryb ratował. Pozwolił się nie załamać. Nie wpaść w czarną dziurę rozpacz. I jeszcze Polki i Polacy – to było coś niesamowitego. Prywatne samochody, małe i duże, stare i wypasione, z numerami z całej Polski – przy dworcu Warszawa Zachodnia. Setki polskich samochodów przyjeżdżało odebrać ukraińskie kobiety z dziećmi, ze starszymi rodzicami, psami, kotami, ptakami – do siebie do domu albo zawieźć tam, gdzie potrzebowały. Ten widok masy samochodów, niemieszczących się na placu przy dworcu i zajmujących trzy pasy ruchu na Alejach Jerozolimskich, całodobowo odbierających ludzi po kilkudniowej drodze, zmarzniętych i przerażonych – tego nie zapomnę nigdy. Jeździłam obok kilka razy dziennie i wypełniała mnie wdzięczność i podziw. Te uczucia dawały niesamowitą siłę.

Pierwszym zetknięciem z koszmarem była pomoc w ewakuacji domu dziecka dla dzieci ciężko chorych. Byłam tam jako asystentka dyrektorki, towarzyszyłam jej przez dwie doby (minus trzy godziny snu). Spod Kijowa wyjechało 160 dzieci. Do Polski dotarło 120. Reszta albo nie przeżyła drogi, albo ich stan na tyle się pogorszył, że musiały zostać w szpitalach po drodze. Z dyrektorką było tylko 6 opiekunek – sześć. Więcej nie przyszło w dniu wyjazdu, nie chciały albo nie mogły jechać. Dzieci i opiekunki tydzień spędziły w piwnicy i tydzień w drodze. Dyrektorka знаła każde dziecko; imię, wiek, stan, choroby, potrzeby i możliwości. A żadne z tych chorych dzieci nie mówiło. Oprócz tego była ona prawną opiekunką dla każdego i dlatego tylko ona mogła i musiała z każdym karetką jechać do szpitala. Tylko przez dwie doby w Warszawie takich wyjazdów zrobiliśmy razem około dziesięciu. W domu pod Kijowem musiała zostawić chorą mamę z demencją, samą w mieszkaniu na 5. piętrze. Klucze dała sąsiadce, która wtedy jeszcze zostawała, ale nie wiadomo na jak długo. Nie było innego wyjścia. Wszystkie te kobiety kogoś w domu zostawiły. Kiedyś z jedną z nich wyszliśmy na papierosa – jej pierwszego od początku wojny. Trochę odetchnęła i zadzwoniła do sąsiadki, z którą zostawiła kota Waśkę. Waśka nie opuszczał szafy od pierwszych wybuchów. Poprosiła sąsiadkę przez telefon, żeby weszła do szafy i podsunęła kotu telefon. I mówiła do niego, mówiła w kółko to samo:

– Syneczku mój, Wasiuniu, wybacz mi, wybacz, malutki, że zostawiłam cię. Mamusia nie porzuciła ciebie, nie. Nie płacz, nie bój się, wrócę, niedługo wrócę. Wybacz, malutki.

Płakała.

To było siedem miesięcy temu. Po dwóch dniach cztery autokary w asekuracji trzech karetek z najmłodszych chorymi dziećmi pojechały dalej – do Koszalina, Sopotu, Gdańska, do przygotowanych specjalistycznych ośrodków.

W połowie marca mogłam wreszcie pojechać na granicę. Chciałam tam być od pierwszego dnia, ale nie mogłam – było dużo pracy i do tego przyjmowałam u siebie w Warszawie przyjaciółki, bliższych i dalszych znajomych z Kijowa, z kotami, psami, świnkami morskimi, królikami. Na jedną noc, na dwie, trzy, na tydzień. Odsypiały drogę, szukały mieszkania, czekały na wizy, samoloty, autokary, pociągi i jechały dalej w niewiadome.

Jedna z przyjaciółek dotarła do Warszawy pół dnia szybciej niż się spodziewałam. Jej pociąg z Ki-

jowa spóźnił się tylko o 12 godzin zamiast o dobę, wyjątkowo tej nocy bombardowali mniej. Zadzwoniła do mnie z Warszawy Zachodniej o 6 rano. Było minus 5 stopni. I miała kotka w mokrym transporterze. Mogłam dojechać najszybciej za 4 godziny. Napisałam na czacie osiedlowym prośbę, żeby przegarnąć kobietę z kotem na parę godzin. O 6.30 jedna z mieszkanek już po nią była. I była jedną z ośmiu osób, które zgłosiły chęć pomocy natychmiast, w ciągu 5 minut. Polki i Polacy, jesteście niesamowici!

Codziennie dostawałam maile z różnych przejść granicznych – brakuje tłumaczy, brakuje ludzi z samochodami, brakuje wolontariuszy do ogarniania.

Ludzi było setki, tysiące, głównie kobiet i dzieci, bardzo różnych, ale tak samo zmęczonych, przerażonych i bezradnych. Za jedzenie dziękowały: – Wszystko mamy. Inni bardziej potrzebują.

Niektórych będę pamiętać zawsze.

Sofia, 17 lat, pierwszy rok informatyki na Uniwersytecie Charkowskim (zapamiętałam imię, bo mam córkę, też Sofię, też w wieku 17 lat, też studiującą informatykę). Przez trzy tygodnie czekała w opuszczonym akademiku na wiadomość od rodziców z Mariupola. Wszyscy studenci wyjechali, a ona czekała. Kiedy akademik został zbombardowany, wyjechała do Lwowa w czym stała. Tam chciała czekać na telefon od mamy czy taty aż do skutku. Spała w szkole na podłodze, telefonu nie wypuszczała z rąk. Po tygodniu we Lwowie dostała informację, że jej uniwersytet ewakuował się i od poniedziałku zaczyna zajęcia online. Znalazła miejsce w Hanowerze i natychmiast ruszyła, żeby zdążyć do poniedziałku. Żeby się uczyć, tak jak obiecała rodzicom. Nie chciała wziąć polskiej karty telefonicznej, żeby nie zmieniać numeru, kiedy rodzice wreszcie pojawią się w sieci.

– Oni po prostu nie mają prądu i telefony im się rozładowały. Jak znajdą gniazdko, to zadzwonią natychmiast. Mogą zadzwonić w każdej chwili. Powinam mieć ten swój numer – przekonywała i nikt nie podawał w wątpliwość jej pewności, że tak niedługo się stanie.

Potrzebowała ciepłych spodni i butów. Nie miała ani grosza. Przekonywała, że wszystko jest OK, w poniedziałek dostanie stypendium na kartę, jest wzorową studentką, ma wysokie stypendium. Wreszcie zgodziła się wziąć 200 zł. Powiedziała, że odda później tej, co będzie potrzebowała.

Kiedy 2 kwietnia w sobotę cały świat dowiedział się o zbrodniach w Buczy, Irpieniu, Borodzian-

ce, Ivankovie, Oleksandrivci, mi... ulżyło. Betonowa płyta bezradności spadła z moich pleców. To był ciężar wyłącznej wiedzy o tym, co tam się działo, o czym słyszałam na granicy i nikomu nie mogłam, nie miałam prawa powiedzieć. Koleżanki i przyjaciółki, które na początku podjęły decyzję, żeby zostać w Kijowie i przyległych miejscowościach, z przerażenia mogłyby zacząć panicznie uciekać wprost pod rosyjskie czołgi albo coś sobie zrobić, tylko dlatego, żeby nie wpaść w ręce Rosjan. Albo z tego przerażenia nic nie robić, kiedy nadarzyłaby się możliwość ucieczki. I tak się zdarzało. Przyjaciółka z Buczy trzy razy nie wykorzystała szansy na ucieczkę i wreszcie wyjechała w najmniej odpowiednim momencie. Z pięciu samochodów trzy zostały rozstrzelane, ona była w jednym z dwóch pozostałych.

Nie mówić, nie opowiadać, nic z tą wiedzą nie robić, nie mieć możliwości pomóc – to okropne. 2 kwietnia to przestało być tylko moją wiedzą.

Wczoraj. Październik. Po siedmiu miesiącach.

W urzędzie spotkałam rodzinę z trójką dzieci z okupowanego obwodu chersońskiego. Nie mieli paszportów, bo nigdy nie chcieli wyjeżdżać za granicę Ukrainy. Nie wiedzieli, jak wypełniać papiery UKR – uciekinierów i uciekinierów przed wojną. 2 września okupanci powiedzieli rodzicom, że jeśli nie wyślą dzieci do szkoły z rosyjskim programem wychowania i nauczania, to pozbawią ich praw rodzicielskich, zgodnie z prawem Rosji. Szkoły pełne dzieci Rosjacy okupanci wykorzystują jako żywą tarczę. O tym wiedzieli wszyscy. A po referendum ojców rodzin mieli mobilizować do armii rosyjskiej. Rodzina farmerska nie chciała zostawić swojej ziemi, porzucać domu i gospodarstwa. Ale musiała. Przez Krym, Rosję, Białoruś i Litwę. 17 dni trwała ich droga do Warszawy. 7 dni stali na granicy – Rosja nie wypuszczała.

– Mieliliśmy dużo szczęścia – powiedziała matka.

Prawie każda spotkana Ukrainka, czy to na granicy, czy w Toruniu, czy w Warszawie, bez względu na to, ile się nacierpiła i co straciła, mówiła – Miałam dużo szczęścia.

W porównaniu z ludźmi w Mariupolu czy w Borodiance, naprawdę dużo. Uszła z życiem.

„Miałam dużo szczęścia” mówiła też przyjaciółka z Buczy po pierwszej przespanej nocy we Włocławku, gdzie szybko udało się dla niej znaleźć mieszkanie. Była w podartym zimowym płaszczu i zniszczonych butach. Dobrze, że mamy podobne rozmiary, a pracując na granicy, zawsze woziłam w samochodzie ze 3-4 zapasowe zestawy ubrań na

każdą ewentualność i każdą pogodę. Rzeczywiście, ona miała dużo szczęścia. Trzy tygodnie w piwnicy – i rosjanie do jej piwnicy nie weszli i nie wrzucili tam granatu, tak jak często robili, i dla swojego bezpieczeństwa, i dla zabawy. W piwnicy bloku naprzeciwko siedziały kobiety z noworodkami. Na początku słychać było ich płacz i krzyki, po tygodniu już nie. A ona miała szczęście. Trzy próby ucieczki – i wreszcie się udało. Szczęście. W jej blok trafił pocisk, ale właśnie jej klatka się nie zawałiła i ona z kotem Glukiem nie została pogrzebana pod gruzami. Śnieg się zaczął topić – i miała wodę. Ktoś w piwnicy zostawił stary materac – i miała na czym spać. Jej samochód odpalił, w baku zostało paliwo i opony miał całe, chociaż przedniej szyby już nie miał, ale jechał. Z pięciu samochodów desperacko uciekających z Buczy w nocy bez świateł, zauważonych jednak przez okupantów i ostrzeliwanych, wyrwały się dwa – i jej był jednym z tych dwóch. Szczęście. Kot Gluk nie uciekł, nie zgubił się, nie wyskoczył przez okno, miał 15 lat i wytrzymał, przeżył. Czy to nie szczęście? Widziałam go w marcu, calusieńkiego w jakiejś farbie, kredzie, brudzie. Nie dawał się kąpać, był za bardzo zestresowany, żeby go męczyć czyszczeniem i myciem. I sam w szoku się nie mył, jak to zazwyczaj robią koty.

A w maju zginął jej młodszy brat Vitaliy, w walkach pod Charkowem. Jego ciała Rosjanie nie chcieli oddać, wymagali okupu. Pojechała tam, z Włocławka do codziennie bombardowanego Charkowa – chować brata i zostać z mamą. Wtedy też zmarł Gluk, ze stresu zachorował na cukrzycę i jego serce nie wytrzymało.

Na granicy było dużo kierowców – wolontariuszek i wolontariuszy, którzy własnymi samochodami przewozili ludzi do większych miast, na dworce, lotniska, do Czech, Niemiec, Austrii. Byli z różnych krajów, ale oczywiście głównie Polki i Polacy. Niektórych widywałam regularnie – zawozili i wracali, niektórych tylko raz. Jednego z tych, którzy jeździli często – już nigdy nie zobaczę. Poszedł zdrzemnąć się w samochodzie i już się nie obudził. Udar. Dla mnie on też jest ofiarą i bohaterem tej wojny, zginął w walce o ludzkie życie.

Medyczny namiot z Francji obsługiwały urlopowiczki. Lekarki i pielęgniarki wzięły urlopy, państwo francuskie wysłało dwie karetki pogotowia, namiot medyczny i sprzęt. Prawie nigdy ten namiot nie był pusty. Swoje namioty z jedzeniem postavili Niemcy i Amerykanie. Na granicy byli wolontariusze z Europy, Ameryki, Azji, a nawet Australii.

W maju pojechałam do Węgier odwiedzić rodzinę przyjaciół z dwuletnim synkiem. Obie pracowały w Kijowie w firmach międzynarodowych, obie w pierwszych dniach bombardowań Kijowa dostały propozycje relokacji. Tylko że do różnych krajów. Formalne rodziny mogły się ubiegać o przenosiny razem, a one nie. Postanowiły zostać, żeby się nie rozdzielać. Wytrzymały tydzień w piwnicy wieżowca na obrzeżach Kijowa, ale kiedy zobaczyły rosyjski czołg na placu zabaw, wsiadły w samochód i pojechały na zachód. Do Węgier, bo jedna z nich dobrze знаła język. Kraj ewakuacji, zwłaszcza na początku, często był wybierany właśnie ze względu na język. Do granicy jechały 7 dób zamiast 10 godzin. Na Węgrzech pracę miała tylko jedna. Finansowo wytrzymały 3 miesiące, potem druga musiała wyjechać do Katowic, żeby zarabiać i móc opłacać utrzymanie dziecka i wynajem mieszkania. Teraz synka widzi raz na 2-3 tygodnie.

Młody mężczyzna Ukrainiec stał kilka godzin w nocy na granicy, na linii, której nie wolno przekraczać. Nic nie mówił i tylko patrzył w stronę przejścia

granicznego, trząsł się z zimna. Raz wziął ode mnie gorącą herbatę. Nagle usiadł, nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zobaczył białego, malutkiego Matiza. Wreszcie! Jego żonie z pięcioletnią córką dopiero za czwartym razem udało się wydostać z Chersonia. Pojechały tam do rodziców na ferie zimowe, a wróciły dopiero w kwietniu. Żona, malutka i chudziutka, powiedziała, że kiedy już minęła 12. wojskowy blok-post pod Chersoniem, nie zatrzymywała się ani razu, tylko jechała jak najszybciej do Polski, do siebie do domu. Samochód był cały w śladach metalowych odłamków. Nie chciały nic zjeść, a dziewczynka nie mogła wypuścić z ramion tatusia, trzymała go mocno za szyję i chowała się w nim przed wszystkimi spotkanymi nieszczęściami.

Dużo osób z terenów okupowanych opowiadało, że jak tylko przekraczało kontrolę na ostatnim blok-poście, jechało bez przystanków i jedynie w godzinach policyjnych musiało gdzieś się zatrzymać.

Którejś nocy przyjechał zielony bus. Chwiejąc się, wyszedł z niego bardzo zmęczony mężczyzna, rozejrzał się dookoła, jakby sprawdzał, czy jest bez-



piecnie, i dopiero wtedy dał rozkaz przez otwarte drzwi: – Można, wychodźcie! Jak groch wysypała się stamtąd szóstka czy siódemka dzieciaków. Spytał, czy może gdzieś się przespać, bo już nie daje rady, a jest sam. Przespał się w ogrzewanym namiocie. Rano było widać, jak bardzo samochód jest zniszczony. Opowiadał, że postanowili wyjechać trzema rodzinami trzema samochodami z okupowanego obwodu chersońskiego. W pierwszym jechały rzeczy; wózki, kołdry itp. Żony z niemowlętami i młodszymi dziećmi – w drugim. A on ze starszymi dziećmi ze wszystkich trzech rodzin – w trzecim. Pierwszy samochód najechał na minę, drugi został zniszczony tym wybuchem i się zapalił, a on trzecim musiał uciekać, bo rosjanie, słysząc wybuch, zaczęli strzelać. Nie płakał, nie rozpaczał, nie prosił o nic. Zachowywał się jak robot i w kółko powtarzał: „Poradźmy sobie, poradźmy. Mieliśmy szczęście, dużo szczęścia”.

W kwietniu, tuż po uwolnieniu całego obwodu kijowskiego, z Niemiec przyjechało na granicę starsze małżeństwo z Irpienia. Mieli tam 12 kotów, ale kiedy obok wybuchła rakietą i w budynku pękły wszystkie szyby, koty z przerażenia uciekły i ukryły się w lesie. Nie udało się znaleźć żadnego, a trzeba było się ewakuować. Nie mogli sobie wybaczyć, że sami się uratowali, a koty zostały pod okupacją. Teraz po nie jechali. Wolontariusze – ratownicy zwierząt – znaleźli piątkę, całych, żywych. Pokazywali mi ich zdjęcia, cieszyli się, opowiadali o każdym – jak to kociarze. Spotkaliśmy się dwa tygodnie później. Wrócili z dwunastką! Odnalazły się wszystkie – przyszły na głos gospodarzy. Trójka była ranna i potrzebowała leczenia, we Lwowie wszystkie trzy zostały zoperowane, doszły do siebie i teraz cała dwunastka jechała do Niemiec.

Tam na granicy było dość ciężko, ale paradoksalnie dyżury 16-godzinne lubiłam tu bardziej niż 12-godzinne. Bo można było działać tu i teraz. I nie starczało czasu na myślenie o tym, co się dzieje tam, w Ukrainie.

I jeszcze ludzie. Wspaniali wszyscy, z różnych krajów i różnych zawodów. Tam wtedy każda dawała i każdy dawał z siebie wszystko. I byli najlepszymi wersjami siebie samych. Tam na granicy na nowo nabrałam zaufania do policjantów i nawet ich polubiłam. Okazali się niesamowitymi ludźmi, poświęcającymi się całkowicie. Często zachowywali się po prostu bohatersko.

Wojna zniszczyła bardzo dużo. Nawet dla mnie, dawnej emigrantki – znajomych, bliższych i dalszych, w Ukrainie, tych, co zginęli, umarli, zaginęli. Pozbawiła mnie też dawnych znajomych i części rodziny z rosyjski, których uważałam za bliskie osoby. Wojna zablokowała jeden z moich języków dzieciństwa – rosyjski – pierwszy, w którym zaczęłam mówić. Kończyłam rosyjską szkołę, po rosyjsku myślałam, czułam, śpiewałam córce kotysanki, kochałam i żegnałam się na zawsze. A teraz ciężko mi nawet słuchać rosyjskiego. Wojna zniszczyła część mojej tożsamości i plany badawcze. W domu miałam dość solidny zbiór książek po rosyjsku. Tylko dziecięcych było 700 egzemplarzy. Już nie mam tych rosyjskich książek, pozbyłam się ich, nie mogłam na nie patrzeć. Po kilku tygodniach od 24 lutego pozbawiono mnie nadziei, że rosjanie, którzy byli wychowywani na tych samych książkach co ja i moje córki, opamiętają się, że odmówią udziału w zabijaniu i niszczeniu – i wojna szybko się skończy. Wojna nadal trwa.

Ale paradoksalnie – po tych stratach nie do odzyskania nabyłam nieznanej mi dotąd wielkiej wiary w ludzi, w zryw społeczny dla ratowania innych, w poświęcenie, w pokłady dobra i mocy w każdym i w każdej z nas, o które nikt nas nie podejrzewał. I to nie jest wynik jakiejś euforii, jej nie da się utrzymać w sobie przez 9 miesięcy pełnoskalowej wojny. To jest zbudowane na doświadczeniu silne przekonanie, którego już nikt nigdy mi nie odbierze.

Zdjęcia: Andrzej Romański

W artykule zachowaliśmy oryginalną pisownię zastosowaną przez autorkę (przyp. red.).

Oksana Lytvynenko mieszka w Polsce od 18 lat. Od 10 lat ma podwójne obywatelstwo – ukraińskie i polskie. Z wykształcenia jest pedagożką. Pracowała jako tłumaczka w różnych projektach NGO. Jest aktywistką społeczną i wolontariuszką na rzecz praw kobiet, była członkinią Zarządu Ogólnopolskiego Strajku Kobiet. Obecnie studiuje na V roku na Wydziale Humanistycznym UMK. Tłumaczy też dla naszej uczelni teksty zamieszczane na stronie w języku ukraińskim. Od 2014 roku była wolontariuszką na rzecz ukraińskich uchodźców i uchodźczyń; jako tłumaczka w szkołach, szpitalach, urzędach. Zbierała i wysyłała pomoc humanitarną dla wojska i sierot wojennych w Ukrainie. Od 24 lutego 2022 r. praca na rzecz zwycięstwa Ukrainy zastąpiła wszystkie dotychczasowe zajęcia.



Bogdan Burdziej

Fot. Andrzej Romański

Bogdan Burdziej

Konopnicka. Arcypoetka

Maria z Wasiłowskich Konopnicka – decyzją polskiego Sejmu współpatronka roku 2022 – przyszła na świat 23 maja 1842 roku w Suwałkach. Przy okazji do obchodów 180-lecia jej urodzin zapowiadały się skromnie. Tymczasem wybuchła wojna rosyjsko-ukraińska i zepchnęła na daleki margines także tę nie całkiem okrągłą rocznicę, dodatkowo ustępującą pierwszeństwa „aż” dwustuleciu polskiego romantyzmu.

Jest pewnym paradoksem, że inicjatywę sejmową w sprawie uhonorowania pisarki łączoną z wartościami konserwatywnymi zgłosili posłowie lewicy. W uzasadnieniu wniosku pisali o swej kan-

dydatce: „Za pomocą utworów protestowała przeciwko ustrojowi oraz niesprawiedliwości społecznej. [...] Walczyła o prawa kobiet, o pomoc dla więźniów politycznych i kryminalnych”. Wniosek zawierał też wzmiankę o Marii Dulębiance jako towarzyszce życia pisarki. Posłowie dali w ten sposób do zrozumienia, że podzielają racje tych środowisk, które od lat próbowały zrobić z Konopnickiej – wbrew prawdzie – feministkę, a z poetki chyba większej niż Safona... safonkę. Powiedzmy bez ogródek: z autorki arcypolskiej, w ich pojęciu „bogoojczyźnianej” Roty – lesbijki. Czy szykowano skandal? Niewykluczone.

Tymczasem jubileuszowy rok dobiega końca i chyba można już powiedzieć, że zamysł, by „taką”



Maria Konopnicka ok. 1875 r. (Biblioteka Narodowa w Warszawie. Polona.pl)

Konopnicką wziąć na sztandary obyczajowego Postępu, spalił na panewce i że środowiska w tej roli ją obsadzające bodaj całkowicie o swej protegowanej zapomnieli.

Nie wdając się zatem w roztrząsanie kwestii pozorów, postawionych fałszywie lub tylko błędnie, spróbujmy powiedzieć kilka słów o rzeczywistych zasługach Konopnickiej, o niej samej jako osobie i pisarce, a właściwie tutaj tylko o poetce, bo ta jej tożsamość, wyrażona w „sztuce rymotwórczej” najwyższej próby, jest – w moim przekonaniu – wystarczającym probierzem jej wielkości, tytułem do sławy i mocną przesłanką długiego trwania w żywym obiegu polskiej kultury *in futurum*.

„Znana? – Kto znał mnie?”

Stanisław Barańczak, rymopis nie zawsze zręczny, poświęcił Konopnickiej w swych *Biografiotach* żartobliwy epigramat, który dobrze odzwierciedla społeczny proces zamykania poetki w stereotypach i klepanych powszechnie ćwierćprawdach: „Spełniała w swojej epoce jedną z ważniejszych ról/ Jako wyrazicielka współczucia dla doli chłopa, doli wyrobnika, doli sieroty i kilku innych dól”. To prawie tak, jak o Norwidzie, twórcy *Quidama*, powiedzieć, że był autorem – *Częstochowskich wierszy*. Ona sama zdawała sobie sprawę z jednostronności odbioru swych dzieł. W *Imaginie*, obszernym poemacie dygresyjnym na miarę *Beniowskiego*, pisała o tym i z goryczą, i z autoironicznym dystansem:

Ale się lękam tak jak Mojżesz trądu,
Że po mej śmierci jakaś dłoń Judasza
Zacnie artykuł od słów: Znana nasza.

Znana? Kto znał mnie? Chcę widzieć człowieka,
Co by mi w oczy powtórzył to słowo
Tak, by mu kłamstwem nie drgnęła powieka.
Znana „nasza”. O nędzna wymowo.
Jakże ty jesteś od prawdy daleka!

Z „prawdą” o poetach, a właściwie o ich dziele, sprawa łatwa nie jest. Bolesław Leśmian, wielki miłośnik, ale i naśladowca Konopnickiej, ostrzegał: „Cokolwiek się powie o poezji, jest błędem”. Mimo to spróbujmy spojrzeć na jej dziedzictwo takim „błędnym” okiem z nadzieją, że obok już roz/poznanych i powszechnie uznanych wypatry ono wartości dotychczas nieodkryte lub nie dość cenione albo też jedne i drugie ułoży w inną konfigurację, tak, by się inny, bogatszy deseń odsonił.

Nascitur – poetessa

Stary, niewiadomego pochodzenia aforyzm powiada: *Poeta nascitur, non fit*. „Poetą można się urodzić, ale nie można nim zostać”. Wiemy dobrze, jak się kształtowała droga poetycka Kochanowskiego, Mickiewicza i tylu innych przed Konopnicką – od edukacji domowej, przez szkoły, gimnazja, uniwersytety, środowiska literackie, kulturalne i naukowe, wczesne próby wersowania, juvenilia zapatrzone w poprzedników, debiuty i początki uznania, a potem sławy – za życia lub za grobem. W ich formowaniu się jako poetów były oba pierwiastki wskazane w aforyzmie: dar naturalny, czyli talent, oraz jego staranna uprawa poprzez samo/kształcenie, częs-

to także filologiczne, a więc w rzemiośle słowa jako tworzywa poezji.

O tym, jak się narodziła (*nata est*) „znana nasza” autorka, jak się w Konopnickiej objawiła poetka, wiemy raczej niewiele. Prowincjonalne Suwałki jej dzieciństwa, potem gubernialny Kalisz lat młodych w czasach nasilającej się rusyfikacji po powstaniu listopadowym nie stwarzały warunków dla rozwoju przyszłej poetki. Formację moralną i intelektualną dał jej najpierw dom, w szczególności ojciec, prawnik, człowiek światły i prawy, patriota. W roku śmierci Mickiewicza (1855) mając lat 13, zaczęła Marysia roczną naukę na pensji siostr sakramentek w Warszawie. Tylko tyle i aż tyle – zgodnie ze zwyczajami epoki i na miarę możliwości finansowych ojca – otrzymała w zakresie edukacji. Cała reszta, wszystkie dokonania twórcze czterdziestu lat aktywności na niwie literackiej (od prawie anonimowego debiutu w 1870 roku do śmierci w 1910) były owocem jej samodzielnej wytężonej pracy – zachłannego wręcz samokształcenia i sokratejskiego samopoznania, nienasyconej żądzy czerpania ze wsząd: z przyrody odczuwanej aż nadzmysłowo i ze wszystkich dostępnych źródeł kultury, polskiej i powszechnej, z historii uniwersalnej i dziejów ojczystrych oglądanych w perspektywie chrześcijańskiego providencjonalizmu, z Pisma Świętego i z własnej, ewangelicznej wiary religijnej (niekiedy karconej publicznie przez płytką dewocję), przeżywanej jako sprawa najbardziej osobista, a zarazem jako niezbywalny pierwiastek tożsamości narodu, z którego losem autorka *Roty* wiązała w pełni swoje istnienie.

Matki ośmiorga – *vita nuova*

Matka ośmiorga dzieci (spośród nich dwójga niemowląt złożonych w „mogiłkach”), bardziej gospodyni domowa niż pani przy mężu, szlachcicu nieczułym na poezję, a w „pracach i dniach” niegospodarnym nader prozaicznie, po latach pożycia małżeńskiego, prawie bez środków materialnych przenosi się w 1877 roku do Warszawy, by już samotnie „zasiadać u stoła”. I tu zaczyna się jej „życie nowe”: *vita nuova* – *sub aegide* Apollina bezpieczna, owiana tchnieniem jego muz, ale za sprawą powikłanych losów dzieci, w cieniu śmierci najstarszego syna i choroby psychicznej jednej z córek, wypełniona „wieczną” troską i niepokojem.

Lekarstwo na tę prywatną udrękę i na wszystkie bóle świata: odwieczne, dawne i nowe, i przysze – przeczute i wyobrażone, znalazła Konopnicka w poezji. W jej życiowym doświadczeniu,



Maria Konopnicka. Graż, ok. 1897 r. (Biblioteka Narodowa w Warszawie. Polona.pl)

poetycko przetworzonym i utrwalonym, stałe było obecne współodczuwanie z każdym cierpiącym: z głodnym dzieckiem i poniewieranym starcem, z chorym i ułomnym, skrzywdzonym i poniżonym człowiekiem z nizin społecznych, „wolnym najmitą” i z każdym Hiobem, także tym na królewskim tronie (jak złożony trądem Abgar z Edessy w *Apokryfie*), z matką skrzywdzonej wiejskiej dziewczyny, z zamordowaną obrończynią prawdy Hypatią i z osądzonym za tej prawdy poszukiwaniem Galileuszem, wreszcie – z własnym narodem złożonym do grobu, z budzicielami jego ducha, z obrońcami na polu walki i z męczennikami w więzieniach, na wygnaniu, na „bezbieżnym białym polu” Sybiru (jak jej stryj Ignacy Wasiłowski). Oglądała przemijającą „postać świata” z wnętrza chrześcijaństwa, w jego źródłowych, biblijnych kategoriach, pojęciach i obrazach, od Genesis do Objawienia św. Jana na Patmos, przez cały Stary Zakon i Nowy Testament, w bodaj codziennej lekturze Pisma Świętego, którego egzemplarz w przekładzie ks. Jakuba Wujka zawsze spoczywał w jej kuferku podróżnym, dokądkolwiek się udawała.

„Umiem być ptakiem” – na szczytach

Właściwy jej debiut, już pod nazwiskiem, to artystycznie wybitny cykl *W górach* (1876), impresyjna i głęboko refleksyjna liryka pejzażowa, odkrywająca w „martwej naturze” tajemnice bytu oraz rozliczne więzi łączące człowieka z przyrodą. Tu w pięknej metaforze o Mickiewiczowskim rodowodzie: „Umiem być ptakiem” powiedziała też ważną rzecz o sobie samej, a mianowicie – ujawniła swą litera-

cką dojrzałość i przyjęła swój dalszy los jako poetki świadomej swego talentu.

Odkrywszy w sobie zdolność do lotu na skrzydłach słowa, przez pięć kolejnych lat Konopnicka intensywnie pisze wiersze, opublikowane następnie jako *Poezje* (1881), poetycki debiut książkowy. I zaraz potem – bez odpoczynku dla pióra po sukcesie u czytelników nieporównanie większym niż odzew na *Ballady i romanse* (1822) Mickiewicza – następuje wręcz erupcja jej mocy twórczej, która zrodzi kolejne tomy, tytułowane identycznie jak pierwszy (1883, 1887, 1896). Po nich – już w obrębie Młodej Polski – powstają tomy kolejne: *Linie i dźwięki* (1897), *Damnata* (1900), *Italia* (1901) *Drobiazgi z podróży teki* (1903), *Śpiwnik historyczny 1767–1863* (1904), *Ludziom i chwilom* (1905), *Nowe pieśni* (1905), *Głos ciszy* (1906). A w ostatnim roku życia, najtrudniejszym z powodu chorób i chyba najbardziej pracowitym, wychodzi *Pan Balcer w Brazylii* (1910), obszerna epeja chłopska wierszem, artystycznie wybitna, ideowo bogata i wciąż naukowo nieodczytana próba rywalizacji (*aemulatio*) z arcyepoematem Mickiewicza.

Na rymotwórcze *opus* Konopnickiej składa się kilkanaście obszernych tomów, a wśród nich dziewięć woluminów *Poezji* w „wydaniu zupełnym krytycznym” (1915), pośmiertna *Imagina*, zbiory wierszy dla dzieci oraz przekłady: bagatela – aż z sześciu języków. Dzięki ich znajomości poetka swobodnie poruszała się nie tylko w tłumaczonych dziełach, w ich duchu i literze, lecz także w życiu praktycznym, przede wszystkim zaś na szlakach swych licznych podróży za granicę. Jej *grand Tour* po Europie: do Italii i Francji, w krajach niemieckojęzycznych i u Słowian południowych, zaczął się w roku 1882 i trwał aż do śmierci. Zaowocował setkami utworów czerpiących inspirację, tematy oraz idee z tradycji kulturalnych wszystkich odwiedzanych krajów. W tej perspektywie jawi się Konopnicka jako wybitna poetka kultury, szukająca odpowiedzi na podstawowe pytania swojego czasu w dialogu z przeszłością, odnajdująca w niej uniwersalne wzorce ludzkiego losu, zdolne i ją, i jej czytelników zbliżyć do zagadki człowieka. Szczególną rolę w jej formacji intelektualnej i poetyckiej odegrał antyk, zarówno grecki, poznawany tylko z lektur i w muzeach (gdyż do Hellady nie dane jej było dotrzeć), jak i rzymski, doświadczany naocznie przez wiele lat.

Przeciw Platonowi – poezja wieczna

W latach 1876–1881 pisze Konopnicka serię wierszy poświęconych samej poezji, jej istocie, genezie,

związkom z muzyką, pieśnią i malarstwem, jej zakorzenieniu w ludzkiej duszy i trwaniu poprzez wieki jako niezbywalnego, „wiecznego” składnika kultury i dziejów ludzkości. Refleksję na ten temat prowadzi także później, już jako poetka w pełni dojrzała. Bodaj nikt w literaturze polskiej nie poświęcił tyle uwagi co ona sprawie samostanowienia poezji o sobie, jej prawa do istnienia. A nieprzyjaciół poezji miała Konopnicka wielu nie tylko wokół siebie, wśród rodzimych pozytywistów i czcicieli scjentyzmu w Europie, zwołujących „wyprawę przeciw zmęczonemu Pegazowi”, lecz także w tradycji najdawniejszej, greckiej właśnie, u Platona i w jego utopii doskonałego państwa, z którego wypędził on poezję i jej twórców jako tych, co wyrażając uczucia osłabiają rozum praktyczny i karność obywateli *polis*. Kunsztowny *Wstęp* („Za ostatnim poetą zamknęła się brama”) jest sarkastycznym oskarżeniem filozofa o niezrozumienie istoty poezji jako części ludzkiego jestestwa, a zarazem żarliwą jej apologią, obroną dajmonioną, który wygnaną z miasta pieśń wzbudza swoim tchnieniem w dziecku, niemym świadku ekspulsji poetów.

Antyk, Biblia, chrześcijaństwo

Starożytność grecka i rzymska dostarczyła Konopnickiej inspiracji u początków twórczości i pełniła tę rolę aż do końca jej podążania na „skątę pięknej Kalijopy”. W bogatym katalogu antycznych inspiracji znajdują się m.in. „archeologiczne” i zarazem hermeneutyczne odśłony przeszłości w *Helladzie* (*Klaudiusz*, *Tarcza Scypiona*), „duszoznawcza” *Hypatia* stająca w obronie prawdy, przenikliwy w diagnozowaniu ludzkiej kondycji dialog filozoficzny (napisany poetycką prozą) *Prometeusz i Syzyf*, zdobione antycznym intertekstem oktawy *Imaginy* (w jej zaś obrębie rozważania o *ars poetica*), a ponadto mnogość drobniejszych nawiązań, aluzji, cytacji w niepoliczonych „miejscach wspólnych” – jej dzieł z toposami tradycji klasycznej.

Już w debiutanckim tomie obok *Hellady* i *Romy* wskazuje Konopnicka kolejne i zarazem najważniejsze źródło swojej poezji – Biblię. Drogę ku niemu przecierają takie wiersze jak *Bóg się rodzi*, *W Zadaszny dzień* czy *Z dni smutku*, gdzie poetka stawia dramatyczne pytania, jak to: „Czy Tobie, Boże, imię ‘Grom’ i ‘Burza’/ Że świat Twój w ognjach się nurza?”. W późniejszych zbiorach, osobno zaś w cyklu *Z mojej Biblii* Słowo Boże z obu Testamentów jest już obecne przemożnie jako podstawa tematyczna wielu utworów i sfera odniesień dla niemal

wszystkich zagadnień, jakie autorka podejmuje: jej własnej, ściśle osobistej relacji z Bogiem, obecności zła, krzywdy niewinnych – jednostek i narodów, nadziei ocalenia z dziejowych opresji i zwycięstwa sprawiedliwości jeszcze tu na ziemi, wreszcie – nadziei zbawienia i wiary w żywot wieczny, gdy przeminie postać tego świata. Obrazy Księgi Rodzaju i Apokalipsy, Mojżesz, Ezdrasz, Psalmi, prorocy, Dobra Nowina odczytywana z Ewangelii, listów i Dziejów Apostolskich, a także z tradycji chrześcijańskiej zarówno w tym, co było w niej Boże, i w tym, co było zaprzeczeniem Bożych ustaw – to tylko pobieżny wgląd w złożoną materię jej dzieł zakorzenionych w Biblii.

Wiersze – jak obraz

Osobny dział w jej dorobku poetyckim stanowią utwory poświęcone konkretnym dziełom sztuk plastycznych: malarstwa, rzeźby, architektury, a także kompozycjom muzycznym i ich twórcom. Starożytna formuła: *ut pictura poesis* musiała być jej dobrze znana, skoro autorka *Imaginy* (łączącej ideę obrazu, *imago*, z wyobraźnią, *imaginatio*, warunkiem koniecznym każdej twórczości artystycznej) napisała kilkadziesiąt pięknych ekfraz, które nie tylko są opisem arcydzieł dawnych mistrzów, lecz także odnoszą ich znaczenia źródłowe i sens uniwersalny do pytań każdej nadchodzącej współczesności. Tytułem przykładu wystarczy wymienić takie cykle malarskie jak *Madonna* (a w nim takich malarzy jak Botticelli, Cimabue, Correggio, Giotto, Luini, Rafael, Vivarini), jak *W Sykstyń* (tu oprócz wiersza tytułowego znajdują się ekfrazy fresków Michała Anioła *Sybilli* pisze, *Stworzenie człowieka*, *Sąd* oraz wiersz muzyczny *Miserere* – o słynnym śpiewie w Kaplicy Sykstyńskiej). Na szczególną uwagę zasługuje cykl *Faun*, w którym poetka wykorzystuje trzy antyczne rzeźby, przedstawiające tę samą mitologiczną postać we śnie, w tańcu i w alkoholowym upojeniu, do zgłębienia tajemnicy, jaka tkwi w pierwiastku męskim, w płci męskiej – miłosnej żądzy, biesiadnego rozpasania, ironicznego dystansu wobec każdego kodeksu, wreszcie także buntu, nawet przeciw niebiańskim instancjom.

Arcypoetka

Przyzwyczajeni do myślenia o Konopnickiej w „szkolnych” kategoriach, o jakich pisał Barańczak, pewnie jeszcze nieraz bylibyśmy zaskoczeni odkryciem w jej poetyckiej spuściźnie jakichś nowych



Maria Konopnicka, fotografia portretowa z lat 80. XIX w. (Wikipedia)

„jakości” – w sferze tematów, idei, pomysłów artystycznych, a także nowego „piękna”: w kreacjach postaci historycznych i legendarnych, w obrazach natury, w górach – „pod Tatrami” i „na Jungfrau” w Alpach, i tam, gdzie „z łąk i pól” niesie się dźwięk fujarki. Piękny jest w jej poezji realny świat, owszem, pełen cierpienia i krzywdy, ale jednocześnie wypełniony sensem i dany każdemu z nas, już od dziecka, byśmy ten świat uprawiali i naprawiali nieustanną, aż po skon, pracą życia, czynem ducha, gdy ciało słabe (jak w wierszu *Trębacz*: „Ochotny jest-ci ludzki duch,/ Tylko – ułomne ciało”).

Cokolwiek się powie o poezji, jest – niepewne. Żadnej poezji wielkiej nie da się pomieścić nawet w najbardziej wyrafinowanej formule. Konopnicka jest – jak mi się zdaje – arcypoetką. Ona chyba o tym nie wie, ale jej poezja na pewno tak.

Prof. dr hab. Bogdan Burdziej – Katedra Edytorstwa i Literatury Polskiej, Wydział Humanistyczny UMK



Sztuka rozumienia rzeczywistości

Z prof. Włodzimierzem Winclawskim
o drodze życiowej i socjologii
rozmawia Wojciech Streich

– Zaczniemy od początku, czyli od Lubrańca, gdzie urodził się Pan w 1942 roku. Jak przebiegało Pańskie dzieciństwo i młodość?

– Lubraniec to już historia, niewyobrażalna dla współczesnego młodego pokolenia. Było to małe miasteczko rolnicze, ośrodek drobnej wytwórczości rzemieślniczej i handlu, świadczący usługi okalającym go terenom wiejskim. W zespoleniu z wioskami tworzył samowystarczalny organizm społeczny pod względem gospodarczym i kulturalnym. Oddalenie od miast i ośrodków przemysłowych skazywało ludność na izolację społeczną i mentalną, tworzyło określone warunki socjalizacji młodych pokoleń. Wychowywane było do uczestnictwa w życiu lokalnej społeczności, do przejmowania ról społecznych po rodzicach, co bez reszty kształtowało ich system wartości, który wyznaczał ich aspiracje i obszary podejmowanych działań. Zakorzenieni w odwiecznej tradycji kultury lokalnej, skazani byli na życie w izolacji od szerszego świata niemal do końca XIX stulecia, kiedy to doszło w pewnym stopniu do poluzowania gorsetu lokalnej społeczności. Lubra-

niec ożywiły migracje ludności, poczęte z końcem XIX stulecia, w ich następstwie napływ gotówki z USA i rozwój nowych aspiracji, wykraczających ponad dotychczasowe standardy kulturowe.

W okresie mojego dzieciństwa wstrzymane zostały procesy modernizacyjne miasta, co spowodowała okupacja niemiecka. Doszło do jego społecznej dezurbanizacji, wywołującej daleko idące zmiany struktury ludności, głównie w następstwie podjętych przez okupanta czystek rasowych. W latach 1941–1942 Niemcy wysiedlili ludność żydowską, stanowiącą ponad jedną trzecią populacji mieszkańców, bestialsko ją mordując. Mieszkania opróżnione po rodzinach pożydowskich zasiedlała najuboższa ludność z okolicznych folwarków. Byli to ludzie, którzy nie wzniesli się ponad poziom kultury ludów przedpiśmiennych, większość nie potrafiła czytać i pisać, nie miała żadnych kwalifikacji zawodowych. Stanowili „żywą skamienielinę” epoki feudalizmu z połowy XIX stulecia: inaczej się ubierali, posługiwali się wyłącznie gwarą, cechowała ich mentalność sprzed ponad stulecia, wyznawali inny system wartości. W ich

rodzinach panowała przysłowiowa bieda z nędzą, doskwierał im głód.

Zmiany okresu okupacji spowodowały, że wzrastałem w dwóch różnych światach: w rodzinie aspirującej do inteligentckiego stylu życia (rodzice mieli średnie wykształcenie) oraz wśród rówieśników, którzy w większości byli z rodzin robotników folwarcznych i wnukami dziadków z niedawnej epoki feudalnej. Wraz z nimi oddawałem się zabawom pastuchów sprzed lat, posługiwaliśmy się gwarą kujawską, którą notował jeszcze Oskar Kolberg. Nie najlepiej wyglądała sytuacja szkoły w Lubrańcu. Przyszło jej uporać się z brakiem kadry nauczycielskiej; okupant wymordował większość z miejscowych pedagogów. Zatrudniano osoby nieposiadające kwalifikacji. Moja „pani od polskiego”, przygotowana do zawodu w trybie przyspieszonym, poprosiła mnie o zrobienie jej drobnych zakupów. Jakież było moje zdumienie, gdy na kartce z listą produktów znalazła się „sul” (sic!). Na szczęście od szóstej klasy język polski przejęła „stara nauczycielka”, która uchroniła się od zagłady. Poziom nauki w szkole był opłakany, klasy były liczne, większość uczniów pochodziła z rodzin zaniebanych kulturowo. Nie przykładałem się do lekcji, aby zasłużyć na ocenę bardzo dobrą, wystarczyło mi powtórzyć podane na lekcji treści. Szczęściem dla mnie dużo czytałem, a to zawdzięczam matce, czytającej mi książki od wczesnego dzieciństwa.

– A szkoła średnia?

– Podjąłem naukę w sąsiednim miasteczku, Izbicy Kujawskiej, gdzie było liceum powołane tuż po wojnie przez grupkę osób miejscowego establishmentu, kierowaną ideą udostępnienia wykształcenia młodzieży z własnego środowiska. I ta szkoła borykała się z problemami kadrowymi. Uczyto dziesięcioro nauczycieli, tylko jedna osoba legitymowała się dyplomem magistra. Jedni trafili do liceum jako byli nauczyciele szkół podstawowych, którzy kończyli kursy dokształcające, drudzy mieli ukończone trzyletnie studia akademickie pierwszego stopnia, pozostałe trzy osoby nie miały formalnych kwalifikacji. Magisterium miał dyrektor szkoły Henryk Wysłouch. Był kimś więcej niż inteligentem z nadania uniwersyteckiego dyplomu, był nim także z arystokratycznego ducha. Na jego habitus złożył się kapitał kulturowy wyniesiony ze starego inteligentckiego środowiska wileńskiego ziemiańskiego. Jawił się jako osoba dystygnowana. Widoczne to było w mowie jego ciała, w gestykulacji, w pięknej

polszczyźnie, okazywanym szacunku każdemu interlokutorowi. Był wręcz opoką szkoły, prowadził ją przez najtrudniejsze lata.

Przypadek zrządził, że zainteresował się moja osobą. Wizytując internat, dostrzegł, że byłem jedynym uczniem, który nie odrabiał w tym czasie żadnych lekcji, lecz czytał książkę spoza listy szkolnych lektur. Dowiedziawszy się o mojej pasji czytelniczej, zaprosił mnie do szkolnej biblioteki. Zdziwiłem się, zastając tam dyrektora w roli bibliotekarza. Wręczył mi Rogera Martina du Garda *Rodzinę Thibault*. Polecane mi kolejne książki zmuszały mnie do poważnej refleksji światopoglądowej i moralno-społecznej. Pytał mnie zwykle o wrażenia z lektury, nie omieszkając prezentować własnych opinii, wtrącać uwag. Rozmowy te wynosiły mnie ponad szkolną sztampę. Nie prowadził żadnych lekcji w mojej klasie, a stał się najznamienitszym z nauczycieli, jakich dotąd spotkałem. Wiele mu zawdzięczam.

– Oprócz pasji do książek i chęci poznawania szerokiego świata, dość wcześnie pojawiło się u Pana zamiłowanie do sportu. Skąd ono się wzięło? Przykład rodzinny czy może chęć rywalizacji z innymi?

– Sport był autentyczną moją pasją. Posiadałem predyspozycje do jego uprawiania: byłem szczupły, wysoki, odczuwałem nieustannie głód ruchu. Uprawiałem lekkoatletykę w latach 1955–1961 oraz... 1994–2003 (!). W pierwszym okresie był to sport wychynowy, w drugim rekreacyjno-zdrowotny.

Byłem jedynakiem, stąd moja zachłanna potrzeba kontaktów z rówieśnikami. Od lat najmłodszych podejmowałem z nimi różne gry, najczęściej pastuchów wiejskich sprzed lat. W 1954 roku wrócił do Lubrańca Jan Wojciechowski, niedawny czołowy polski tyczkarz z wojskowego klubu. Skrzyknął kilku młodych chłopców, w tym i mnie, i podjął z nami trening. Powstała sekcja lekkoatletyczna LZS. Nasza mała grupka młodych lekkoatletów awansowała na czoło sportu młodzieżowego w powiecie włocławskim, zdominowaliśmy tu lekkoatletykę. Już w 1957 roku stanowiliśmy trzon reprezentacji powiatu na wojewódzkich mistrzostwach LZS w miasteczku Chełmnie, nieoficjalnej stolicy sportu wiejskiego woj. bydgoskiego.

Sport stał się jedną z najwspanialszych przygód w moim życiu! Oddawałem mu się *con amore*, przynosił mi radość i umacniał pogodę ducha. Przyjąłem za cel osiągnięcie mistrzostwa, z czym łączyła się konieczność zachowania zdrowego stylu życia, to-

też nigdy nie paliłem papierosów, nie piłem alkoholu, nie mówiąc już o narkotykach. Osiągane postępy w sporcie uświadomiły mi, że można wiele w życiu osiągnąć poprzez systematyczną pracę. Marzyłem o udziale w olimpiadzie.

– W 1965 roku kończy Pan studia pedagogiczne na Akademii Wychowania Fizycznego w Warszawie. Jakie wspomnienia pozostały z tej uczelni? Czy miały one wpływ na dalszy rozwój?

– Tak, podjąłem te studia motywowany pragnieniem znalezienia się w 1964 roku na podium olimpijskim w Tokio. W tym czasie jednak nie była to moja jedyna pasja. W stopniu coraz większym zacząłem fascynować się problemami, w które wprowadził mnie Zbyszek Kwieciński, kolega ze stadionu w Lubrańcu. Podjął po maturze studia na uniwersytecie toruńskim. Jak ja, odwiedzał Lubraniec, gdzie latem nadal spędzaliśmy czas na bieżni i skoczni. Jako student stał się bogatszy o nowe doświadczenia, stąd coraz częściej treścią rozmów stawały się zagadnienia niezwiązane ze sportem. Zdawał mi relacje z wykładów profesora Kazimierza Sośnickiego na tematy filozoficzno-pedagogiczne. Wyniósł poglądy społeczne o naprawie świata poprzez racjonalne pokierowanie procesem wychowania nowych pokoleń. Urzekł mnie tym! Idea ta połączyć nas miała na lata.

Wierzyliśmy w hasło pedagogiki kultury, głoszące: „Dajcie mi wychowanie ludzkości, a zmienię świat”. Stąd w warszawskiej uczelni na Bielanach niechętnie zaglądałem do treści obowiązujących studiów, oddając się samodzielnemu studiowaniu zagadnień społeczno-pedagogicznych. Do tego doszła choroba, która pogrzebała marzenia o karierze sportowej. W gruzach legły marzenie młodzieńcze o udziale w olimpiadzie, przyszło mi pogodzić się z porzuceniem sportu wyczynowego! Pozostała mi jednak druga moja pasja, utworzenie szkoły przyszłości. Stąd zaniedbując studia, nadal na własną rękę zgłębiałem wiedzę pedagogiczną i psychologiczną. W indeksie miałem marne oceny, ale wybrałem kierunek pedagogiczny i... zdałem magisterium z oceną bardzo dobrą, publikując fragment pracy w czasopiśmie naukowym. W tym też czasie przygotowaliśmy z Kwiecińskim i dwoma jego kolegami z UMK „Projekt szkoły eksperymentującej”, który zdobył nagrodę ogólnopolskiej konferencji studenckich kół naukowych.

– Po studiach wyjeżdża Pan na południe Polski, aby pracować w szkole podstawowej. Koniec marzeń?

– Postanowiliśmy zrealizować nasz młodzieńczy plan! Należało zdobyć szkołę. Jak jednak władze oświatowe mogły powierzyć szkołę młodokosom po studiach?! Próbowaliśmy znaleźć ją na terenach borykających się z brakiem wykształconej kadry. Stąd napisałem do kuratorów w Olsztynie, Wrocławiu, Szczecinie, Zielonej Górze, Koszalinie, prosząc o zatrudnienie mnie w szkole na wsi. Na terenach wiejskich Ziem Odzyskanych był rażący brak kadry z kwalifikacjami. Zewsząd przyszły pisma z informacją o „braku wolnych etatów”. Zdesperowany udałem się po pomoc do mojej ciotki, która piastowała stanowisko dyrektora departamentu kadr w Ministerstwie Oświaty. Na wieść o „flircie” z kuratoriami, zareagowała śmiechem, mówiąc: „Pomyśleli, że mają do czynienia z wariatem, bądź cwaniakiem!” W kilka dni otrzymałem telefon z informacją, że czeka na mnie i moją żonę posada w szkole na wsi koło Zakopanego i... kierownicze stanowisko!

Znaleźliśmy się w miejscowości leżącej „za siedmioma górami i lasami”, odległej od szlaków komunikacyjnych, wsi zaledwie od kilku lat zelektryfikowanej. Było to Ciche Górne koło Czarnego Dunajca. Peryferyjne usytuowanie skazało ją na biedę, zacołanie kulturowe i ciasnotę umysłową. Spotykałem tu rodziny, w których jadano drewnianymi łyżkami ze wspólnej glinianej miski. Szokiem dla nas było to, co zastaliśmy w szkole. Widok, jak nieomal sprzed wieku! Nieodparcie pojawiły się bardzo niepokojące myśli. Czyżby omamiła nas sentencja Jana Zamoyskiego, iż „zawsze takie Rzeczypospolite będą, jakie ich młodzieży chowanie”, do której tak często się odwoływaliśmy? A może jest na opak, że takie jest wychowanie, jakie są Rzeczypospolite? Znaleźliśmy się w ślepej uliczce? Wbrew okolicznościom nie opuściła nas wiara! Niezwłocznie porozumiałem się ze Zbyszkciem. W pełni godził się ze mną, uznając, że naszego projektu szkoły nie da się zrealizować w tych warunkach, co jednak nie miałooby prowadzić do porzucenia naszej idei. Uznaliśmy, że nadal dążyć należy do tworzenia tej szkoły, uwzględniając realia jej społeczno-kulturowego otoczenia. Udałem się do Zakładu Socjologii Wsi Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, wiodącego w kraju ośrodka badań społecznych wsi. Przedstawiłem nasze plany. Przyjęto nas na seminarium. Odtąd mieliśmy zdiagnozować warunki wychowania na wsi i w myśl ich wyników ukierunkować pracę szkoły. Oznaczało to podjęcie badań *stricte* socjologicznych. Wówczas narodziła się myśl o podjęciu doktoratu. Uzyskałem go po opublikowaniu książki, będącej pokłosiem badań w Cichem,



w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. Zatrudniono mnie w Instytucie Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN. Wróciliśmy z żoną do Warszawy, nadal ze Zbyszkciem uczestniczyliśmy w PAN-owskich seminariach socjologicznych. Myślałem o poświęceniu się pracy naukowej i habilitacji. Zbyszek namawiał mnie do pracy w UMK i do otwarcia studiów socjologicznych.

– Jak przebiegało to „otwarcie socjologii” w Toruniu?

– Bardzo opornie. Toruńska *Alma Mater*, okaleczona brutalnie w okresie stalinowskim, z trudem wydobywała się z głębokiego kryzysu. Nie przychodziło to łatwo, zwłaszcza w naukach społecznych. Były objęte „troskliwą opieką partii”, która dążyła do kształtowania socjalistycznej świadomości społeczeństwa. Szczególnie trudne było organizowanie studiów socjologicznych. Kolejne próby tworzenia tych studiów na UMK spalały na panewce. Od roku 1972 istniała w mieście pozaakademicka placówka socjologiczna, filia panowskiego instytutu PAN, kierował nią Kwieciński, który zatrudnił dwóch swoich doktorantów Ryszarda Borowicza i Andrzeja Kaletę. Stacja prowadziła terenowe badania socjologiczne selekcji społecznych w oświacie. Zespół wzmocniony przez moją osobę, stał się podglebiem socjologii na toruńskiej uczelni.

Władze uniwersytetu, które zmierzały do poszerzania ofert edukacyjnych, przyjęły mnie z otwartymi ramionami. Zatrudniony zostałem w Katedrze Pedagogiki. To, co tam zastałem niemiłe mnie zaskoczyło! Wiedza wyniesiona z PAN o instytucji naukowej, miała się nijak do tego, co tu zobaczyłem. Katedrą administrował „marcowy docent”, który jako żywo przypominał „naukowca” z dowcipu Józefa Chałasińskiego, profesora już starej daty, który drwił z pojawiającej się w polszczyźnie nazwy „naukowiec”, twierdząc z rozbawieniem, że jest to osobnik, który dziedziczy geny od owcy i od uczonego. Natomiast nie obdarzyły mnie zaufaniem władze partyjne (nie należałem do PZPR), choć nie stanęły na przeszkodzie w powołaniu Zakładu Socjologii i powierzenia mi kierownictwa w 1974 roku. Rozpocząłem starania o kierunek studiów. Wydział i Senat UMK mnie wspierały, udaremniała partia. Udało się to po piętnastu latach. Nabór na socjologię rozpoczęto po wyborach czerwcowych 1989 roku.

– Z czego był Pan szczególnie dumny, tworząc socjologię w Toruniu?

– Oczywiście, z urzeczywistnienia tego celu! No i z tego, że stworzyliśmy nowatorski program studiów, których – nieskromnie powiem – byłem pomysłodawcą. Czerpałem wzory z uniwersytetów

w USA i Wielkiej Brytanii. Osobiście udało mi się ściągnąć znakomitych profesorów w osobach Zbigniewa T. Wierzbickiego z PAN, Janusza Muchę z UJ, Piotra Hübnera z KBN, Krystynę Szafranec z PAN. Namówiłem do współpracy socjologizującego na UMK filozofa Andrzeja Zybertowicza i politologów – Romana Bäckera oraz Krzysztofa Piątka. Nieocenionymi byli Ryszard Borowicz i Andrzej Kaleta, którzy wkrótce otrzymali tytuły profesorskie. Zasiłił nas historyk społeczny Kazimierz Wajda oraz Lucyna Stetkiewicz, łącząca zajęcia z socjologii literatury z lektoratem języka angielskiego dla socjologów. Stan kadry Instytutu pozwolił na realizację zadań naukowo-badawczych i dydaktycznych na miarę standardów obowiązujących w nauce. Przyznawano nam corocznie akredytację w zakresie kształcenia socjologów, podobnie jak to miało miejsce na UW, UJ, UAM, UŁ. W sprawozdaniu dziekana z realizacji polityki osobowej i rozwoju naukowego na Wydziale za rok 1999, padło stwierdzenie, że „siłą naukową Wydziału Humanistycznego jest obecnie filozofia i socjologia, ta ostatnia zdobywa najwięcej środków z Unii Europejskiej”. Dziś kilku profesorów już nie żyje, kilku łącznie za mną odeszło na emeryturę. Trzon obecnej kadry instytutu to nasi absolwenci, kilku z nich to czołowi socjologowie w Polsce.

Dumny jestem także – znów się chwale – z zainicjowania i zorganizowania wraz z profesorem Czesławem Łapiczem Gimnazjum Akademickiego oraz z profesorem Andrzejem Kaletą Podyplomowego Studium Socjologii Wsi, które stało się forpocztą socjologicznych studiów stacjonarnych na UMK oraz

tworzenia zrębów Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Gdy odszedłem na emeryturę Senat przyznał mi tytuł „Honorowego Profesora UMK”.

– Zajmował się Pan socjologią wsi i wychowania do 1989 roku, po tym okresie – historią socjologii. Czego dotyczyły te badania?

– Po zakończeniu terenowych badań (Ciche, rejon wsi pod Płockiem, kariery młodych torunian), podjąłem studiach dziejów socjologii wsi i wychowania w Polsce, kierując się zamiarem poszerzenia ich na cały obszar krajów środkowowschodniej Europy. Pierwszą z prób było zarysowanie historii socjologii słowackiej (*Lud. Naród, Socjologia*. 1991). Z kolei przystąpiłem do opracowania dziejów socjologii w Polsce. Zdołałem jedynie opublikować czterotomowy *Słownik biograficzny socjologii polskiej* (2001–2011). Obowiązki dydaktyczne na kierunku socjologii zobligowały mnie do podjęcia gruntownych studiów historii powszechnej myśli socjologicznej (zacząłem wykład historii socjologii). Czas gonił nieubłagalnie, lat mi przybywało; odłożyłem pióro, nie kończąc podjętego dzieła. Jakies tam nadzieje kontynuacji planów pokładałem w powołanych „Rocznikach Historii Socjologii”, które zaczęliśmy wydawać od 2011 roku z inicjatywy mojego doktoranta Łukasza Dominiaka. Definitywnie zarzuciłem pracę badawczo-naukową tuż przed osiemdziesiątym rokiem żywota.

– Jak zmieniło się Pańskie spojrzenie na socjologię w miarę jej poznawania?

– Wszedłem do socjologii trochę takim wąskim korytarzem, a właściwie dwoma: przez socjologię wsi i socjologię wychowania (to są subdyscypliny socjologii). Gorzej było, i to rozumiałem po przyjeździe do Torunia, gdy przyszło mi uczyć propedeutyki socjologii na różnych kierunkach, a później historii socjologii, kiedy uruchomiliśmy studia. Musiałem uzupełniać tę wiedzę i to od pierwszej chwili przybycia na UMK, tj. w 1974 roku.

Z biegiem lat wiele rzeczy odkryłem na nowo i wiele rzeczy zrozumiałem. Na przykład, że przez proces wychowania nie zmienimy świata. Dowiedziałem się, poznając socjologię, że wychowanie jest funkcją społeczną i to, żeby wychować ludzi należy zacząć od zmiany stosunków społecznych (często mawialiśmy, że nie jest niemoralna prostytutka, niemoralne są warunki społeczne, które ją



ukszałtowały). Wtedy już doszedłem do tego miąższu socjologicznego i wyżyłem się tej pedagogicznej naiwności, bo pedagogika jest sztuką uczenia, a nie rozumienia rzeczywistości. Dotarło do mnie, jak niejednokrotnie rozumiano opacznie i przesadnie twierdzenie „że jeżeli będziecie wychowywać dobrze dzieci, to zmienicie świat”.

– Jak Pan, jako socjolog, ocenia przemiany społeczne i mentalnościowe, jakie zaszły w polskim społeczeństwie po 1989 r.?

– Zmiany mentalne, od czasu dzieciństwa spędzonego w Lubrańcu, młodości w Cichem po dziś dzień, są ogromne. Jednak nie objęły w takim samym stopniu całego społeczeństwa. Objęły one ludzi, którzy, że się tak wyrażę, „załapali się na szkołę”, sięgali do książek, a nie tylko zdali się na „Matysiaków” w peerelowskim radiu i dziennik TVP. Choćby tak szeroki ruch antyszczepionkowy czy sprzeciw wobec wcześniejszego posłania dzieci do szkoły, spowodował, że wstyd mi za współobywateli.

– Podczas prezentacji w czerwcu tego roku książki *Kosmos i życie*, prof. Jan Kopcewicz, jeden z autorów, powiedział, że bardzo krytycznie ocenia ludzi jako rasę i jego zdaniem stosunkowo szybko wyginie, jeżeli nie ograniczymy naszej chciwości i agresji. Jak Pan Profesor widzi naszą przyszłość? Czy także w takich czarnych barwach?

– Podpisuję się pod diagnozą stanu, którą przedstawił prof. Jan Kopcewicz, że kierujemy się

chciwością i agresją... Tylko pytanie, kto? Jeżeli ludzkość, to byłbym ostrożny. Nie patrzę na naszą przyszłość w czarnych barwach, gdyż wierzę, że przyjdzie opamiętanie. Utwierdza mnie w tym to, że pojawiają się ludzie sensowni, także wśród polityków. Chociaż politycy są sensowni, gdy wyborcy są sensowni, więc problem jest złożony. Ale ogólnie jestem optymistą. Proszę zwrócić uwagę, mówiliśmy, że komuna szybko nie upadnie, że będzie gniła w nieskończoność, a tu nagle wielkie bum i się skończyło. Wierzę, że znów coś się wydarzy, co spowoduje opamiętanie ludzkości.

– Prof. Włodzimierz Winclawski w życiu prywatnym: co Pan obecnie porabia i czy sport jest jeszcze składnikiem Pańskiego życia?

– Nieustannie kocham żonę (za rok nasze 60-lecie pożycia), dumą napawają mnie córki, wnuczka. Czytam książki, już nie socjologiczne. Już nie biegam maratonów, ale pozostaję zagorzałym kibicem. Bywa, że zarywam noce, gdy transmitowane są późną porą ważne zawody lekkoatletyczne. Cieszy mnie, że umiłowanie sportu pojawiło się u moich wnucząt – najstarsza wnuczka świetnie pływa (pływała w klubie w Australii i na uniwersytecie w USA), wnuk polubił siatkówkę. Często nachodzi mnie tęsknota, za znalezieniem się raz jeszcze na rozbiegu do trójskoku i odbicia się od belki. Jak przystało na starszego pana, zabrałem się do pisanía wspomnień.

– Dziękuję za rozmowę.

Zdjęcia: Andrzej Romański

Prof. dr hab. Włodzimierz Winclawski urodził się 21 sierpnia 1942 r. w Lubrańcu (pow. włocławski). W 1965 ukończył studia pedagogiczne na AWF w Warszawie pod kierunkiem Adolfa Molaka. W latach 1965–1969 nauczał w szkole podstawowej w Cichem Górnym oraz studiował socjologię w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN pod kierunkiem m.in. Bogusława Gałęskiego i Zbigniewa Tadeusza Wierzbickiego. Drugi z nich był promotorem pracy doktorskiej obronionej w 1970 r. Stopień doktora habilitowanego uzyskał w 1977, również we wspomnianym Instytucie, na podstawie rozprawy pt. *Typowe środowiska wychowawcze współczesnej Polski*. W 1974 r. zaczął pracować na UMK, gdzie kierował Zakładem Socjologii, a następnie Katedrą Socjologii. W latach 1978–1981 był prodziekanem, a od 1989 do 1993 dziekanem Wydziału Humanistycznego. W latach 1984–1986 pełnił funkcję prorektora ds. nauki. W 1990 otrzymał tytuł profesora nauk humanistycznych. Początkowo jego głównymi zainteresowaniami badawczymi były socjologia wsi i socjologia wychowania, w późniejszym okresie zajmował się historią socjologii polskiej i innych socjologii narodowych krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Jest autorem wielu publikacji, w tym m.in. wielotomowego *Słownika biograficznego socjologii polskiej*. W 2012 został redaktorem naczelnym „Roczników Historii Socjologii”. W 2015 r. prof. Włodzimierz Winclawski został Honorowym Profesorem UMK.

Kontynuujemy nasz nowy cykl, w którym prezentujemy sylwetki osób związanych z naszą uczelnią. Zachęcamy Państwa do współredagowania kolumny. Może któraś z Państwa koleżanek lub któryś z kolegów będzie bohaterem kolejnego odcinka? Obok nas są ludzie niezwykli. Pokażmy ich. (ewb)

Lidia Chylewska-Barakat

adiunkt w Katedrze Doskonałości Biznesowej na Wydziale Nauk Ekonomicznych i Zarządzania



Fot. Andrzej Romański

Jestem z Bytowa na Pomorzu. Na studia psychologiczne wyjechałam do Poznania. Teoretycznie bliżej jest Gdańsk, ale mi bliżej było do Poznania. Kojarzył mi się z poznaniem. I rzeczywiście lata w tym mieście silnie ukształtowały moje myślenie o człowieku. Trafiłam na moment intensywnego rozwoju koncepcji terapeutycznych i koncepcji zdrowia. A więc myślenia nie tylko o tym, co może pójść w życiu nie tak, ale też o możliwościach rozwoju, o profilaktyce zdrowia psychicznego. To dzięki temu wiele lat później trafiłam na UMK. Na studiach poznałam przyszłego męża – Syryjczyka. Wybrał Polskę, bo był zafascynowany Solidarnością, tym, co zrobił Lech Wałęsa, naszą bezkrwawą rewolucją. Dla niego to,

co stało się w Polsce, było ideałem. Można zrobić przemiany bez przemocy, bez agresji.

Doktorat napisałam o różnicach kulturowych w zakresie przemocy pomiędzy małżonkami w kontekście płci psychologicznej. Porównywałam kulturę arabską (na przykładzie Syrii) i polską. Bardzo ciekawe jest to, że inaczej rozumiemy agresję i przemoc. Tam na przykład uderzenie w twarz ma moc naszego klapsa. Symbolika zachowań przemocowych jest inna. Badałam więc najpierw definicje tych zachowań, ich rozumienie, a potem – ile jest tej przemocy i jaka ona jest. Stereotypowo zakładałam, że Arabowie są znacznie bardziej agresywni. Okazało się, że wcale nie. Przemoc fizyczna w małżeństwach

jest na bardzo podobnym poziomie. I u nas, i u nich przemoc jest obecna w dwudziestu kilku procentach małżeństw. Natomiast moje badania pokazały, że my Polki jesteśmy bardziej agresywne werbalnie niż Syryjki. Tam kobiety nie uciekają się od razu do krzyków czy wyzwisk. Jak coś się źle dzieje, najpierw idą do mamy męża czy siostry na skargę. Rodzina pilnuje, by w małżeństwie wszystko było dobrze. I agresywny mężczyzna nie jest tam szanowany. Badałam też stereotypy związane z płcią. Agresja w polskim stereotypie mężczyzny jest na czwartym czy piątym miejscu. W arabskim – na dwudziestym którymś. Męskość nie jest zdefiniowana przez agresję. Arabska męskość jest zdefiniowana przez troskliwość, opiekę. My tego nie dostrzegamy. Gdy widzimy, jak mężczyzna idzie przed kobietą, widzimy w tym brak szacunku. Ale dla nich to jest okazywanie troski. Tam zawsze było niebezpiecznie, to ukształtowało ich kulturę. Mężczyzna idzie przodem, by nie narażać kobiety na niebezpieczeństwo.

Do Syrii pojechałam wprawdzie za mężem, ale myślałam sobie, że skoro już ten doktorat zrobiłam, to niekoniecznie zostanę z dziećmi w domu (mamy ich czwórkę), tylko spróbuję to wykorzystać. Opanowanie języka arabskiego do takiego poziomu, że mogłam w nim pracować, było dla mnie niezwykle wzmacniającym doświadczeniem – sama sobie pokazałam, że jak się chce, to się da! To było dla mnie bardzo ważne, bo jak wiele ludzi w Polsce przeżyłam dzieciństwo w warunkach dużej niepewności. Tata alkoholik, mama, choć pełna miłości – uzależniona od leków. W takich domach nigdy nie wiadomo, co nas może spotkać...

W Syrii pracowałam najpierw w prywatnej szkole pod Damaszkiem – po angielsku. W szkole dla dzieci prominentów i biznesmenów. Szkole, która całkowicie przeczyła naszym wyobrażeniom o szkole w Syrii. Błyszczące ściany, połączane gałki klamek. Zatrudniono mnie tam, jak się później okazało, raczej dla prestiżu. Pani dyrektor przy każdej okazji się mną chwaliła; mają psychologa z zachodu, który ma doktorat i pracuje z dziećmi po angielsku. Ale możliwości pracy czy możliwości wprowadzenia zmiany miałam żadne. Wszyscy bardzo pilnowali, żeby niczego nie naruszać, nie podważać niczyjego autorytetu. Dzieci tam na przykład nie miały przerw. Wchodziły do klasy o godzinie 8, wychodziły o 17.30. Do ubikacji odprowadzała je specjalna pomoc. Próbowalam przekonywać, że przerwy pomiędzy przedmiotami są potrzebne, ale argumentowano, że podczas przerw trudniej dzie-

ciom zapewnić bezpieczeństwo. Ogromnie się o te dzieci bano.

Przeszłam potem intensywny dwuletni kurs arabskiego. Nauczyłam się nie tylko porozumiewać, ale i pisać. W Syrii, jak w innych krajach arabskich, są dwa języki, oficjalny (literacki, klasyczny, w którym spisany jest Koran) i potoczny. Kiedyś polscy studenci uczyli się wyłącznie fusha (języka oficjalnego). W krajach arabskich byli rozumiani, ale nikt z nimi nie chciał rozmawiać. To trochę tak, jakby obcokrajowcy mówili do nas językiem Kochanowskiego.

Gdzieś od 2004 roku zaczęłam pracować z irańskimi dziećmi – uchodźcami wojennymi. Pracowałam z osobami, które były w bardzo ciężkim stanie, po wielokrotnych próbach samobójczych, w silnym kryzysie, z pourazowym zespołem stresowym, po wieloletnich torturach, po wielokrotnych gwałtach. Udzielałam wsparcia, by te ledwo tłące się światła życia wzmocnić. Psychotraumatologia ma oczywiście metody takiego wsparcia, ale najważniejsze jest zwyczajne ludzkie bycie z kimś takim, wspólny płacz i wspólne nazywanie tego, co się stało. To ludzie są przyczyną traum, ale też tylko ludzie mogą pomóc z traumy wyjść.

Wyjechaliśmy z Syrii w 2012 roku, rok po rozpoczęciu rewolucji. Wtedy zrobiło się już bardzo niebezpiecznie. Mój mąż nie jest prorządowy, a rząd syryjski prowadził politykę atakowania bliskich takich ludzi, zwłaszcza kobiet.

Przyjechaliśmy do Polski praktycznie bez niczego, bo zakładaliśmy, że za parę miesięcy sytuacja się uspokoi i będziemy mogli wrócić. Przyjęto nas mieszane małżeństwo naszych przyjaciół z Bydgoszczy. Dokładnie tak, jak teraz przyjmujemy Ukraińców. Gdy okazało się, że nie mamy do czego wracać, wynajęliśmy mieszkanie od innych przyjaciół w Toruniu. Trzeba było zacząć życie od nowa.

Najpierw prowadziłam pojedyncze zajęcia na Wydziale Nauk Pedagogicznych i Wydziale Teologicznym. Potem na warsztatach coachingu prowokatywnego poznałam Magdę Kalińską, która rozkręcała na Wydziale Nauk Ekonomicznych i Zarządzania kierunek komunikacja i psychologia w biznesie. Potrzebowali kogoś do prowadzenia przedmiotów psychologicznych. I tak zaczęłam pracować na UMK na etacie. Wcześniej jeszcze utworzyłam własną firmę, bo chciałam prowadzić szkolenia i terapię. Praca na uczelni jest dla mnie wspaniałą przeciwwagą dla bardzo obciążającej pracy terapeutycznej.

Wysłuchała i opracowała Ewa Walusiak-Bednarek

Po co nam Święta?

Z dr. Adrianem Wójcikiem – adiunktem w Katedrze Psychologii Społecznej i Środowiskowej w Instytucie Psychologii UMK – rozmawia Ewa Walusiak-Bednarek

– Narzekamy trochę na to, że coraz szybciej w sklepach pojawia się świąteczny wystrój. Widzimy w tym komercjalizację świąt. Ale sam Adwent też zaczyna się kilka tygodni przed Świętami. Tak jakbyśmy nie mogli wejść w Święta z marszu. To czekanie jest nam do czegoś potrzebne. Do czego?

– Święta są okazją do celebrowania, także do celebrowania dostatku. Są wyznacznikiem naszego statusu. To nie jest przypadek, że podczas Świąt dużo jemy czy dajemy prezenty. Czekanie ma funkcję powiększania przyjemności. Dzięki czekaniu i potem porównaniu tego okresu przedświątecznego z samymi Świętami stają się one jeszcze bardziej przyjemne, na zasadzie kontrastu. Gdybyśmy weszli w Święta z codzienności nie byłoby tak wspaniale.

– Podobną funkcję ma post? Gdy czegoś sobie odmawiamy, potem mocniej odczuwamy przyjemność jedzenia?

– Tak. Zobacz, już w samą Wigilię też czekamy. Odwlekamy do wieczora świąteczny posiłek. Dla niektórych jest to pierwszy posiłek w tym dniu.

– A inne przygotowania? Po co sprzątamy dom, myjemy samochód, idziemy do fryzjera?

– Cały czas chodzi o to, do czego są nam Święta. Jedną rzecz to zmanifestowanie swojego statusu; pokazanie tego, że nas stać na przeżycie Świąt na odpowiednim poziomie. Takim, który stworzy ich wyjątkowość. Drugą rzecz to podkreślenie poziomu naszego zaangażowania w przygotowanie Świąt.

– Robimy to dla siebie czy dla ludzi, których zaprosimy?

– Odpowiedź brzmi – tak! Robimy to dla siebie, żeby podbudować swoją samoocenę i poprzez porównanie społeczne pokazać, że dobrze nam wychodzi, że mamy powody do świętowania. I chcemy, aby inni też to mogli docenić. Nie wiem, jak jest u Ciebie w rodzinie, ale u mnie zawsze Święta są okazją do rozmowy o tym, że my robimy Święta w sposób wyjątkowy – „nasze Święta są o wiele lepsze niż Święta innych; nasze pierogi są o wiele lepsze niż robione według innej receptury, nasza choinka piękniejsza od innych, itp.”. Jest w tym smaczek kompetytywny.

Porównujemy się, możemy się pokazać z najlepszej strony, i to jest fajne! To nie jest rywalizacja na serio. To rywalizacja z uśmiechem, ale jednak!

– Dobrze. Świetnie się przygotowaliśmy i siedzimy już przy świątecznym stole. Często te rodzinne spotkania są nieudane, nie mamy sobie nic do powiedzenia lub kłócimy się o jakieś głupoty. Jak to zrobić, by dobrze przeżyć to, co być może w Świątach najważniejsze – spotkanie?

– W Świąta zwykle spotykamy się ze swoimi bliskimi. A badania wskazują, że czas Świąt to jednocześnie czas bardzo podwyższonego poziomu stresu...

– Na początku roku i po wakacjach mamy wysyp pozwów rozwodowych.

– Tak, ale też w czasie Świąt mamy więcej niż zwykle zawałów serca. Świąta są niebezpieczne, nawet biorąc poprawkę na powody gastryczne. Dobrze, dlaczego wobec tego ludzie to sobie robią? Mówiłem już o tym, że chcą pokazać swój status, ale także – mówię to jako fan Świąt – po to, żeby podtrzymać wspólną rzeczywistość. Spotykamy się, by się upewnić, że inni mają poglądy podobne do naszych, że zachowują się podobnie jak my, że pamiętają podobne rzeczy co my. Świąta pod tym względem są bardzo unikalne. To jest okazja do podtrzymywania pamięci rodzinnej. Nawet jeżeli w ciągu roku jako rodzina jesteśmy rozproszeni, na Świąta się spotykamy. I wtedy możemy sobie przypomnieć, jak było rok temu, jak było dwa lata temu, trzy czy pięć. Mamy więc bazę do wytworzenia poczucia wspólnej identyfikacji jako rodzina. To pokazuje też, na czym powinniśmy się skupiać podczas świątecznych spotkań. Właśnie na tym, jak było kiedyś. Co zrobiliśmy rok temu do jedzenia, jakie były prezenty, jak wujek Mietek zbił żyrandol, otwierając szampana, i szkło pokryło cały świąteczny stół... Wówczas dramat, a dziś wspaniała anegdota, która wspiera naszą grupę rodzinną.

Z drugiej strony ważne jest, że podczas Świąt nie powinniśmy się skupiać na tym, co nas dzieli. Ostatnio ukazały się badania psychologów społecznych, które pokazują, że jeśli podczas Świąt porusza się tematy polityczne, zwłaszcza wtedy, gdy rodzina jest mocno wewnętrznie pod tym względem podzielona, to spotkania świąteczne trwają krócej. Te sprawdzone mechanizmy podtrzymywania wspólnej

rzeczywistości, wspólnej identyfikacji – wówczas się rozpadają. A więc darujmy sobie rozmowy polityczne przy świątecznym stole. Świadomie zarządzajmy świątecznym spotkaniem.

– Czyli spotykamy się podczas Świąt, żeby się upewnić, że wszyscy myślimy tak samo?

– W podobny sposób.

– Powinniśmy więc unikać tematów trudnych? Tematów ważnych? Nie dyskutować, tylko skupić się na sprawach prostych, codziennych, a więc na jedzeniu czy na historyjkach rodzinnych?

– Wspominanie historyjek rodzinnych to uniwersalny, bardzo dobry sposób spędzania Świąt. Zwróć uwagę na to, że Świąta dają nam poczucie ciągłości. Nas – jako rodziny, jako pewnego rodzaju wspólnoty. A wspólnota jest czymś bardzo ważnym w życiu codziennym. Przy świątecznym stole już pewnych osób nie ma, ale możemy wspominać ten czas, gdy były. Przywołując wspomnienia, stwarzamy poczucie ciągłości naszej rodziny.

– W Świąta „wszyscy wszystkim ślą życzenia”.

– Życzenia, które podczas Świąt składamy, są raczej wystandaryzowane. Życzymy rzeczy podstawowych; zdrowia, szczęścia, pomyślności. To jest OK. Według mnie życzenia to tylko dodatek do całej reszty, pewna część świątecznego rytuału.





– Chyba już nie wierzymy w to, że jak życzenia wypowiemy, to się spełnią. Ale może mówimy w ten sposób o tym, co byśmy chcieli dla naszych bliskich, może w ten sposób przekazujemy naszą miłość czy przynajmniej życzliwość?

– Ale chyba jednak jakoś w te życzenia wierzymy! Jeśli życzymy sobie 100 lat czy spotkania w tym samym gronie za rok, to wierzymy, że tak będzie.

– A więc zaklinamy w jakiś sposób rzeczywistość? Cały czas wierzymy w magię słowa?



– Myślę, że warto na to spojrzeć jeszcze w innych kategoriach. Mamy Świąta i jasno określony scenariusz tych Świąt. Mamy przygotowane jedzenie i wieczerzę, która rozpoczyna się od życzeń. Mamy potrawy, które w określonej kolejności trafiają na stół. Ten rytuał daje nam poczucie kontroli. Dokładnie wiemy, co się będzie działo w Świąta. Bardzo często w życiu codziennym takiej kontroli nie mamy, w Świąta – tak! Wiemy, jak przejść od punktu A do punktu B. Tu życzenia, tu pierwsza potrawa, tu druga, tu pierogi, tu kutia, tu prezenty, tu rozchodzimy się. To jest bardzo bezpieczne. Gdybyśmy sobie nie składali życzeń, wybilibyśmy się z tego bezpiecznego rytuału.

– No dobrze, ale są osoby, które właśnie mają kłopot z tym uczestniczeniem w rytuale, z tym, że muszą wypowiadać formułki, które tak naprawdę nic nie znaczą. Nie dotyczy to zresztą tylko Świąt, także urodzin, jubileuszy, uroczystości uniwersyteckich itp. Powtarzamy te same słowa, przez co stają się kalkami bez wartości.

– Protestuję przeciw takiej interpretacji. Może nam się wydawać, że robimy coś w sposób niezręczny, jeśli nie potrafimy jakichś oryginalnych życzeń wymyślić. Ale spokojnie, wszystko będzie dobrze, wszystko pójdzie według skryptu. Nie musimy się tym przejmować. Sam fakt wypowiedzenia życzeń w określonym momencie wystarczy. To kontekst narzuca im określone znaczenie i wartość.

– Przebrnęliśmy więc przez życzenia i teraz jemy. Mówiliśmy już trochę o jedzeniu. Ważne jest, że podajemy co roku te same potrawy.

– No tak, bo i to tworzy wspólnotę. Potrawy nie są na Wigilię przypadkowe. Z reguły wiążą się w jakiś sposób z historią naszej rodziny. Na kolacji wigilijnej u rodziny mojej żony każda potrawa ma swoją historię. Kutia i pierogi, bo rodzina mieszkała na kresach. Podczas jednej z Wigilii poczułem się jeszcze bardziej związany z rodziną żony, bo teściowa zrobiła smażonego karpia, którego nigdy na Wigilię nie podawała, a który był zawsze w moim domu rodzinnym. A więc jedzenie to nie tylko potwierdzenie statusu w trudnym czasie zimowym, jedzenie ma także charakter symboliczny. Bo to jest NASZE jedzenie.

– Wprowadziłeś smażonego karpia na stół wigilijny w rodzinie żony. Czyli stworzyłeś nową tradycję.

Już teraz zawsze podczas jedzenia smażonego karpia w waszej rodzinie będzie się to wspominać.

– Tak! Potrawy mają też oczywiście znaczenie regionalne. Trochę co innego podajemy w Kujawsko-pomorskiem, co innego w Wielkopolsce. Jedzenie jest więc także celebrowaniem mikro kultury. Na co dzień o tym nie myślimy.

– Właśnie, być może to jest w Świątach bardzo ważne – myślenie o tym, o czym na co dzień nie myślimy. Zapytam może trochę znieścacka o święta śmierci, bo i Halloween, i Święto Zmarłych tak nazywać można. Czy to myślenie o śmierci, którą na co dzień wyparliśmy z życia, jest dla nas dobre?

– Zależy jak do tego podejźmy. Zwykle myśli o śmierci wypieramy, myślenie o przemijaniu powoduje poczucie braku kontroli. Święto Zmarłych możemy różne obchodzić. Łatwo jest wejść w myślenie o śmierci, o zagrożeniu, o tym, że wszyscy umrzemy, nasza grupa rodzinna umrze itp. To jest naprawdę bardzo mocny przekaz i bardzo mocny balast psychiczny. Albo możemy tak o tym myśleć, by tworzyć pewną ciągłość. Ciągłość pomiędzy nami a naszymi przodkami. Pokazywać, że w symbolicznym sensie podlegamy uniesmiertelnieniu. Jestem częścią mojej rodziny. Tu moja babcia, tu dziadek, który był piekarzem. Potem moja mama. Opowiadamy sobie historię naszego życia, skąd jesteśmy, skąd przychodzimy. To może być wyzwalaające.

– W naszej rozmowie wielokrotnie przewija się motyw czerpania siły z naszych przodków, z historii naszej rodziny.

– Psycholog by ci powiedział, że aktywowanie myślenia o śmierci może prowadzić do wielu negatywnych efektów społecznych. Aktywowanie myśli o śmierci powoduje zamykanie się na inne grupy społeczne i etniczne; stajemy się bardziej punitywni wobec osób, które łamią normy moralne naszej grupy. Wszystko po to, żeby uzyskać poczucie kontroli nad własnym życiem. Z drugiej strony myślenie o śmierci możemy kontrolować. Możemy myśleć o śmierci jako o końcu czegoś albo jako o procesie, w którym coś się kończy, ale nasza grupa społeczna czy narodowa ciągle istnieje. Mówienie o przodkach, podkreślanie ciągłości – oni nie żyją, ale my żyjemy i jesteśmy ich potomkami, kontynuujemy ich



tradycję – to powinno negatywne efekty myślenia o śmierci osłabić.

– Święta, święta i po świętach. Dlaczego wielu z nas odczuwa wtedy ulgę?

– Nie mam tu dobrej odpowiedzi. Pewnie zasadnicze jest to, jak się czujesz związany ze swoją rodziną na wejściu. Jeśli to są dla ciebie obcy ludzie, to Święta mogą być czymś strasznym. Jeżeli zaś twoja rodzina ma długotrwałą tradycję, pewne rytuały celebrowane podczas Świąt, to będzie to dobry czas. Święta są pewnego rodzaju wysiłkiem. To, żeby podtrzymać te tradycje, żeby to robić w podobny sposób przez długi czas. Ale to odtworzenie rutyny daje zarazem poczucie bezpieczeństwa. I można też tę rutynę aktywnie kreować. Można się umówić na coś nowego w rodzinie. W rodzinie mojej żony na miesiąc przed Świątami dokonujemy losowania prezentów – kto komu robi prezent. Wcześniej z prezentami był spory kłopot. Teraz mamy wypracowany sprawiedliwy system. I ta nowa tradycja też ma charakter spajający.

– Celebруемy zatem nasze rodzinne rytuały i nie bójmy się zostawiać w nich swoich śladów. Dziękuję Ci bardzo za rozmowę. Jakie życzenia złożysz Czytelnikom „Głosu”?

– Z perspektywy psychologicznej – bycia Świętym Mikołajem dla innych i trafionych prezentów. Bo obdarowywanie innych bardziej podwyższa nasze zadowolenie niż ich dostawanie. A poza tym – po prostu kwantów pozytywnej energii!

Natalia Stawarz

Wigilia Bożego Narodzenia jako czas duchów

Etymologia terminu „wigilia” wywodzi się od łacińskiego słowa „vigilia” oznaczającego czuwanie, wartę lub straż nocną. Wigilia Bożego Narodzenia to rzeczywiście czas radosnego wyczekiwania, ale również dziwów, nadprzyrodzonych zjawisk i magii.

Tej jednej nocy świat wymyka się ludzkiemu pojmowaniu, aby przejść we władanie nieodgadnionych sił nadprzyrodzonych. Wigilii towarzyszy osobiwy nastrój, który wzbudza zarówno radość, jak i strach. Przynajmniej takie wyobrażenie tego święta towarzyszyło naszym przodkom.

Boże Narodzenie wraz z poprzedzającą je Wigilią to przede wszystkim chrześcijańskie święto, którego tradycje wykreowały się z licznych praktyk i obrzędów religijnych różnorodnych wyznań, narodowości i kultur. Wspólnym mianownikiem wszystkich misterii był czas. Rzymianie na przełomie jesieni i zimy obchodzili szereg ważnych uroczystości kultowych, poczynając od radosnych ceremoniałów na cześć Saturnaliów, czyli święta jesiennych zasiewów. 23 grudnia przypadały Lapidaria upamiętniające zmarłych przodków, ale już dwa dni później

z ciemności najdłuższej nocy w roku wyłaniało się światło i następował Dzień Narodzin Niezwyciężonego Słońca (*dies natalis Solis Invicti*). Geneza owego święta wywodziła się z obchodów ku czci perskiego bóstwa solarnego, Mitry. Narodziny Chrystusa jako Boga i Zbawiciela doskonale wpisywały się w narrację misterii związanych z narodzinami światła, dlatego Kościół wcielił tę właśnie datę do kalendarza liturgicznego.

U Słowian święta ku czci zmarłych obchodzono cztery razy do roku i każde z nich wypadało w czasie przesilen i równonocy. Wśród nich najbardziej uroczyste celebrowano zimowy dzień zaduszny, czyli dzień, w którym dziś przypada Wigilia Bożego Narodzenia. Był to również czas, kiedy kończył się stary rok, aby już 25 grudnia rozpoczął się nowy cykl wegetacyjny.

Dzień oraz noc wigilijna, która była postrzegana jako najdłuższa i najbardziej enigmatyczna wśród nocy roku, wymagały pewnej rytualizacji pod postacią licznych i różnorodnych praktyk. Czas wówczas przyjmował formę usakralizowaną, gdyż wszechświat oraz byty ziemskie i pozaziemskie jednoczyły się pod wspólną ideą narodzin Boga. Wierzano, że na tę jedną zimową noc natura powraca do pełni życia, a w ziemi i niebie pojawiają się wyłomy. Z tego powodu dusze zmarłych mogły wędrować do świata żywych i powracać do swoich bliskich jako istoty niewidzialne lub przybierać ludzką formę i nawiedzać domowników jako nieznajomi.

W Wigilię należało więc zachować wszelkie środki ostrożności, aby nie zranić, nie przestraszyć lub nie obrazić duchów. Nie wolno było siadać, zanim nie dmuchnęło się na krzesło, stołek albo ławę i nie przeprosiło zmarłego, który mógł w tym momencie akurat tam zażywać odpoczynku. Nie można też było w ten dzień prząść, tkać, szyć, energicznie zamiatać w kierunku drzwi, rąbać drewna, spluwać na podłogę, wylewać pomyj, a nożyc, noży oraz innych ostrych przedmiotów należało używać bardzo



ostrożnie. Goście z zaświatów mogli czuć się przytłoczeni również niektórymi ludzkimi zachowaniami, dlatego unikano płaczu, kłótni, smutku lub pożyczania czegośkolwiek sąsiadom, a zwłaszcza ognia.

Ogień w noc wigilijną pełnił bardzo ważną funkcję, której geneza sięgała czasów pogańskich oraz słowiańskich zaświatów – Nawii. Prawdopodobnie wyobrażano ją sobie jako miejsce ponure, pozbawione ciepła, światła oraz wygód życia doczesnego. Z tego powodu podczas świąt ku czci zmarłych rozpalano wielkie ogniska, które służyły jako drogowskazy dla przodków oraz miejsca, w których zziębnięte dusze mogły zaznać ukojenia. Ten relikw przetrwał do dziś w postaci płomienia świecy rozpalanego na czas wieczerzy wigilijnej. W przeszłości starano się podtrzymywać ogień w piecach przez całą noc, aby zmarli mogli się przy nim ogrzać.

Postne potrawy, które traktujemy jako element chrześcijańskiej tradycji, w rzeczywistości stanowią jadło uznawane w zamierzonych czasach za żałobne. Zanoszono je na groby w ofierze zmarłym lub spożywano w trakcie uczty zadusznej. Owa tradycja wywodziła się z przekonań, że dusze ludzkie również musiały od czasu do czasu zaspokajać głód, który cierpiały w nieprzychylnych słowiańskich zaświatach. W jadłospisie wigilijnym więc zachowały się kasza, bób, groch, fasola, ciemny mak, miód, jajka oraz orzechy i jabłka, które pierwotnie wykorzystywano także jako ozdoby świąteczne. Na świątecznym stole nie mogło również zabraknąć grzybów, które miały ułatwiać kontakt z zaświatami.

Dawniej kolację wigilijną spożywano w zupełnym milczeniu. Ten obyczaj nawiązywał do słowiańskich biesiad zadusznych, kiedy to goście konsumowali posiłki w ciszy, aby uczcić pamięć po przodkach. Dziś Wigilii nadal towarzyszy podniosła atmosfera, ale jest to czas dla rodziny, dlatego nie brakuje rozmów, żartów i wspomnień, które nierzadko dotyczą bliskich zmarłych.

W tę jedną wyjątkową noc duchy stawały się integralną częścią świata żywych i powracając do swoich dawnych domostw, mogły spodziewać się szacunku i opieki. Wierzono, że zapewnienie dobrej gościny przodkom zaowocuje urodzajem w nadchodzącym roku. Nie żałowano więc jadła i trunku. Gospodarz, a w ślad za nim inni uczestnicy wieczerzy, pozostawiali ofiarę dla dusz w postaci resztek posiłku oraz wódki na dnie szklanek. Uznawano, że zmarli „liżą łyżki”, więc zwyczajowo nie sprzątano w wigilię stołu i nie zamykano spiżarni, aby nie przebrać umarłym wieczerzy. Nie odmawiano im też



„świętego chleba”, aby mogli tę nadzwyczajną noc przeżyć wraz z najbliższymi. Pod wpływem chrześcijaństwa goście z zaświatów zniknęli z naszych domów. W kulturze ludowej zastąpiono ich Matką Boską, świętymi patronami oraz niebiańskimi aniołami. Współcześnie uchowała się jedynie tradycja pozostawiania dodatkowego nakrycia dla zagubionego wędrowca. W przeszłości to miejsce było przeznaczone dla dusz przodków, które mogły przybierać formę zarówno materialną, jak i efemeryczną.

Przybysze z nadnaturalnego świata mogli także powracać pod postacią zwierząt. Świat fauny, zwłaszcza tej spoza ludzkiej ekumeny, przynależał do dzikiego *sacrum*, dlatego istniało przeświadczenie, że zwierzęta pełnią rolę medium między ziemią a zaświatami. W Wigilię szczególnym szacunkiem darzono zwłaszcza ptaki i wilki, czyli istoty, które w ludowych wierzeniach miały znajdować się najbliżej świata duchów. Wypadało więc traktować je w ten dzień z troską i życzliwością.

Dla duchów czas płynie zupełnie inaczej niż dla ludzi, dlatego po wigilijnej nocy należało ten „dziwny” czas odczarować. Zmarli musieli zrozumieć, że nadeszła ich pora powrotu. Inaczej, ich obecność mogłaby zaszkodzić domownikom. Ciszę wigilijnej nocy przerywały liczne hałasy dobywające się z gospodarstw. Następował bowiem obrzęd rytualnego wypędzenia przodków. Zewsząd rozlegały się wystrzały petard, krzyki oraz uderzenia w garnki, stoły i ławy. Niezwykli goście odchodzili wraz z nastaniem bożonarodzeniowego ranka, aby powtórnie wrócić za rok.

Literatura

Bylina St., *Słowiański świat zmarłych u schyłku pogaństwa. Wyobrażenia przestrzenne*, Kwartalnik Historyczny, t. 4, 1993, s. 73–88.

Gieysztor A., *Mitologia Słowian*, Warszawa 2008.
 Fischer A., *Zwyczaje pogrzebowe ludu polskiego*, Lwów 1921.
 Komentarz do Polskiego Atlasu Etnograficznego t. V. *Zwyczaje, obrzędy i wierzenia pogrzebowe*, pod red. J. Bohdanowicz, Wrocław 1999.
 Landowski R., *Dawnych obyczajów rok cały. Między wiarą, tradycją i obrzędem*, Pelpin 2000.
 Moszyński K., *Kultura Ludowa Słowian. Część II. Kultura Duchowa*, zeszyt 1, Kraków 1934.
 Moszyński K., *Kultura Ludowa Słowian. Część II. Kultura Duchowa*, zeszyt 2, Kraków 1939.

Ogrodowska B., *Święta polskie. Tradycja i obyczaj*, Warszawa 2000.
 Szymanderska H., *Polskie tradycje świąteczne*, Warszawa 2003.

Natalia Stawarz jest magistrem archeologii i historii na Wydziale Nauk Historycznych. Obecnie kończy pracę doktorską pt. „Śmierć jako element życia. Interdyscyplinarne badania cmentarza przy kościele św. Jakuba w Toruniu (XIV–XIX w.)”.

Nagrody Nobla 2022

Nagroda Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny

Nagroda Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny w 2022 r. została przyznana 3 października br. za odkrycia dotyczące genomów wymarłych człowieka i ewolucji *Homo sapiens*.

Zdobywcą tego wyróżnienia jest Svante Pääbo, szwedzki biolog specjalizujący się w genetyce ewolucyjnej twórca i kierownik Instytutu Antropologii Ewolucyjnej im. Maxa Plancka w Lipsku, gdzie m.in. kierował pracami w dziedzinie genomów neandertalczyka oraz człowieka z Denisowej Jaskini, przyczyniając się do powstania nowej dziedziny nauki – archeogenetyki.

Komentatorzy podkreślają, że to nagroda z pogranicza kilku nauk: genetyki, antropologii, paleobiologii, przyznana za odkrycia dotyczące ewolucji

Homo sapiens, naszej plastyczności i zdolności do adaptacji w różnych warunkach środowiskowych, co zawdzięczamy różnorodnemu, mitochondrialnemu DNA. Prawdopodobnie stanowiło to zaczątek postępu mentalnego i intelektualnego człowieka.

„Dzięki swoim pionierskim badaniom Svante Pääbo dokonał czegoś pozornie niemożliwego: zsekwencjonowania genomu neandertalczyka, wymarłego krewnego współczesnych ludzi. Dokonał także sensacyjnego odkrycia nieznanego wcześniej hominina, czyli człowieka z Denisowej Jaskini (denisowianina). Co ważne, Pääbo odkrył również, że nastąpił transfer genów z tych wymarłych hominidów do *Homo sapiens* po migracji z Afryki około 70 tys. lat temu. Ten starożytny przepływ genów ma dziś znaczenie fizjologiczne, np. wpływa na reakcję naszego układu odpornościowego na infekcje” – napisano w uzasadnieniu decyzji Komitetu Noblowskiego.

Zdaniem prof. Michała Grąta z Katedry i Kliniki Chirurgii Ogólnej, Transplantacyjnej i Wątroby WUM: „To pierwsza nagroda Nobla przyznana za podróż w czasie. To znaczy, że Svante Pääbo wykorzystał nowoczesne zdobycze medycyny i biologii molekularnej do tego, żeby przekroczyć granice czasu i odpowiedzieć na niezwykle skomplikowane pytania dotyczące okresu, którego nie mógł obserwować, z którego nie ma zachowanych żadnych źródeł. Było to możliwe poprzez analizę genetyczną. Badacz musiał przezwyciężyć trudności związane z uszkodzeniem badanego DNA, które przecież podlegało działaniu różnych czynników fizycznych



i chemicznych. Przewyciężył te trudności i pozwolił nam na poznanie, skąd jesteśmy, jak wyglądały nasze początki. Potwierdził, że my, jako *Homo sapiens*, współistnieliśmy z innymi hominidami”.

Przełomowe badania Pääbo dały początek zupełnie nowej dyscyplinie naukowej: paleogenomice.

Warto wiedzieć, że jego ojcem był Sune Bergström – laureat Nagrody Nobla (1982), a matka Karin Pääbo – estońska chemiczka.

Nagroda Nobla w dziedzinie fizyki

Alain Aspect, francuski fizyk, absolwent École Normale Supérieure de Cachan. Do 1994 roku był zastępcą dyrektora Instytutu Optyki Teoretycznej i Stosowanej (SupOptique) w Palaiseau. Jest członkiem Francuskiej Akademii Nauk i Francuskiej Akademii Technologii oraz profesorem École Polytechnique w Paryżu; **John Francis Clauser**, amerykański fizyk eksperymentalny, zajmujący się interferometrią i mechaniką kwantową, związany z Lawrence Livermore National Laboratory i University of California at Berkeley oraz **Anton Zeilinger**, austriacki fizyk doświadczalny, specjalizujący się w interferometrii kwantowej, profesor na Uniwersytecie w Wiedniu (wcześniej Uniwersytecie w Innsbrucku), to uczeni, którzy otrzymali w 2022 roku Nagrodę Nobla w dziedzinie fizyki.

Wyróżnienie to podzielono równo pomiędzy trzech naukowców, zajmujących się badaniami nad stanem splątaniem, czyli szczególnym stanem kwantowym, w którym dwie cząsteczki zachowują się, jakby stanowiły całość, nawet jeśli są rozdzielone. Tegoroczni laureaci, jak głosi uzasadnienie, zostali uhonorowani „za eksperymenty ze splątanymi fotonami, potwierdzenie nieprawidłowości nierówności Bella i ułożenie drogi dla informatologii (ang. information science) kwantowej”.

Należy podkreślić, iż obecne badania związane z mechaniką kwantową są niezwykle dynamicznie rozwijającą się gałęzią nauki. Zajmują się ona między innymi komputerami kwantowymi, sieciami kwantowymi (ang. quantum networks), a także bezpieczną komunikacją, opartą na kryptografii kwantowej. Kluczowym elementem dla rozwoju tych badań jest wspomniany stan splątany, w którym cokolwiek stanie się z jedną cząsteczką, stanie się również z drugą.

Przez długi czas działanie splątania było dla naukowców wielką zagadką. Jedną z teorii były ukryte zmienne, które przekazywały splątanym cząsteczkom, jak powinny się zachować. W latach 60. ubiegłego wieku John Stewart Bell wyprowadził mate-

matyczną nierówność, która została nazwana jego imieniem. Zakładała ona, że jeśli ukryte zmienne istnieją, korelacja wyników dużej liczby pomiarów nigdy nie przekroczy konkretnej wartości. Jednak według mechaniki kwantowej, w przypadku szczególnego typu eksperymentu wartość ta zostałaby znacznie przekroczona. Ideę Johna Bella rozwinął John Clauser, przeprowadzając badania w praktyce. Wyniki pomiarów wsparły teorię mechaniki kwantowej, wyraźnie nie zgadzając się z nierównością Bella. Oznacza to, że mechanika kwantowa nie może być zastąpiona teorią, w której pojawiają się ukryte zmienne.

Badania wykonane przez Johna Clausera nie były jednak pełne; uzupełnił je **Alain Aspect** własnymi, w których upewnił się, że żadne z początkowych ustawień i parametrów nie mogły wpływać na wyniki pomiarów.

Początkiem wykorzystania stanu splątanego były jednak dopiero eksperymenty **Antona Zeilinger**, **m.in.** jego zespół badawczy zaprezentował zjawisko nazywane teleportacją kwantową (ang. quantum teleportation), które pozwala na przeniesienie stanu kwantowego z jednej cząsteczki do innej, kiedy są od siebie oddalone.

Interesujące jest, że Clauser, Aspect i Zeilinger już wcześniej byli typowani do Nagrody Nobla; cała trójka otrzymała w 2010 r. Nagrodę Wolfa, która jest postrzegana, jako potencjalny wstęp do otrzymania najważniejszej nagrody naukowej.

Nagroda Nobla w dziedzinie chemii

5 października br. Komitet Noblowski ogłosił, że Carolyn R. Bertozzi z USA, Morten Meldal z Danii i K. Barry Sharpless z USA otrzymali Nagrodę Nobla 2022 z chemii. Laureaci zostali docenieni „za rozwój chemii klik oraz chemii bioortogonalnej”.

K. Barry Sharpless związany jest z Uniwersytetami Stanforda i Harvarda. Pełni także funkcję profesora Massachusetts Institute of Technology i Scripps Research Institute w La Jolla w Kalifornii. Morten Meldal związany był z Duńskim Uniwersytetem Technicznym i Uniwersytetem w Kopenhadze oraz Uniwersytetem w Cambridge. Od 1998 roku kierował badaniami w Zakładzie Chemii Carlsberg Laboratory, a od 1997 roku pełnił funkcję kierownika Centrum Chemii Organicznej i Reakcji Enzymatycznych. Carolyn R. Bertozzi studiowała na Harvardzie dzięki stypendium sportowemu (grała w piłkę nożną). Rozpoczęła naukę na wydziale biologii, ale na drugim roku dołączyła do zajęć z chemii

organicznej, co przekonało ją do zmiany kierunku na chemię. Ostatecznie trafiła do laboratorium na wydziale biochemii, gdzie jej talent naukowy odkrył wykładowca chemii organicznej – Józef Grabowski. To on nakłonił Bertozzi do napisania pracy dyplomowej. Grabowski przekonał ją również do studiów podyplomowych na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley, gdzie Bertozzi dołączyła do laboratorium chemii bioorganicznej Marka Bednarskiego.

Wspomniana chemia „klik” lub „zatraskowa” jest terminem stworzonym przez tegorocznego laureata: K. Barry’ego Sharplessa, dla którego jest to druga Nagroda Nobla z chemii. Pierwszą otrzymał jeszcze w 2001 roku za badania, które wykorzystano do syntezy leków nasercowych tzw. beta-blokerów. W tym czasie wysunął także koncepcję chemii typu „klik”, która jest formą prostej i niezawodnej chemii, gdzie reakcje zachodzą szybko i nie powodują niepożądanych produktów ubocznych. (Reakcje zachodzą tutaj między małymi cząsteczkami, jednocześnie pozwalając na budowanie dużych i bardzo skomplikowanych związków).

Niedługo potem Sharpless oraz Morten Meldal zaprezentowali, niezależnie od siebie, cykloaddycję azydkowo-alkinową. Jest to wydajna reakcja chemiczna, dziś powszechnie i szeroko stosowana między innymi w rozwoju farmaceutyków, do mapowania DNA i tworzenia nowych materiałów.

Chemia „klik” zajmuje się klasą biokompatybilnych reakcji małych cząsteczek powszechnie stosowanych w biokonjugacji, umożliwiających łączenie wybranych substratów z określonymi biocząsteczkami. Nie jest to więc pojedyncza, specyficzna reakcja chemiczna, ale szeroki sposób generowania produktów chemicznych poprzez łączenie małych jednostek modułowych, na przykład łączących biomolekułę i konkretną cząsteczkę.

Z kolei Carolyn R. Bertozzi, wyniosła metodę „klik” na nowy poziom. W 2003 roku stworzyła ona termin „chemia bioortogonalna”, opisując reakcje, które nie zakłócają reakcji biologicznych zachodzących w organizmie. Aby zmapować ważne, ale nieuchwytnie biomolekuły na powierzchni komórek (glikany), Carolyn Bertozzi opracowała reakcje, które działają wewnątrz żywych organizmów, a jej bioortogonalne reakcje zachodzą bez zakłócania normalnej chemii komórki. Substraty muszą tutaj reagować ze sobą bardzo szybko i selektywnie w warunkach fizjologicznych i nie oddziaływać z różnymi substancjami znajdującymi się w organizmie.

Celem chemii bioortogonalnej jest znakowanie biologicznych cząsteczek chemicznymi receptorami i śledzenie ich w ich naturalnym środowisku. Odkrycia te przyczyniły się do analizy procesów metabolizmu leków i biocząsteczek, a przez to umożliwiły naukowcom poprawę celowania leków przeciwnowotworowych, które są obecnie testowane w badaniach klinicznych.

Literacka Nagroda Nobla

W tym roku literacką nagrodę Nobla otrzymała Annie Ernaux „za odwagę i kliniczną ostrość, z jaką odkrywa przed czytelnikami korzenie, alienację i zbiorowe ograniczenia osobistej pamięci”.

Annie Ernaux, urodzona w 1940 roku, jest uznawana za jedną z najważniejszych współczesnych francuskich autorek. Tworzy krótkie, autobiograficzne powieści, w których analizuje emocje człowieka. Pojawiają się w nich również motywy feministyczne. Zadebiutowała w 1974 roku i od tego czasu napisała ponad 20 książek. Za przełomowy moment w jej karierze uznaje się wydanie powieści *La place* i *Une femme*, w których opisała życie i śmierć rodziców. Nobel to nie pierwszy laur w karierze Ernaux. W 1984 roku otrzymała Nagrodę Renaudot, a pięć lat temu – Nagrodę im. Marquise Yourcenar za całokształt twórczości. Jest także pierwszą kobietą, której dzieła wydano w serii Quarto wydawnictwa Éditions Gallimard jeszcze za jej życia. Z kolei w 2019 roku jej powieść *Les Années* weszła na krótką listę tytułów nominowanych do Nagrody The Man Booker International.

Annie Ernaux pisze książki autobiograficzne, które charakteryzuje oszczędny styl. Jej debiut z roku 1974, *Les Armoires vides*, opisuje historię studentki z niższej klasy, która poddaje się aborcji. W swoich pierwszych dziełach Annie Ernaux na pierwszy plan wysuwa wątki feministyczne i to właśnie z nich jest najbardziej znana. Jej druga książka, *Ce qu'ils disent ou rien*, została przyjęta z ogromnym uznaniem przez krytyków i świat literacki. To właśnie dzięki niej Ernaux zaczęła być porównywana do Simone de Beauvoir. Najważniejszym momentem w literackiej karierze pisarki było wydanie książek *La place* oraz *Une femme*, które w znacznym stopniu opowiadały o życiu i śmierci jej rodziców. To właśnie od tych książek francuska pisarka zaczęła w swojej twórczości łączyć elementy społeczne, autobiograficzne oraz historyczne. Ten wyjątkowy styl pisanie zapewnił jej częste typowanie na listach bukmacherskich do Nagrody Nobla.

Do tej pory w Polsce ukazała się jej pozycja, za-tytułowana *Lata*, za którą otrzymała nagrodę Warwick Prize for Women in Translation oraz znalazła się na krótkiej liście dzieł nominowanych do Nagrody Brookera. Z kolei 16 listopada br. Wydawnictwo Czarne wydało jej drugą książkę pt. *Bliscy*, na którą składają się trzy mikropowieści.

Nagroda Banku Szwecji im. Alfreda Nobla w dziedzinie nauk ekonomicznych

Nobliści z ekonomii w 2022 r. to Ben S. Bernanke, Douglas W. Diamond i Philip H. Dybvig. Wyróżnienie otrzymali za „badania nad bankami i kryzysami finansowymi”. Najbardziej znany z nich jest Bernanke, były prezes amerykańskiego Fedu, który w latach 2006–2014 był szefem Fedu i zarządzał amerykańskim bankiem centralnym w trakcie kryzysu finansowego w latach 2007–2009. W 2009 r. został człowiekiem roku tygodnika „Time”. W pracy akademickiej Bernanke specjalizuje się w tematyce kryzysów finansowych. Bernanke pokazał, że banki odegrały ważną rolę w trakcie Wielkiego Kryzysu lat 30. XX wieku. Kryzysy finansowe i rola w nich banków, to również obszar działania pozostałych dwóch laureatów: Douglasa W. Diamonda i Philipa H. Dybviga, znanych ze stworzenia modelu Diamonda-Dybviga, opisującego zjawisko tzw. paniki bankowej.

Douglas Diamond po otrzymaniu nagrody, komentując obecną napiętą sytuację na rynkach finansowych, powiedział: „Obecnie sektor bankowy jest w dobrej kondycji. Problem polega na tym, że podobna panika może powstać w innych sektorach”. Stwierdził także, że „dałoby się uniknąć kryzysów finansowych, tworząc bardzo ścisłe regulacje, ale wnioskiem z naszej pracy jest, że lepiej tego jednak nie robić, bo odbyłoby się to zbyt dużym kosztem, w szczególności dla niezbędnej dla systemu płynności”.

Paul Krugman, laureat ekonomicznej Nagrody Nobla z 2008 r. powiedział o nagrodzonych: „Ich prace są fundamentalne i mają olbrzymie znaczenie praktyczne. Szczególnie może nawet teraz, gdy polityka zacieśniania i umacniania się dolar mogą wywołać kolejne kryzysy”.

W opinii Marcina Klucznika z Polskiego Instytutu Ekonomicznego, wybór tegorocznych laureatów w dziedzinie nauk ekonomicznych „koresponduje z ryzykami dla gospodarki światowej w najbliższych kwartałach”. Zdaniem Klucznika rekordowo wysoka inflacja oraz szybkie podwyżki stóp procentowych na całym świecie tworzą niepewność co do przy-

szłej sytuacji gospodarczej, pomimo tego nie należy oczekiwać powtórki kryzysu z lat 30. XX wieku. Nadzór i kontrola nad sektorem finansowym, od tamtych czasów, uległa znaczącej poprawie.

Pokojowa Nagroda Nobla

Laureatami Pokojowej Nagrody Nobla za 2022 rok zostali: Aleś Białacki, szef organizacji Wiasna monitorującej przestrzeganie praw człowieka na Białorusi, rosyjska organizacja „Memoriał” badająca zbrodnie stalinowskie i postalinowskie, oraz ukraińskie Centrum Wolności Obywatelskich.

W uzasadnieniu przewodnicząca komitetu Berit Reiss-Andersen stwierdziła: „Laureaci reprezentują społeczeństwo obywatelskie w swoich krajach. Przez wiele lat wspierali prawo do krytyki władzy i ochronę podstawowych praw obywateli”. Jak dodała, Białacki oraz dwie organizacje z Rosji oraz Ukrainy „podjęły niezwykle wysiłek, aby udokumentować zbrodnie wojenne, łamanie praw człowieka i nadużycia władzy, [...] Wspólnie pokazują znaczenie społeczeństwa obywatelskiego dla pokoju i demokracji”.

Reiss-Andersen zauważyła, że tegoroczny werdykt ogłoszono w cieniu wojny w Ukrainie: „Niestety każdego roku, gdy przyznajemy Nagrodę Nobla, gdzieś trwa wojna. W tym roku w Europie i zobaczyliśmy, że ma ona znaczenie globalne”.

Aleś Białacki przebywa obecnie w więzieniu za działalność opozycyjną. Reiss-Andersen w związku z tym przekazała prośbę: „Mój przekaz do władz białoruskich jest taki, aby mógł on wyjść z więzienia i przyjechać do Oslo 10 grudnia odebrać Pokojową Nagrodę Nobla. Obawiam się jednak, że moja prośba jest nierealna”.

Rosyjski „Memoriał” powstał w latach 80. XX wieku jako zrzeszenie różnych organizacji. Tworzą go niezależne struktury, z których 10 działa poza granicami Rosji. Od 30 lat zajmuje się badaniem m.in. represji politycznych w ZSRR, w tym także wobec Polaków. Stowarzyszenie „Memoriał” zostało oficjalnie zamknięte i zlikwidowane decyzją Sądu Najwyższego Rosji w kwietniu br. Jednak już w czerwcu jego byli członkowie podjęli decyzję o utworzeniu organizacji społecznej Centrum Obrony Praw Człowieka „Memoriał” (Centrum nie ma osobowości prawnej). Jego zadaniem jest dokumentacja i rozpowszechnianie informacji o naruszeniach praw człowieka, jak i wspieranie obrony praw ofiar, w tym więźniów politycznych.

Z kolei ukraińskie Centrum Wolności Obywatelskich powstało piętnaście lat temu w celu pro-

mowania praw człowieka, demokracji i solidarności. Jest jedną z wiodących organizacji w Ukrainie, wpływających na kształtowanie opinii publicznej i wspierającą rozwój aktywności obywatelskiej. Uczestniczy w międzynarodowych sieciach i akcjach solidarnościowych na rzecz promowania praw człowieka w regionie.

Po otrzymaniu wiadomości o wyróżnieniu, CWO podało na Twitterze: „Jesteśmy dumni z przyznania nam Pokojowej Nagrody Nobla. To dowód uznania dla pracy wielu obrońców praw człowieka na Ukrainie i nie tylko”.

Przygotował i opracował: Wojciech Streich

Ilustracja: www.nobelprize.org



Fot. Andrzej Romański

Marcin Czyżniewski

Pod czeską banderą

Wiralowe żarty wokół przyłączenia Kaliningradu do Czech każą nam przypomnieć, że kraj ten miał kiedyś dostęp do morza, a jeszcze trzydzieści lat temu dysponował potężną flotą handlową.

Wszystko zaczęło się od żartu polskiego internauty, który po rosyjskiej aneksji terenów okupo-

wanych w Ukrainie zaproponował Czechom podział obwodu kaliningradzkiego, tak, by ten śródlądowy kraj zyskał w końcu dostęp do morza. Żart stał się szybko internetowym wiralem, podjął go nawet rząd w Pradze. Czeska Poczta zapowiedziała wydanie znaczka z nowym czeskim miastem, a telewizja zaczęła uwzględniać je w prognozie pogody.

Królu złoty...

Sugestia, by Czesi wzięli sobie Kaliningrad nie wzięta się znikąd. Lokowany w 1255 r. Królewiec został nazwany na cześć czeskiego króla Przemysła Ottokara II. To jeden z najpotężniejszych władców w historii Czech, zwany „królem żelaznym i złotym” z uwagi na liczne wyprawy zbrojne, które podejmował, i bogactwo, jakie zapewnił sobie i swojemu królestwu. Zgodnie ze średniowiecznym ideałem rycerza zapragnął stanąć do walki z niewiernymi. Wyprawa do Ziemi Świętej była trudna i niebezpieczna, szczęśliwie dla siebie Przemysł znalazł pogan znacznie bliżej, dwukrotnie dołączając do zakonu krzyżackiego w wyprawach przeciwko Prusom. To w trakcie pierwszej wyprawy Przemysła i jego wojsk założono nad ujściem Pregoty do Bałtyku gród zamkowy nazwany na cześć króla czeskiego.

Sam Przemysł Ottokar II stracił wkrótce zainteresowanie północnymi morzami, kierując ekspansję swojego państwa na południe. Po ojcu, Wacławie I, odziedziczył księstwo austriackie, a chcąc wzmocnić się w tym regionie Europy, podbił Karyntię, Friulię i Marchię Wendejską, opierając granice swojego państwa o Adriatyk – Królestwo Czeskie zyskało w ten sposób dostęp do morza. Niestety polityczne ambicje króla skończyły się dla niego fatalnie – walcząc o koronę cesarską, zginął w bitwie pod Suchymi Krutami. Syn Przemysła, Wacław II, jako król czeski i polski objął Pomorze, znów łącząc Czechy z wybrzeżem, tym razem Morza Bałtyckiego. Nad Bałtykiem wojska czeskie pojawiły się jeszcze w XV w., podczas jednej z tzw. rajz husyckich mających wzbudzić postrach wśród wiernych cesarzowi władców europejskich.

Jedyna taka bitwa

W czasach monarchii habsburskiej Czesi włączyli się w budowę jej aparatu administracyjnego i armii (najśłynniejszym czeskim dowódcą był marszałek Joseph Radetzky urodzony jako Josef Václav Antonín František Karel hrabia Radecký z Radča). Wielu Czechów wybrało także służbę na morzu, zarówno w austriackiej marynarce wojennej, jak i handlowej. Czech Zdenko Hudeček uznawany jest za najśłynniejszego dowódcę austriackiej floty podwodnej w okresie I wojny światowej, przypisuje się mu zatopienie 11 okrętów przeciwnika. To podczas I wojny doszło do jedynej w historii bitwy z udziałem okrętów pod czeską banderą. 16 sierpnia 1918 r. żołnierze sformowanego w Rosji Legionu Czesko-słowackiego, mając do dyspozycji trzy parowce,



Michael Poplar

Správe - 3 h · 🌐

Czech warship "Karel Gott" leaving the naval base in Kaliningrad to sail in Baltic Sea. #VolodyasDoom



Tomasz Komentasz
@tomaszkomentasz

Czeski lotniskowiec "Karel Gott" opuszcza swoją bazę w Kaliningradzie i wypływa na wody Morza Bałtyckiego. #Kralovec #KaliningradIsCzechia

Translate Tweet



pokonali oddział bolszewików kontrolujących wybrzeże jeziora Bajkał. Żartowano potem, że śródlądowa Czechosłowacja jest jedynym krajem, którego marynarka wojenna odnotowała stuprocentową skuteczność.

Po upadku Austro-Węgier niepodległa Czechosłowacja przejęła część okrętów C.K. monarchii, tworząc silną wojskową flotę rzeczną na Łabie i Dunaju i budując własne morskie szlaki handlowe. Rząd w Pradze wydzierzał na 99 lat pirsy w dwóch niemieckich portach, Hamburgu i Szczecinie, zaś marynarzy szkolono w Jugosławii. Do historii światowej marynistyki przeszedł czechosłowacki okręt Legia. W 1930 r. płynący na jego pokładzie lekarz uratował życie pasażera innego statku, posługując się wyłącznie radiodepeszami.

Port Praga

Marynarka rzeczna przetrwała II wojnę światową, jednak ostatecznie rozwiązano ją w latach 50. Za to marynarka handlowa pod błękitno-biało-czerwoną



banderą przeżywała prawdziwy rozkwit. Stało się tak dzięki... Chinom. Kraj ten, nie będąc początkowo członkiem ONZ, nie mógł posiadać własnej floty handlowej, poprosił więc o pomoc Czechów, budując im okręty i zapewniając kontrakty na całym świecie. W sumie od lat 50. do 90. XX w. po morzach i oceanach pływało kilkadziesiąt wielkich statków handlowych, dla których portem macierzystym była leżąca z dala od morza Praga, jeszcze w 1989 r. w czeskiej stolicy zarejestrowanych było 14 jednostek morskich. Czechosłowacka flota handlowa była nie tylko nowoczesna (już w 1985 r. wyposażono ją w łączność satelitarną), ale i bardzo bezpieczna: w całej swojej historii straciła na morzu tylko jeden statek.

Kres morskiej potędze Czech przyniosły lata 90. i przeprowadzona w tym kraju prywatyzacja kupowna. Dysponujące statkami przedsiębiorstwo kupił milioner, Viktor Kožený, który wyprzedał statki, by sfinansować swoje inwestycje w Azerbejdżanie. Z inwestycji nic nie wyszło, Kožený do dziś ukrywa się przed wierzycielami i więzieniem, a czeskiej floty handlowej nigdy nie udało się odbudować. Temat wraca jednak co jakiś czas, zwłaszcza, że za 6 lat kończy się wciąż obowiązująca umowa najmu nabrzeża portowego w Hamburgu. Rząd w Pradze już zapowiedział, że będzie chciał ją przedłużyć i zainwestować w czeską obecność na morzach i oceanach. Kto wie, może M/S Helena Vondráčková faktycznie przyplynie kiedyś do Królewca.

Dr hab. Marcin Czyżniewski, prof. UMK — Wydział Nauk o Polityce i Bezpieczeństwie UMK





Fot. Andrzej Romański

Marek Jurgowiak

Starzenie, wątroba, zakażenia a układ immunologiczny

Starzenie się organizmów jest naturalnym procesem, nieuchronnie prowadzącym do zmian w budowie oraz funkcji komórek, tkanek, narządów i układów narządowych. Starzenie komórek układu odpornościowego określane jest mianem immunosenescencji (ang. immunosenescence).

Wraz z wiekiem nasza zdolność do reagowania na liczne antygeny staje się coraz słabsza, rozwija się subkliniczny, uogólniony, przewlekły stan zapalny. Układ odpornościowy osób starszych działa mniej efektywnie, a potwierdzają to dane epidemiologiczne. W grupie wiekowej > 85 lat główną przyczyną zgonów są zakażenia i nowotwory (nadal też istotne są choroby układu krążenia), podczas gdy osoby młodsze, powyżej 65 roku życia, umierają przede wszystkim z powodu chorób układu sercowo-naczyniowego.

Starzejąca się odporność

Główną funkcją układu immunologicznego jest zapewnienie integralności organizmu, utrzymanie homeostazy w warunkach stałej ekspozycji na antygeny wewnętrzne i zewnątrzpochodne. Szereg chorób (w tym zakaźne) oraz czynniki środowiskowe, jak zanieczyszczenie środowiska, jakość diety i aktywność fizyczna mogą wpływać na profil odpornościowego ryzyka (immune risk profile, IRP), przyspieszając lub spowalniając starzenie układu immunologicznego, tak jak i całego organizmu. Markerami natężenia immunosenescencji rekomendowanymi przez większość ośrodków naukowych są: liczba dzwicznych limfocytów B, immunofenotyp limfocytów T i stosunek komórek CD4/CD8, stężenie białka C-reaktywnego i cytokin prozapalnych, zdolność prezentacji antygenów przez komórki dendrytyczne, liczba komórek NK z jednoczesnym określeniem ich



aktywności cytotoksycznej, aktywność fagocytarna neutrofilii, długość telomerów w komórkach odpornościowych.

Wiele chorób wątroby (w tym WZW C, wirusowe zapalenie wątroby) jest związanych z odpowiedzią układu immunologicznego gospodarza. Jednocześnie zmiany w funkcjonowaniu układu immunologicznego mają wpływ na obraz kliniczny chorób wątroby, a szereg zmian obniżających możliwości funkcjonalne układu immunologicznego jest skutkiem procesu starzenia i charakteryzuje osoby starsze.

Immunologiczna teoria starzenia (jedna spośród wielu opisujących mechanizmy starzeniowe) wskazuje głównie na upośledzenie pamięci immunologicznej limfocytów, a co za tym idzie systemu immunologicznego, który nie jest w stanie skutecznie bronić organizmu przed drobnoustrojami oraz rozwojem chorób. Własne komórki organizmu są rozpoznawane jako obce, co indukuje niebezpieczne procesy autodestrukcyjne. W populacji osób zdrowych częstość występowania autoprzeciwciał oceniana jest na 6–10% i narasta z wiekiem. Bardziej narażona jest na takie zmiany populacja płci żeńskiej. Powszechnie znana jest istotna rola uwarunkowań genetycznych, w tym układu zgodności tkankowej (HLA, ang. human leucocyte antigen system) w aktywacji procesów autoimmunizacyjnych.

Charakterystyczne zmiany w obrębie układu odpornościowego pojawiające się z wiekiem nierozdzielnie związane są z komórkami, jakimi są limfocyty T i B. Większość komórek zaangażowanych w odporność wrodzoną takich jak monocyty/makrofagi, komórki NK (ang. Natural killer cells) charakteryzuje osłabienie funkcji wraz z wiekiem. Odsetek i liczba komórek NK CD56^{bright} stopniowo obniża się z wiekiem a odsetek i liczba komórek CD56^{dim} stopniowo zwiększa się. Ważną populacją komórek biorących

udział w odporności wrodzonej są komórki prezentujące antygen, a wśród nich komórki dendrytyczne (DC), których funkcja znacząco zmienia się wraz z wiekiem. DC odgrywają kluczową rolę w rozpoczęciu i regulacji adaptacyjnej odpowiedzi immunologicznej i kontroli stanu tolerancji na własne antygeny. Niedojrzałe DC promują tolerancję poprzez indukcję regulatorowych komórek T, podczas gdy dojrzałe DC stymulują efektorowe limfocyty T. Komórki dendrytyczne u osób w starszym wieku charakteryzuje niewłaściwe dojrzewanie indukowane infekcją lub uszkodzeniami tkanki, co stanowi podstawę zaburzeń w utrzymaniu równowagi pomiędzy tolerogennym i immunogennym działaniem DC i wyzwala rozwój chorób o podłożu autoimmunologicznym.

Liczba limfocytów T i różnorodność komórkowa ulega obniżeniu u osób starszych, zmienia się zdolność ekspansji i różnicowania komórek T. Liczba komórek CD4⁺ spada, podczas gdy liczba limfocytów CD8⁺ wzrasta. Ekspresja kostymulujących cząsteczek CD28 obniża się w komórkach T, upośledzając ich zdolność do proliferacji i sekrecji interleukiny-2 (IL-2). Funkcja regulatorowych komórek T (Treg) ulega osłabieniu u osób w wieku powyżej 50 lat, co może być związane z nasileniem autoimmunizacji.

Liczba prekursorów limfocytarnych komórek B szpiku kostnego, jak i obwodowych komórek B obniża się wraz z wiekiem. Stwierdzono w badaniach, że wzrastającemu wiekowi towarzyszyć może zwiększenie stężenia immunoglobulin, jednak specyficzność przeciwciał i różnicowanie limfocytów B ulega upośledzeniu.

Wpływ HCV na układ odpornościowy i odpowiedź układu immunologicznego

Wiele chorób wątroby występuje ze zwiększoną częstością u osób w wieku podeszłym, co jest wynikiem zmian metabolicznych, ale i zwiększonego ryzyka zakażeń wirusami hepatotropowymi oraz zmniejszonym w ostatnich etapach ontogenezy potencjałem regeneracyjnym. Do najczęściej występujących chorób wątroby u osób powyżej 65 roku życia należą przewlekłe wirusowe zapalenia wątroby typu B i C (WZW-B, WZW-C), alkoholowa choroba wątroby oraz niealkoholowa stłuszczeniowa choroba wątroby.

Zakażenie HCV (wirusem zapalenia wątroby typu C) jest ściśle związane z odpowiedzią układu immunologicznego na antygeny wirusowe. Niemniej WZW C (wirusowe zapalenie wątroby) ma najczęściej charakter przewlekły, co tłumaczyć moż-

na zaburzeniach funkcjonowania układu odpornościowego gospodarza. Sam HCV wykazuje również właściwości hamujące odpowiedź immunologiczną. Białko rdzenia (ang. protein core) HCV odpowiada za supresję indukcji limfocytów Th1 poprzez hamowanie syntezy interleukiny 12 (IL-12) i tlenu azotu. Wykazano również nieefektywne działanie przeciwciał swoistych dla HCV, co może być skutkiem zmian w obszarze regionu hiperzmiennego HVR-1 genów immunoglobulinowych. Prawdopodobnie również mutacje w epitopach dla cytotoksycznych limfocytów T pozwalają na ominięcie odpowiedzi komórkowej. Nie bez znaczenia jest również niska antygenowość HCV, w wyniku której aktywność cytotoksycznych limfocytów T swoistych dla HCV jest dużo niższa niż komórek swoistych dla HBV. Ponadto, białka E1, CE1 otoczki wirusowej hamują dojrzewanie komórek dendrytycznych (DC), które jako komórki prezentujące antygen mogą aktywować naiwne limfocyty T. Inne białko HCV- E2- inhibuje kinazę białkową aktywowaną przez dsRNA (dwuniciowy RNA), co znosi działanie przeciwwirusowe interferonu alfa. Białko E2 hamuje też funkcje komórek NK (ang. Natural Killer cells). Wykazano też, że białka wirusowe rdzenia i NS3 indukują produkcję IL-10 wykazującej silny efekt immunosupresyjny.

Podczas infekcji peptydy antygenowe wirusa HCV prezentowane limfocytom CD4+ przez komórki prezentujące antygen powodują mobilizację układu immunologicznego, co może sprzyjać eliminacji zakażonych hepatocytów, ale też powodować może degradację wolnego od zakażenia mięszu wątroby. Zdolności neutralizujące wobec HCV produkowanych przeciwciał są jednak niewielkie, mają one raczej znaczenie prognostyczne i diagnostyczne. Zakażenie indukuje również swoistą odpowiedź komórkową poprzez produkcję uczulonych limfocytów T. Liczba tych komórek jest niewielka, niemniej uważa się, że są odpowiedzialne za gromadzenie się nacieków zapalnych w zakażonej wątrobie i eliminację zainfekowanych hepatocytów. Uważa się, że zaburzenia odporności komórkowej prowadzą do przewleknięcia się zakażenia HCV. Przyczyn upatruje się w pierwotnej niewystarczającej odpowiedzi limfocytów CD4+ , zaburzonej prezentacji antygeny przez komórki DC, supresję limfocytów T, komórek NK i DC poprzez białka wirusa HCV.

W Polsce częstość występowania przeciwciał anti-HCV w populacji osób starszych, po 65 roku życia, szacuje się na 2,9% i jest wyższa niż w popu-



lacji ogólnej (1,9%), co wskazuje na wagę problemu zakażeń tego typu u osób w zaawansowanym wieku.

Wraz z wiekiem człowieka słabnie reaktywność i efektywność działania układu immunologicznego – zarówno w zakresie odporności wrodzonej, jak i nabytej. Za stan ten odpowiadają zmiany strukturalne i czynnościowe zachodzące w populacjach komórek odpowiedzialnych za utrzymanie homeostazy. W efekcie osoby starsze charakteryzuje większa podatność na zakażenia wirusowe i bakteryjne, słabsza odporność poszczepienna, niższa efektywność procesów nadzorujących swoistą reakcję na antygeny czy też eliminujących komórki uszkodzone oraz nieprawidłowe. W konsekwencji w podeszłym wieku istotnie wzrasta ryzyko schorzeń związanych z wiekiem – chorób neurodegeneracyjnych, nowotworowych czy chorób autoimmunizacyjnych, a także związanych z zakażeniami wirusowymi i bakteryjnymi. Należy przy tym pamiętać o osobniczej zmienności procesu starzenia wynikającej z nakładania się przyczyn zarówno o podłożu genetycznym, jak i czynników modyfikowalnych takich jak styl i środowisko życia czy sposób żywienia. Niemniej generalnie ludzie starsi są bardziej podatni na zakażenia różnorodnymi drobnoustrojami chorobotwórczymi, a każda infekcja może mieć u nich dłuższy i bardziej powikłany przebieg.

Dr Marek Jurgowiak — Katedra Biochemii Klinicznej CM UMK, Rada Programowa (wiceprzewodniczący) CN Młyn Wiedzy w Toruniu oraz Rada Programowa TFNiS i Wiadomości Akademickich, stały współpracownik Głosu Uczelni, popularyzator nauki



Fot. Andrzej Romański

Sebastian Żurowski

Plażing pod Kanikułą

Do kolejnego sezonu plażowego jeszcze kilka miesięcy, ale być może to właśnie dobry czas, by choć na chwilę myślami przenieść się nad ciepłe morze.

Słowem, które współcześnie prawie automatycznie przychodzi do głowy jako skojarzenie z wyrazem *plaża*, jest *parawan*. Być może rzeczywiście parawany plażowe pojawiają się w hurtowych ilościach tylko na polskich plażach oraz wszędzie tam, gdzie Polacy wyjeżdżają na wakacje. I dlatego to na gruncie polszczyzny powstały pseudoanglicyzm *parawaning* i bardziej swojska *parawanoza*. Wiatr jest zaszyty w znaczeniu tych słów, bo *parawan* pochodzi od francuskiego *paravent* ‘zastona od wiatru’, ale jako bardziej pierwotną i bardziej „słowiańską” „zastonę od wiatru” na plaży można traktować *grajdół* (*grajdołek*).

Idea wykopywania w plażowym piasku naturalnych osłon przeciwwiatrowych i przeciwwzrostkowych ma tę przewagę nad rozstawieniem pa-

rawanów, że nie wymaga noszenia ze sobą małego poręcznych kijków i tkanin (z drugiej jednak strony np. na kamienistych plażach Morza Śródziemnego żadnego dołka i tak się nie wykopie). I choć każdy bardzo łatwo może postawić hipotezę, iż podstawą *grajdoła* jest *grać* i *dół*, to etymolodzy twierdzą, że sprawa wcale nie jest taka oczywista. Jako podstawę wskazują gwarowe słowo *grajdoła* ‘maruda’ i czasownik *grajdolić* ‘marudzić’ (których pochodzenie jest już zupełnie niejasne). Współcześnie częściej *grajdołki* pojawiają się nie w znaczeniu „plażowym”, ale przenośnym: to małe, prowincjonalne miejscowości, oceniane przez mówiącego jako miejsca zacofane (albo takie same – małe i odizolowane – grupy społeczne, których poglądy ocenia się jako zacofane). Wyraźnie widać zatem, że poza „polszczyzną plażową” słowo to nabrało negatywnego nacechowania.

Na współczesnej polskiej plaży bardzo widoczna jest także angielska końcówka *-ing*. W angielszczyż-

nie jest stosowana m.in. do tworzenia rzeczowników odśownych (to odpowiednik polskich końcówek *-anie/-enie/-cie* jak w parze *plaża – plażowanie*). Angielskie *-ing* w polskich wyrazach występuje przede wszystkim jako element w przejętych w całości zapożyczeniach leksykalnych (np. *caravanning, jogging*), ale także w dosyć licznie tworzonych żartobliwych słowach takich jak *plażing* czy *włosing*, dla których podstawą był słynny reklamowy tomżing.

Można sobie wyobrazić, że za jakiś czas przeczytamy gdzieś zdanie w rodzaju *Charakterystyczną cechą polskiego plażingu jest parawanning, ale warto także zwrócić uwagę na leżing i smażing*. Raczej na pewno nie będzie to zdanie pisane na serio. Z naciskiem na to „raczej”, bo w marketingu internetowym influencerki już całkiem na serio opowiadają o włosingu. Mimo że stosunkowo łatwo można dołączyć to angielskie *-ing* do dowolnego polskiego rzeczownika,

to już to, co takie nowo utworzone słowo miałyby znaczyć, jest zupełnie inną sprawą...

Jak wspomniałem, do kolejnej letniej kanikuty pozostało jeszcze kilka miesięcy. Ale już teraz może warto zdziwić się tym, skąd wzięło się słowo *kanikuła*. To wprost zaadaptowane łacińskie słowo *canicula* ‘samica psa’, ale tak naprawdę to przejęta nazwa gwiazdy *Kanikuła* (lepiej znanej jako *Syriusz*), której łacińska nazwa wzięła się z tego, że *Kanikuła* znajduje się w gwiazdozbiornie Wielkiego Psa. A gdy doda się do tej historii jeszcze fakt, że *Syriusz* jest na naszej półkuli gwiazdą nieba letniego, skojarzenie psów z latem (dla Egipcjan czy Rzymian oczywiste) staje się bardziej czytelne.

Dr Sebastian Żurowski — Wydział Humanistyczny UMK

Magdalena Schulz

Dieta zimowa

Zima pod kątem żywieniowym nie jest wdzięcznym okresem. Kiedy za oknem robi się szybko ciemno, a temperatura na zewnątrz spada poniżej zera, pojawia się uczucie przygnębienia i osłabienia oraz rośnie ryzyko infekcji.

Dodatkowo, sezon zimowy to czas, kiedy dostępność różnorodnych warzyw i owoców jest znacznie ograniczona. Jak zatem zadbać o odpowiednie zbilansowanie diety w tym okresie? Często panuje przekonanie, że zimą potrzebujemy więcej energii niż latem. Prawda jest jednak taka, że zapotrzebowanie energetyczne organizmu jest zbliżone przez cały rok i głównie zależy od płci, wieku, masy ciała i trybu życia. Ze względu na spadek aktywności fizycznej w miesiącach zimowych, całkowite zapotrzebowanie na energię może być paradoksalnie niższe, niż w miesiącach letnich, dlatego dieta powinna być normokaloryczna, ale zmodyfikowana o produkty sezonowe i rozgrzewające organizm.





Składniki diety istotne zimą

Aby czuć się dobrze i mieć silny układ immunologiczny, ważna jest urozmaicona dieta przez cały rok. Zróżnicowana dieta nie tylko zmniejsza ryzyko wystąpienia niedoborów pokarmowych, ale także zwiększa bioróżnorodność mikroflory jelitowej, usprawniając funkcjonowanie układu odpornościowego. Dlatego mimo ograniczonej dostępności niektórych produktów, w okresie zimowym także należy zadbać o zbilansowany jadłospis. Zimą szczególnie istotne jest zachowanie odpowiedniego poziomu witaminy D, w czym pomoże odpowiednio dobrana suplementacja. Niedobór tej witaminy nie tylko zwiększa ryzyko rozwoju chorób serca, nowotworów czy chorób autoimmunologicznych, ale także sprzyja pogorszeniu nastroju i zachorowaniu na depresję. W okresie zimowym warto również zadbać o zwiększoną podaż witaminy C, witamin z grupy B, cynku, selenu, wielonienasyconych kwasów tłuszczowych oraz odpowiednią ilość białka. Jeśli w zimowej diecie nie zabraknie różnokolorowych warzyw i owoców, pełnoziarnistych produktów zbożowych, jajek, olejów roślinnych, tłustych ryb morskich, to pokrycie zapotrzebowania na te składniki nie powinno stanowić problemu. Białko, którego źródłem w diecie powinny być ryby, chude mięso, nabiał i nasiona roślin strączkowych, jest również bardzo istotne w pracy układu pokarmowego, ponieważ bierze udział w produkcji przeciwciał, czyli immunoglobulin, które pełnią funkcję ochronną przed mikroorganizmami. W miesiącach zimowych istotna jest także odpowiednia podaż energii, dlatego w tym czasie nie zaleca się stosowania zbyt dużych restrykcji kalorycznych, które mogą sprzy-

jać gorszemu samopoczuciu i znużeniu. Natomiast w przypadku znacznej nadwagi lub otyłości, kiedy skutki nadmiernej masy ciała przyczyniają się do utraty zdrowia, warto dostosować dietę redukcyjną do aktualnego stanu fizycznego i psychicznego, nawet kosztem wydłużenia procesu odchudzania.

Warzywa i owoce

Zimą wybór warzyw i owoców jest ubogi, jednak te, które są dostępne w sezonie można z powodzeniem wkomponować w swój jadłospis. Pomidory i ogórki, które nie smakują tak jak latem oraz działają wychładzająco na organizm, lepiej zastąpić warzywami korzeniowymi, kapustnymi i strączkowymi.

W okresie niższych temperatur warto włączyć do swojej diety cebulę, czosnek i por, jeśli są dobrze tolerowane przez układ pokarmowy. Te produkty nie tylko wzbogacają smak potraw, ale wykazują również działanie przeciwwirusowe i przeciwbakteryjne, mobilizując układ odpornościowy do walki z infekcjami.

Sezon zimowy obfituje w warzywa korzeniowe, które są często niedoceniane. Oprócz ziemniaków, na stałe goszczących w diecie Polaków, warto spożywać także buraki, marchew, seler, pietruszkę, czarną rzepę. Buraki są źródłem antyoksydantów, kwasu foliowego i wapnia. Wzmacniają układ krwionośny, korzystnie wpływają na poziom cholesterolu oraz regulują ciśnienie krwi. Buraczki najczęściej przygotowuje się w postaci dodatku do obiadu lub barszczu czerwonego, ale mogą stanowić składnik wielu innych dań. Są pyszne w postaci pieczonej, jako element sałatki, koktajlu, kanapek czy dań z kaszą. Warzywa korzeniowe, takie jak marchewka, pietruszka czy seler, są świetną bazą zup, ale nie tylko. Można je dodawać do dań jednogarnkowych, surówek lub farszu do pierogów czy naleśników. Warzywa korzeniowe są źródłem witamin antyoksydacyjnych, szczególnie A i C, a także składników mineralnych, jak potas czy magnez. Obfitują również w błonnik pokarmowy, który reguluje pracę jelit, zwiększa uczucie sytości i zmniejsza ryzyko rozwoju raka jelita grubego.

W diecie zimowej warto zwiększyć również udział warzyw kapustnych, które dostarczają witamin z grupy B, a także witamin A, C i K. Warzywa z tej grupy sprawdzą się do przygotowania bigosu, gołąbków lub surówek. Na uwagę zasługują także kapusta oraz ogórki kiszane, które zawierają bakterie kwasu mlekowego, korzystnie oddziałujące na mikroflorę jelit. Kiszonki przyczyniają się również do

poprawy procesu trawienia, usprawnienia ruchów perystaltycznych jelit oraz są źródłem witamin A, C, E, a także wapnia, fosforu i żelaza.

Zima jest świetnym czasem na wkomponowanie do jadłospisu nasion roślin strączkowych, które są dobrym źródłem roślinnego białka, błonnika, witamin z grupy B, żelaza i innych związków mineralnych. Z ich pomocą można ograniczyć w diecie czerwone mięso, które zwiększa ryzyko rozwoju chorób układu krwionośnego. Strączki sprawdzą się jako dodatek do kanapek (np. hummus), sałatek, zup i wielu innych dań wegetariańskich.

Mrożonki i przetwory

Zimowymi sprzymierzeńcami w zachowaniu różnorodnej diety mogą okazać się mrożonki. Warzywa i owoce przeznaczone do mrożenia są zbierane w szczycie sezonu, czyli w okresie kiedy zawartość witamin i składników mineralnych jest najwyższa w danym produkcie. Dodatkowo, proces mrożenia jest jedną z lepszych form utrwalania żywności, ponieważ minimalizuje ryzyko strat wartości odżywczej warzyw i owoców. W przypadku przepisów z wykorzystaniem letnich owoców, jak borówki, maliny, truskawki, jeżyny, znacznie lepszym wyborem będzie wykorzystanie tych produktów w formie mrożonej. W sklepach dostępne są również mieszanki warzyw, np. kalafiora czy brokuła, a także różne warzywa na patelnię, które nie tylko urozmaicą jadłospis, ale także znacznie przyspieszą przygotowanie zdrowego posiłku. Dobrym pomysłem na przemycenie lata w okresie zimowym jest również sięganie po owoce suszone lub przetwory w słoikach, które można przygotować samodzielnie w okresie letnim. Przetwory z owoców dzikiej róży, żurawiny czy czarnego bzu są bogactwem związków antyoksydacyjnych, tak niezbędnych dla wsparcia układu odpornościowego w okresie zimowym. Warto jednak zwracać uwagę na dodatek cukru w tego typu produktach i wybierać te, w których jest go najmniej.

Rozgrzewające posiłki

Niskie temperatury idą w parze z wychłodzeniem organizmu, dlatego w czasie zimy idealnie sprawdzą się ciepłe posiłki i napoje, niezależnie od pory dnia. Na śniadanie, zamiast klasycznej kanapki, warto zjeść gotowaną owsiankę lub jagłankę, a także placuszki czy gofry z dodatkiem orzechów, sezonowych lub suszonych owoców oraz rozgrzewających przypraw, jak cynamon. Świetnie sprawdzą się także jajecznica, szakszuka, omlety i lekkie zapiekanki. Na



obiad i kolację można przygotować dania jednogarnkowe, np. gulasze, leczo, curry, fasolkę po bretońsku. W okresie zimowym dobrym pomysłem na posiłki są także proste, pożywne zupy oraz kremy, które przeważnie cechują się niską wartością energetyczną, więc rozgrzeją organizm, ale nie dostarczą nadmiernych kilokalorii. Zimą warto zwrócić uwagę na aromatyczne przyprawy, które oprócz zwiększenia efektu rozgrzewającego, zawierają także szereg substancji przeciwutleniających. Przyprawy, takie jak cynamon, kardamon, goździki, imbir, gałka muszkatołowa, mogą być również składnikiem rozgrzewających napojów. W chłodniejsze dni odnotowuje się niższe spożycie wody, a nawadnianie organizmu jest bardzo ważne przez cały rok. W związku z tym przyprawy mogą być ciekawym dodatkiem do herbat lub ciepłej wody, dzięki czemu napój nie tylko zyska atrakcyjniejszy smak, ale również rozgrzeje organizm i wzmocni układ odpornościowy.

Pomimo ograniczonej sezonowości produktów jadłospis zimowy również może być urozmaicony i smaczny. W tym okresie najważniejsze jest zadbanie o odpowiednie zbilansowanie diety w składniki odżywcze, które wspierają funkcjonowanie układu immunologicznego. Należy zwracać uwagę na sezonowość warzyw i owoców, korzystać z mrożonek i przetworów owocowo-warzywnych oraz przygotowywać dużo ciepłych posiłków, z dodatkiem rozgrzewających przypraw. Wpłynie to korzystnie na nasze zdrowie fizyczne, ale również dobre samopoczucie podczas zimowych wieczorów.

Mgr Magdalena Schulz — absolwentka dietetyki Collegium Medicum UMK, dietetyk kliniczny



Fot. Andrzej Romański

Jarosław Dumanowski

Wigilia. O zupie migdałowej, jarmużu z kasztanami i karpia w piernikach

Przed Wigilią Bożego Narodzenia stajemy się kulinarnymi rekonstruktorami. Staramy się przypomnieć sobie dawne rodzinne receptury, wskrzesić smak dzieciństwa i przypomnieć sobie kuchnię babci.

Wigilia to jeden z niewielu momentów w roku, gdy starannie planujemy menu i sami pracownicy przygotowujemy tradycyjną wieczerzę. Sięgamy przy tym do historii: do starych, rodzinnych zeszytów kulinarnych, do historii mówionej albo sami przeprowadzamy badania historyczne. Dlaczego to takie ważne?

Wigilia Bożego Narodzenia to relikwiarz dawnej kuchni postnej w jej szczególnym wydaniu, gdy post w przeddzień święta łączył się już ze świętowaniem. Posiłek miał być postny, ale uroczysty i niezwykły. Do naszych czasów przetrwała tylko jedna taka wigilia, ale jeszcze w XIX w. organizowano tzw.

wieczerę wielkoczwartkową przed Wielkanocą (nie można jej było przygotować w Wielką Sobotę i w Wielki Piątek, gdy obowiązywał post ścisły). Uroczyste wigilie wypadały kilkanaście razy w roku, np. w przeddzień Wszystkich Świętych, przed wspomnieniami najważniejszych apostołów, przed niektórymi świętami maryjnymi itp.

Częsty i surowy post przez setki lat był największym wyzwaniem dla mistrzów kuchni. Rygor postu, który miał być wyrzeczeniem i praktyką ascetyczną, potrafiło jednak w pomysłowy sposób obchodzić, formalnie nie łamiąc przy tym jego zasad. Wypracowane przez dawnych kuchmistrzów rozwiązania po dziś dzień kształtują także naszą wigilię. By to zrozumieć, przyjrzyjmy się sytuacji sprzed wieków...

Chrześcijański post powstał w świecie śródziemnomorskim i opierał się na śródziemnomorskich pro-

duktach, śródziemnomorskiej kuchni i starożytnej dietetyce. Dla ludzi żyjących w Grecji, Italii, Egipcie czy Palestynie oznaczał po prostu brak świętowania. Zakaz jedzenia w pewne dni mięsa zwierząt „gorącokrwistych” i nabiału był tylko usankcjonowaniem codziennej, typowej diety opartej na chlebie, oliwie, winie, rybach i owocach morza, warzywach, owocach i różnych orzechach (pożywnych, zawierających tłuszczone nasionach wielu roślin). Te same zasady na północy Europy powodowały ogromne problemy, nieporozumienia i opór. Będące podstawą postu typowe śródziemnomorskie produkty na północy Europy były towarami luksusowymi, dostępnymi tylko dla elity. Sięgnie po wino, oliwę, biały chleb, bakalie, sprowadzany z śródziemnomorskich wysp cukier – było przejawem bogactwa, rozrzutności i symbolem potęgi, a nie wyrzeczenia, pokory i ascezy.

Szczególną rolę odgrywały tu migdały – produkt, który w czasach średniowiecza doczekał się w kuchni dworskiej niezwyklej wprost kariery. Migdałowe „mleko” i „ser”, a nawet „kwaśne mleko”, migdałowe sosy i emulsje zastępowały zakazany podczas postu nabiał. Znacznie droższe niż mleko, ser, czy śmietana, migdały były synonimem luksusu. W *Kuchmistrzostwie*, książce kucharskiej wydanej w Krakowie ok. 1540 r., której rękopiśmienną kopię niedawno odnaleźliśmy i opublikowaliśmy, pojawia się charakterystyczny zwrot „oślachcaj migdały”. Użyto go w przepisie na jeleninę, uważano więc, że migdały „oślachcają” nawet ten najbardziej chyba ceniony w dawnej kuchni rodzaj mięsa i nadają mu niezwykle, szlachetne wręcz cechy.

W recepturach z *Kuchmistrzostwa* migdały służą do wyrobu „sera” (wyrobu podobnego do marcepanu), „jajek” czy „kaszy”. Często używano ich zamiast nabiału do przyrządzania ryb, a pozostałością tego zwyczaju jest słynny karp czy szczupak po żydowsku, którego klasyczna wersja zakłada użycie migdałów i rodzynek. Jedną z najbardziej eleganckich, wyrafinowanych postnych potraw była polewka migdałowa, która jeszcze niedawno w niektórych regionach Polski była klasyczną zupą wigilijną. Taką polewkę opisał w 1682 r. w swym „Compendium ferculorum albo zebraniu potraw” Stanisław Czerniecki. Migdały należało „uwiercić” w donicy (makutrze), rozrzedzić wodą, dodać rodzynek, podgotować i podawać z ryżem. Słynny kuchmistrz opisał też podobny migdałowy chłodnik, w którym roztarte migdały rozrzedzano winem, dodawano cukru i cynamonu oraz wszechobecnych rodzynek i podawano z grzankami z białego chleba. Nieco



bardziej skomplikowany przepis na „Potaż z polewki migdałowej” zamieścił w swym „Kucharzu doskonałym” z 1783 r. Wojciech Wincenty Wielądko. Jego receptura jest już znacznie dokładniejsza, autor podaje miary, radząc użyć pół funta (ok. 200 g) migdałów, „zrazik” (plaster) cytryny, „trochę” soli, cukru i cynamonu i gotować to w kwarcie (niecałym litrze) wody. W przepisie dokładnie opisano pracochłonny sposób obróbki migdałów – tajemnicę wydobycia z nich odpowiedniego, charakterystycznego smaku. Taką wyrazistą w smaku, choć niedoprawioną żadnymi ostrymi przyprawami polewkę opisał w swym rękopiśmiennym zbiorze Paul Tremo, słynny kucharz Stanisława Augusta, którego receptury właśnie opublikowaliśmy. Tremo proponował zupę migdałową na mleku, co było przejawem liberalizacji postu i dopuszczenia użycia nabiału dla przygotowania potraw postnych. Królewski kucharz traktował już dawne surowe reguły postu z dużą swobodą, ale jeszcze w połowie XIX w. autorzy książek kucharskich kładli nacisk na fakt, że postna wersja potrawy wymaga użycia wody, a nie mleka.

W XIX wieku zupa migdałowa, luksusowa potrawa postna podawana w różnych okresach postu, stała się jednym z kulinarnych symboli wieczery wigilijnej. W swoim wzorcowym menu wigilijnym umieścił ją Antoni Teslar kucharz hrabiów Potockich z Krzeszowic i autor słynnej książki o „Kuchni polsko-francuskiej”. Oparł się na recepturze Paula Tremo, którego przepisy pozostały co prawda w rękopisie, ale były kopiowane, a potem zamieszczane w drukowanych książkach kucharskich przez cały XIX i jeszcze na początku XX stulecia. W zachowa-



nych menu Potockich z Łańcuta zupa migdałowa była obok barszczu jednym z głównych dan wigilijnych, przy czym podawano ją tylko państwu, a służba i pracownicy musieli zadowalać się samym barszczem albo zupą grzybową.

Uboższym kuzynem królującej przez wieki na wigilijnym stole zupy migdałowej była polewka z konopi, pamiętana jeszcze na Śląsku jako „siemieniotka”. Luksusową wersję polewki z konopi opisał jeszcze w tekście „Kuchmistrzostwa”, zaginionej najstarszej polskiej książki kucharskiej z ok. 1540 r., której tekst poznaliśmy niedawno dzięki odnalezionej przez nas kopii z XVIII wieku. Ta oparta jeszcze na tekście z XV w. receptura jest bardzo lakoniczna, dowiadujemy się z niej, że siemię konopne należy rozetrzeć w „dojnicy”, rozpuścić małmazją (bardzo cenionym słodkim winem greckim) – „albo czym chcesz” – i koniecznie „okorzenić dobrze” (mocno doprawić różnymi orientalnymi przyprawami). W elitarniej literaturze kulinarnej ten przepis i potrawa jednak szybko znikają – od czasu renesansu konopie kojarzyły się z niewybrednymi gustami mieszkańców północy, które należało zastąpić poprzez przejmowanie wzorców z kuchni śródziemnomorskiej.

Choć o zupie migdałowej czy „siemieniotce” zdążyliśmy już zapomnieć, to ciągle pamiętamy o wigilijnym karpie. Wydaje się to wręcz dziwne, bo przecież według niezwykle popularnego mitu karpia na wigilijne stoły miał wprowadzić dopiero Hilary Minc w końcu lat 40. i na początku lat 50. XX wieku. Nie wiadomo co prawda, dlaczego jeden z przywódców PZPR miałby tak martwić się o utrzymanie czy właściwe w tym kontekście roz-

wój wigilijnej tradycji. Niebywała kariera tej prostej i typowej dla wszelkiej maści kulinarnych mitów opowieści skłania nas jednak do przypomnienia wigilijnego menu Zygmunta III Wazy, Władysława IV czy Jana Sobieskiego, w którym karp zajmował zwykle jedno z najważniejszych miejsc. Karpia w sosie piernikowym jako typowe wigilijne polskie danie opisywali w XIX wieku słynni francuscy kucharze, karpia w sosie polskim (ostro-kwaśnym) zamieścił w swym wzorcowym menu wspomniany już wyżej Antoni Teslar. Taki sposób przygotowywania tej potrawy szczególnie długo utrzymywał się w ziemi chełmińskiej i na Pomorzu, szczegółowo opisano go w wydanej wielkim nakładzie w 1915 r. i kilkakrotnie wznawianej grudziądzkiej *Nauce gotowania do użytku ludu polskiego*.

Najróżniejsze przepisy na karpia pojawiają się w polskiej literaturze kulinarnej już w XVI w. Gdy bliżej się im przyjrzymy, to w tych wywodzących się jeszcze z czasów średniowiecza recepturach na karpia łatwo doszukamy się opisów podobnych do współczesnych „gefилte fisz” czy „karpia po żydowsku”. Połączenie smaków słodkich i korzennych oraz maksymalne przetworzenie produktu to charakterystyczna cecha dawnej kuchni polskiej. Jako relikty cechy te odnajdujemy w kuchni Żydów polskich, stąd skojarzenie ich z czasem właśnie z kuchnią żydowską. Gdyby ktoś był ciekaw tej akurat historii, to polecam mój wykład dla Muzeum Polin zorganizowany przy okazji wystawy „Żydowska kultura kulinarna”, który można obejrzeć na kanale YouTube Muzeum.

Niezwykłego przeglądu tak bogatego, arystokratycznego, jak i bardziej popularnego menu wigilijnego dostarcza nam, zachowana od 1862 aż do 1944 r. bogata dokumentacja z dworu hrabiów Potockich z Łańcuta. Oprócz wspomnianej już zupy migdałowej i barszczu, czasem grzybowej na stół państwa podawano zwykle krążki ryby (zwykle szczupaka) z chrzanem, karpia (hrabiowie z Łańcuta nie wiedzieli, że to wynalazek PRL-u), sandacza, kapustę z grzybami, kutię, pierogi z powidłami, kluski z makiem lub grzybami.

Karpia przyrządzano zwykle „na niebiesko” (po sparzeniu wrzącym octem), „na szaro” (z rodzynkami) albo „po polsku” (z piernikami). Szczupaka podawano w sosie kaparowym lub z chrzanem, sandacza zawsze z jajami („po polsku”). Świeże ryby były przy tym ozdobą stołu państwa, służba i pracownicy musieli zadowolić się solonymi śledziami, choć na ich stole pojawiały się czasem też karpie. Kutia była zdobiona „łamańcami” (wafelkami), na stole wigi-

lijnym pojawiały się też różne „strudle” (z jabłkami i z makiem) oraz kompoty i suszone owoce.

Spośród zapomnianych potraw wigilijnych warto wspomnieć o jarmużu z kasztanami. Ta całkowicie już dziś zapomniana potrawa wigilijna najlepiej chyba pokazuje cechy tego posiłku. Jarmuż, produkt lokalny i dostępny jeszcze zimą, łączono w niej z importowanymi kasztanami, które glazurowano w cukrze i całość nabierała wyjątkowego, wytrawno-słodkiego smaku. Na Litwie i Białorusi raczono się „ślizikami” (bułeczkami czy pączuszkami moczonymi w mleku makowym), a na Pomorzu gotowano czasem zupę z suszonych śliwek i suszonych grzybów. Na Lubelszczyźnie znano postną grochówkę, a na Śląsku „moczke” z suszonych owoców i bakalii gotowanych w ciemnym piwie. W XIX w. za potrawę wigilijną uznawano też zupę z sago (mączki palmy sagowej), która w menu wigilijnym słynnej Lucyny Ćwierzakiewiczowej występuje na pierwszym miejscu przed barszczem z uszkami, zupą migdałową i grzybową. Ćwierzakiewiczowa proponowała także zupę rybną, paszteciki z ikłą i rybim mleczem, postne gołąbki, jarmuż z kasztanami, kisiel migdałowy, różne ciasta i leguminy. Popularny był także podawany na słodko zielony groszek na grzankach. Naprawdę było w czym wybierać...

Przepisy

Zupa migdałowa na osób sześć

Weźmiesz migdałów fontów 3, oparz je wrzącą wodą i obierz z łupin i obrane na serwecie obsusz, potem włóż do moździerza i utłucz je, dolewając do masy migdałowej zimnej trochę wody. Jak się dobrze utłuką, wybierz je z moździerza i nalej na nie przegotowanego letniego¹ mleka, dobrze mieszaj i przetrzaj przez pytel, przystaw do ognia i zagrzej dobrze, lecz niech nie wre, bo się zwarzy. Na wydaniu włóż cukru o cytrynę otartego, ryżu w mleku osobno ugotowanego włóż w wazę i nalej polewkę.

Nota bene: gdy się już ryż do połowy ugotuje, to wzięwszy dużych rożenków pięknie wypłuczonych, włóż do niego i razem gotuj. Kiedy zaś chcesz dać zupę postną migdałową, to zamiast mleka, tak do migdałów, jako też i ryżu, użyjesz wody.

Przepisy Paula Tremo, wyd. i opr. J. Dumanowski, „Monumenta Poloniae Culinaria”, t. IX, red. J. Dumanowski, Warszawa 2022.

* W rękopisie AGAD: „letkiego”.



Jarmuż z kasztanami

Jarmuż oczyszczony kładnie się do wrzącej wody, w której gdy się ugotuje na miękko, wybiera się, wycisnąwszy z niego wodę usieka się najdrobniej. Utrzeć na tarkę słodkiego buraka i dwie marchwi, usieka się drobno kilka cebul, które gdy się usmażą w maśle, kładnie się utarty burak i marchew; podsmażywszy to w maśle z cebulą kładnie się jarmuż. Nalawszy dobrym bulionem; na miernym ogniu (mieszając) należy gotować pod pokrywą; gdy będzie gotowy jarmuż wyklada się na półmisek; obłożony go kasztanami, wydaje się do stołu. Kasztany tak się przygotowują: opiekają się na miękko w piecyku kawianym lub na blasze w gorącym piecu; gdy się odpieką, należy oczyścić z łuski. Wkłada się każdą na drewnianą szpilkę i macza się w cukier zagotowany pod nazwiskiem karmel*. Kasztany tym sposobem przygotowane służą z groszkiem i szpinakiem.

*Karmel następnie się robi. Bierze się funt cukru, kładnie do rondelka zalawszy go pół kwartą wody, gotuje się dopóki nie zacznie gęstnieć; wówczas macza się w ten ulep drewnianą szpilkę i próbuje się, gdy cukier będący na szpilce nie będzie lgnął do zębów, znakiem będzie, że już jest karmel gotowy.

Jan Szyttler, *Kucharz dobrze usposobiony*, Wilno 1830.

Carpe à la Polonaise

Spraw pięknego karpia, włóż go do naczynia do gotowania ryb z wysmarowanym masłem dnem, obłóż go warzywami i wiązką ziół, lekko posól, przykryj grubym papierem wysmarowanym masłem, zalej to dwiema butelkami białego i czerwonego wina oraz

400 ml bulionu rybnego lub wywaru z ryb, zagotuj dwie godziny przed podaniem, później odstaw na bok lub lepiej do przedsionka piekarnika, by go gotować dalej bardzo powoli. Po ugotowaniu w trzech czwartych osącz go, odcedź i odtłuszcz wywar, zrób na nim złoty, esencjonalny sos i dodaj do naczynia do gotowania ryb z karpem, podpiecz w przedsionku pieca, podlewając go co minutę. Następnie przełóż go na półmisek i zalej sosem rzymskim, zastępując przy tym piniole płatkami migdałów, a sos hiszpański panadą z pierników, którą rozrzedza się sosem przed dodaniem owoców i którą przepuszcza się następnie przez gazę.

Polacy podają to danie w wigilię Bożego Narodzenia.

E. Bernard, U. Dubois, *Cuisine classique*, Paryż 1856.

Karp z sosem polskim

Oskrobać karpia z łusek, sprawić, wymyć, pokrajać w kawałki i posolić. Ugotować smaku z jarzyn i zalać nim karpia, dolewając wina czerwonego flaszki: gotować 15 min wolno, wybrać z wody ostrożnie, by nie pokruszyć, ułożyć na innym naczyniu, zalać sosem polskim, zrobionym na smaku z karpia, zagotować chwilę, poczem poukładać na półmisku i sosem polać.

Można też karpia podawać w całości, a osobno, ale to się robi tylko w tym wypadku, kiedy sztuka jest duża.

Sos polski

Do sosu rumianego gęstego (jeżeli do ryb, to na rosole z ryb), dodać taką zaprawę: zarumienić w ron-

delku dwie łyżki miodu, zalać winem czerwonym, dać ziela angielskiego, łyżkę cukru, zagotować i wlać do sosu; dosolić, dać cytryny lub octu i dosłodzić, tak, aby sos był ostro-kwaśny; następnie dodać migdałów bez skórki, rodzynków i jarzynek w kostkę ukrajanych i ugotowanych.

Antoni Teslar, *Kuchnia polsko-francuska*, Kraków 1910.

Zupa ze śliwek

Wziąć dwie kwarty dobrych dojrzałych śliwek (najlepiej węgierek), włożyć do garnka, zalać wodą, aby je objęła, i zagotować, mieszając często, aby się nie przypaliły. Skoro się rozgotują, przetrzeć przez sito, wyspać trochę cynamonu, pół funta cukru, kilka utłuczonych goździków, szklankę wina, rozprowadzić gotowaną wodą, zagotować i wylać na grzanki z bułki. Zamiast wina można użyć dla odmiany pół kwarty świeżej śmietany.

Chcąc przyrządzić zupę na suchy post, trzeba wziąć na dwa talerze ćwierć funta suszonych śliwek, rozgotować dobrze z małą ilością wody i cynamonu. Osobno cztery dobre grzyby średniej wielkości ugotować na miękko w półkwartowym rądlu, odwarem tych grzybów przetrzeć przez durszlak śliwki, grzyby posiekać jak najdrobniej, wrzucić w zupę i na tym smaku ugotować troszkę, z półkwatka mąki zacierek.

Podając na wazę, osłodzić.

Kuchnia polska, niezbędny podręcznik dla kucharzy i gospodyń wiejskich i miejskich, Toruń 1885.

Śledzie smażone i nadziewane

Wymoczyć cztery śledzie 3 dni najmniej, często zmieniając wodę, dobrze obetrzeć z wilgoci, ściągnąć skórę, usunąć także ciemną skórę z grzbietu, oczyścić śledzie wewnątrz, mleczko usiekać wraz z cebulą i pieprzem bardzo drobno, wziąć łyżkę masła, garść tartego razowego chleba, nieco opieprzyć, dodać jedno jajko, wymieszać to razem, nadziać tem śledzie i zaszyć. Potem tarzać śledzie w rozbitym jajku, w tartej bułce i mące, w tartej bułce i mące i smażyć na klarownym maśle.

Kuchnia polska, niezbędny podręcznik dla kucharzy i gospodyń wiejskich i miejskich, Toruń 1885.



Prof. Jarosław Dumanowski — kierownik Centrum Dziedzictwa Kulinarnego na Wydziale Nauk Historycznych UMK



Fot. Andrzej Romański

Bartosz Rakoczy

Dziedziczenie w prawie polskim

Nie tak dawny 1 listopada jest dniem szczególnej zadumy nad przemijaniem, kruchością ludzkiego życia, ale jest to także czas wspominania bliskich nam osób, które odeszły z tego świata.

Stojąc nad grobami drogich nam osób zmarłych, wspominamy nie tylko zmarłych członków rodziny, przyjaciół, znajomych, ale także zmarłych naszej społeczności akademickiej, którzy przyczyniali się do rozwoju wiedzy i nauki w swoich dyscyplinach.

Jest to zatem czas szczególny i wyjątkowy, gdy możemy pochylać się z filozoficzną zadumą, teologiczną refleksją nad życiem wiecznym, poetycką wrażliwością czy wreszcie historyczną oceną. Śmierć jest bowiem doświadczeniem wielopłaszczyznowym. Czas zadumy inspirował również do tego, aby popatrzeć na śmierć oczami jurysty. Śmierć bowiem nie jest zdarzeniem prawnie irrelewantnym. Wywołuje ona bowiem określone i to daleko idące skutki prawne.

W dzisiejszym artykule pragnę zaproponować przypatrzenie się kwestii śmierci z punktu widzenia

Prawa spadkowego. O ile śmierć stanowi doczesny koniec określonej osoby fizycznej, o tyle większość przysługujących tej osobie praw majątkowych, jak również obciążających daną osobę obowiązków majątkowych istnieje nadal. Co oczywiście są też takie prawa majątkowe i obowiązki, które wygasają wraz ze śmiercią spadkodawcy (np. uprawnienia lub obowiązki o charakterze alimentacyjnym). Znakomita jednak część spraw i obowiązków majątkowych zmarłego nie wygasa z chwilą jego śmierci. Uregulowanie dalszego prawnego losu tychże praw i obowiązków majątkowych zmarłego jest domeną prawa cywilnego, a przede wszystkim tej jego części, którą określa się jako prawo spadkowe.

Definicję prawną spadku zawiera art. 922 k.c., według którego spadek to ogół praw i obowiązków majątkowych zmarłego (spadkodawcy, które przechodzą z chwilą jego śmierci na spadkobierców na podstawie przepisów księgi IV k.c.).

Los prawny praw i obowiązków majątkowych zmarłego może być kształtowany w dwojaki sposób

rodzaju sposób – albo poprzez ostatnią wolę spadkodawcy, określaną jako testament, albo w przypadku braku lub nieważności testamentu – poprzez ustawę.

Preferowanym przez prawodawcę polskiego rozwiązaniem jest spadkobranie na podstawie testamentu. Preferencja ta wynika z tego, że testament najlepiej oddaje rzeczywiste zamiary spadkodawcy co do losów praw i obowiązków majątkowych, które mu przysługiwały w chwili jego śmierci. Sporządzenie testamentu nie jest jednak obowiązkiem, co oznacza, iż określona osoba mogła umrzeć, nie pozostawiając jednak testamentu. Możliwe jest również, że testament taki, choć został sporządzony, okazał się z różnych względów nieważny.

W takiej sytuacji grono spadkobierców kształtowane jest wyłącznie na podstawie przepisów prawa. Zaznaczyć należy, iż w przypadku testamentu spadkodawca może kształtować krąg spadkobierców dowolnie.

Stąd też można mówić o dziedziczeniu (spadkobranii) testamentowym lub ustawowym. W pierwszej kolejności powołane są z ustawy do spadku dzieci spadkodawcy oraz jego małżonek; dziedziczą oni w częściach równych. Jednakże część przypadająca małżonkowi nie może być mniejsza niż jedna czwarta całości spadku. Jeżeli dziecko spadkodawcy nie dożyło otwarcia spadku, udział spadkowy, który by mu przypadł, przypada jego dzieciom w częściach równych. Przepis ten stosuje się odpowiednio do dalszych zstępnych. W braku zstępnych spadkodawcy powołani są do spadku z ustawy jego małżonek i rodzice. W braku zstępnych i małżonka spadkodawcy cały spadek przypada jego rodzicom w częściach równych. Jeżeli jedno z rodziców spadkodawcy nie dożyło otwarcia spadku, udział spadkowy, który by mu przypadł, przypada rodzeństwu spadkodawcy w częściach równych. Jeżeli którekolwiek z rodzeństwa spadkodawcy nie dożyło otwarcia spadku pozostawiając zstępnych, udział spadkowy, który by mu przypadł, przypada jego zstępnym. Podział tego udziału następuje według zasad, które dotyczą podziału między dalszych zstępnych spadkodawcy. W braku zstępnych spadkodawcy, jego rodziców, rodzeństwa i ich zstępnych, cały spadek przypada małżonkowi spadkodawcy. W braku zstępnych, małżonka, rodziców, rodzeństwa i zstępnych rodzeństwa spadkodawcy cały spadek przypada dziadkom spadkodawcy; dziedziczą oni w częściach równych. W braku małżonka spadkodawcy

i krewnych, powołanych do dziedziczenia z ustawy, spadek przypada w częściach równych tym dzieciom małżonka spadkodawcy, których żadne z rodziców nie dożyło chwili otwarcia spadku. W braku małżonka spadkodawcy, jego krewnych i dzieci małżonka spadkodawcy, powołanych do dziedziczenia z ustawy, spadek przypada gminie ostatniego miejsca zamieszkania spadkodawcy jako spadkobiercy ustawowemu. Jeżeli ostatniego miejsca zamieszkania spadkodawcy w Rzeczypospolitej Polskiej nie da się ustalić albo ostatnie miejsce zamieszkania spadkodawcy znajdowało się za granicą, spadek przypada Skarbowi Państwa jako spadkobiercy ustawowemu. Z powyższych reguły dziedziczenia ustawowego wskazują, że zasadniczo spadkobiercami ustawowymi są osoby spokrewnione ze spadkodawcą, ze szczególnym uprzywilejowaniem pozycji małżonka. Ustawodawca zatem odwołał się do tradycyjnych więzi rodzinnych i na nich skontrolował koncepcję dziedziczenia ustawowego. Wyjątkowa jest pozycja gminy i Skarbu Państwa jako spadkobierców. Nie są oni bowiem powiązani ze spadkobiercą jakimikolwiek więzami osobistymi. Natomiast przyjęcie, że gmina i Skarb Państwa mogą być ustawowymi wiąże się z tym, aby żaden spadek w systemie Prawa Polskiego nie był spadkiem nieobjętym przez spadkobiercę. Oczywiście możliwa jest sytuacja, iż spadkobierca nie jest znany, jednak brak wiedzy o osobie spadkobiercy nie jest tym samym, co brak spadkobiercy.

Należy mieć nadzieję, iż te kilka uwag dotyczących spadkobrania ustawowego okaże się w naszej społeczności akademickiej przydatne, aczkolwiek zachęcać należy, aby uregulować swoje sprawy majątkowe właśnie poprzez sporządzenie testamentu; oddaje on bowiem nie tylko rzeczywistą wolę spadkodawcy, ale zasadniczo pozwala też uniknąć konfliktów rodzinnych o schedę spadkową. Jest nie tylko wyrazem odpowiedzialności za losy mienia doczesnego, ale również wyrazem troski o najbliższych.

Kwestie dziedziczenia ustawowego nie wyczerpują problematyki prawnych skutków śmierci określonej osoby. W miarę możliwości będziemy wracali w „Głosie Uczelni” do kwestii spadkobrania.

Prof. dr hab. Bartosz Rakoczy – kierownik Katedry Prawa Ochrony Środowiska i Publicznego Prawa Gospodarczego, Wydział Prawa i Administracji UMK

Winicjusz Schulz

Czas na kamuflaż

20 października poranek był mglisty. Tak mglisty, że z Kępy Bazarowej nie było widać Wisły, o drugim brzegu rzeki nie wspominając. Taka sceneria nabrała wręcz symboliki, bo właśnie po drugiej stronie Wisły zaplanowano owego dnia konferencję prasową z udziałem prezydenta Michała Zaleskiego i prezesa Stowarzyszenia Konserwatorów Zabytków prof. dr. hab. inż. arch. Andrzeja Kadłuczki.

Spotkanie miało dotyczyć kontrowersyjnych pawilonów powstających na toruńskich bulwarach. Ale rzeczono pawilony przez większość czasu konferencji spowijała mgła.

O sprawie informowaliśmy już w poprzednim numerze „Głosu”, publikując list otwarty przeciwników tej inwestycji. Wśród sygnatariuszy owego listu było wielu naukowców z UMK, w tym uczeni związani ze sztuką, konserwacją zabytków.

Prof. Andrzej Kadłuczka zaprezentował ekspertyzę, jaką przygotował na zlecenie władz Torunia. Z kolei prezydent Torunia Michał Zaleski nawiązał do opinii Narodowego Instytutu Dziedzictwa. Prof. Kadłuczka, przywołując dzieje toruńskich nabrzeży, które pełniły przez wieki także funkcje portowe, a także koncepcje wielu światowej sławy konserwatorów zabytków, wyraził przekonanie, że współczesność ma pewne prawa do zaistnienia w sąsiedztwie zabytkowej substancji i są na to przykłady w różnych krajach. Gwoli prawdy jednak obaj panowie zgodnie przyznali, że w trakcie realizacji toruńskiej inwestycji popełniono pewne błędy. Wskazano tu m.in. na wojewódzkiego konserwatora zabytków, który mógł jeszcze na etapie prac koncepcyjnych zaingerować w nie, wskazać alternatywne lokalizacje dla obu pawilonów, skorygować ich wielkość, wysokość posadowienia itd. Dziś zapewne, gdyby brać pod uwagę głosy krytyczne, inwestycję należałoby poprowadzić inaczej.

Teraz jednak, parafrazując powiedzenie, można by rzec: „mleko się już rozlało”. Pawilony burzone nie będą, ale...

Po pierwsze: zdaniem prezydenta Michała Zaleskiego budowę wzbudzają protesty, lecz nie tak



finalnie będą wyglądały. Teraz widać głównie szkło i beton. Po drugie: wbrew pojawiającym się w przestrzeni publicznej poglądom nie jest zagrożony wpis Torunia na Światową Listę Dziedzictwa Kulturowego UNESCO. I wreszcie po trzecie: dałoby się to chyba ująć w dwóch słowach – ważna będzie „sztuka kamuflażu”. Już trwają bowiem prace koncepcyjne nad zminimalizowaniem negatywnych skutków obecności pawilonów w panoramie Torunia. Mają temu sprzyjać alternatywne materiały, surowce (drewno, cegły, zieleni). Metalowe balustrady zastąpione zostaną przeszkłonymi barierkami itd. Jedną z takich wizualizacji (otrzymaną z toruńskiego Urzędu Miasta) prezentujemy.

Podczas konferencji zapytaliśmy także prezydenta Torunia Michała Zaleskiego: jak przyjął wspomniany list otwarty sygnowany przez wielu naukowców UMK. Prezydent zaznaczył, że wiele inwestycji w mieście wywołuje społeczny oddźwięk. A ten list traktuje jako przejaw troski o Toruń.

Warto dodać, że prezydent Zaleski poinformował na październikowej konferencji, iż według nowych planów (skorygowanych z uwagi na wstrzymanie inwestycji) pawilony mają być gotowe na wiosnę 2023 roku.

Marcin Lutomierski

Patriotyzm (nie tylko) dla dzieci

Problematyka patriotyzmu jest obecna w różnego typu wypowiedziach, wśród których dominują ostatnio te polityczne i publicystyczne – bywa że niekiedy, delikatnie rzecz ujmując, kontrowersyjne. Warto jednak przyrzeć się innemu typu tekstom – artystycznym i refleksyjnym, mającym pozytywny wpływ na odbiorców.

Mowa o literaturze dla dzieci, która może kształtować rozumienie patriotyzmu nie tylko wśród najmłodszych, lecz także dorosłych odbiorców – często bowiem frazy i obrazy z dzieciństwa zostają z nami na bardzo długo.

Niejednoznaczność

Pojęcie „patriotyzm” jest wbrew pozorom nieoczywiste, mimo że powiedziano o nim tak wiele. Nie wdając się w szczegółowe rozważania na temat pojmowania i nadużywania tego słowa, przyjrzyjmy się wybranym definicjom i komentarzom.

W *Małym słowniku języka polskiego* czytamy, że „patriotyzm” to „miłość do ojczyzny i własnego narodu, połączona z gotowością poświęcenia się dla nich” (red. E. Sobol, Warszawa 2000, s. 642). Po-

dobnie rzecz ujmuje *Wielki słownik języka polskiego*, wyjaśniając, że jest to „postawa osoby, która kocha swoją ojczyznę, czuje się jej częścią, działa dla jej dobra i gotowa jest wiele dla niej poświęcić” (wsjp. pl, 27.11.2020 r.). Prof. Andrzej Borowski przypomina, że wyraz „patriotyzm” (*patriotism*) pojawił się po raz pierwszy w języku angielskim w roku 1716, a został uformowany na podstawie przejętych z tradycji antycznej wyrazów: *patriotes* i *patriota*. „Wyrażenia te powiązane są pierwotnie i zasadniczo z pojęciem „ojczyzny” (gr. *πατρία*, łac. *patria*), ono zaś wywodzi się od rzeczownika *pater* (ojciec)”. Patriotyzm był więc określeniem przynależności do „ojczyzny” i poczucia więzi z innymi „kompatriotami”, czyli „rodakami”, a także wyrazem świadomości różnych zobowiązań wobec tych ludzi, wynikających z owej wspólnoty (*Patriotyzm-nacjonalizm-szowinizm*, „PAUza Akademicka” 2021, nr 568, s. 2). Należy zatem podkreślić, że patriotyzm nie powinien być utożsamiany z pojęciami takimi, jak: nacjonalizm czy szowinizm, które mają inną etymologię i inne znaczenie.

Kto ty jesteś?

Joanna Olech w picturebooku *Kto ty jesteś?* (il. Edgar Bąk, Warszawa 2013) nawiązuje wprawdzie do słynnego wiersza Władysława Bełty *Katechizm polskiego dziecka*, jednak tutaj nie mamy już do czynienia z patriotycznym katechizmem ograniczonym do haseł wypowiedzianych w patetycznym stylu. To jest coś innego, a mianowicie: zbiór bardzo krótkich wypowiedzi stylizowanych na dziecięce i zawierających przykłady konkretnych działań, które mieszczą się w szeroko rozumianym patriotyzmie.

Oto przykłady: „Jestem patriotą, a nie patriotem. Lubię język polski”, „Kasuję bilet w autobusie. Jestem patriotką”, „Nie marnuję wody. Jestem patriotą”, „Nie wyzywam, nie biję. Jestem patriotą”, „Porządkujemy z dziadkiem opuszczony cmentarz. Jesteśmy patriotami”, „Jak dorosnę, będę głosowała. Jestem patriotką”, „Sprzątam po moim psie. Jestem patriotą”, „Wiem, skąd się wziął francuski cesarz w naszym hymnie. I o co chodzi z tym przewodem. Jestem patriotką”. Jest tu zasygnalizowany szereg spraw dotyczących bardziej teraźniejszości i przyszłości niż przeszłości (choć należy podkreślić, że nie



Fot. Aleksandra Lutomierska

została ona pominięta). Warto jeszcze przytoczyć niezwykle wymowne słowa z tej książki, oddające bardzo trafnie idę całego picturebooka: „Jesteśmy równi, choć różni. Każdy ma prawo być patriotą”.

Jaki znak Twój?

Z klasycznym wierszem Bełzy koresponduje także zbiór utworów Michała Rusinka *Jaki znak Twój? Wierszyki na dalsze 100 lat niepodległości* (il. Joanna Rusinek, Kraków 2018). W tej książce poeta przywołuje pytania stawiane przez autora *Katechizmu polskiego dziecka*, a następnie odpowiada obszernie (jedno pytanie – jeden wiersz), przyjmując perspektywę współczesnego polskiego dziecka, świadomego swojej złożonej tożsamości.

Na przykład bohater wiersza *Kto ty jesteś?* mówi o sobie, że jest malcem z gatunku *homo sapiens*, mającym swój konkretny adres, a także, że jest Ziemianinem, Europejczykiem „przede wszystkim zaś Polakiem!”. W wierszu *Gdzie ty mieszkasz?* wspomina o swoim pokoju, domu, podwórku, ulicy, dzielnicy, mieście, kraju, kontynencie i wszechświecie. Utwór *Czym zdobyta?* porusza bardzo istotne sprawy: historię („przez *h* duże” i „przez *h* całkiem małe”) oraz pamięć o niej. Czytamy bowiem, że „Są w historiach tych zdarzenia, / Z których dumę bez wątpienia / Można czuć. Lecz są i inne, / Które wzbudzać wstyd powinny. / Czemu je pamiętać mamy? / Po to o nich pamiętamy, / Żeby kilka razy z rzędu / Nie popełniać starych błędów”. Michał Rusinek przypomina zarówno o narodowym, jak i ludzkim wymiarze pamięci o historii, która powinna być źródłem nie tylko dumy, lecz także refleksji.

Ojczyzna w sercu

Z innej perspektywy na postawy ludzi działających w duchu patriotyzmu spogląda Eliza Piotrowska w książce *Wojtek. Żołnierz bez munduru* (il. Eliza Piotrowska, Poznań 2017). Tytułowy bohater, niedźwiedź, był jednym z żołnierzy gen. Władysława Andersa i razem z II Korpusem Polskim przebył długi szlak bojowy, uczestnicząc nawet w bitwie pod Monte Cassino.

Kapral Wojtek istniał naprawdę i doczekał się swojej legendy. Jego literacki żywot rozpoczyna się od wydanej na emigracji książki Wiesława Antoniego Lasockiego *Wojtek spod Monte Cassino. Opowieść o niezwykłym niedźwiedziu*. W Polsce miś-żołnierz został bohaterem kilku interesujących utworów, ale

dotychczasowi autorzy opowiadali historię o nim, przyjmując perspektywę ludzką. Tymczasem Eliza Piotrowska oddaje „głos” właśnie Wojtkowi, który będąc już w edynburskim zoo, wspomina dzieciństwo i wojnę. „Mam na imię Wojtek. Urodziłem się w Iranie, mieszkam w Szkocji, ale jestem Polakiem” – wyznaje niedźwiedź już na początku opowieści.

Książka *Wojtek. Żołnierz bez munduru* jest przejmującą opowieścią ujętą w formę lirycznych obrazów zapisanych prozą i wzbogaconych znakomitymi ilustracjami autorki. W Wojtkowych obserwacjach i przeżyciach pojawia się m.in. ojczyzna oraz miłość do niej wyrażona przez żołnierzy, którzy stali się tułaczami.

Powyższe utwory współczesnych pisarzy wiele wnoszą do dziecięcych i dorosłych refleksji o patriotyzmie rozumianym szeroko – nieograniczającym się jedynie do wygłaszania haseł, obchodzenia świąt narodowych czy upamiętniania rocznic historycznych. W pozornie dziecięcy sposób są tu pokazane różne oblicza patriotyzmu: narodowe (tożsamość, tradycja), społeczne (współdziałanie, współodpowiedzialność), a także indywidualne (osobiste zaangażowanie). Książki Joanny Olech, Michała Rusinka i Elizy Piotrowskiej przekonują o istnieniu wielu postaw patriotycznych, w których dobro jednostki nie jest w sprzeczności z dobrem ojczyzny czy dobrem świata. To piękne i inspirujące przesłanie.

Literatura

- Borowski A., *Patriotyzm-nacjonalizm-szowinizm*, „PAUza Akademicka” 2021, nr 568.
 Olech J., *Kto ty jesteś?*, il. E. Bąk, Warszawa 2013.
 Piotrowska E., *Wojtek. Żołnierz bez munduru*, il. E. Piotrowska, Poznań 2017.
 Rusinek M., *Jaki znak Twój? Wierszyki na dalsze 100 lat niepodległości*, il. J. Rusinek, Kraków 2018.
 Sobol E. (red.), *Mały słownik języka polskiego*, Warszawa 2000.
Wielki słownik języka polskiego (wsjp.pl).

Dr Marcin Lutomiński — Wydawnictwo Naukowe UMK,
 Pracownia Badań Kultury i Literatury Dziecięco-Młodzieżowej na Wydziale Humanistycznym UMK

Marcin Lutomierski

Święty Mikołaj – szkic do portretu literackiego



Fot. polona.pl

Święty Mikołaj jest jednym z niekwestionowanych symboli świąt zwanych od jego imienia mikołajkami, a także Gwiazdki, czyli świąt Bożego Narodzenia. Stał się również ikoną kultury masowej, która ukształtowała jego nowy wizerunek – widoczny w stacjonarnych i cyfrowych przestrzeniach konsumpcji już od 2 listopada.

Nie sposób nawet skrótowo opisać fenomenu świętego¹ Mikołaja w kulturze polskiej (i nie tylko),

¹ Według internetowych poradni językowych oraz słowników możliwe są – w zależności od kontekstu – róż-

ale za to można przyrzeć się literackim przyczynom, które kształtowały i zarazem upowszechniały wyobrażenia o tej postaci wśród naszych przodków, kiedy byli mali.

Historyczny czy legendowy?

Nie rozstrzygniemy dziś, czy Mikołaj był postacią historyczną – biskupem Miry, który później został ogłoszony świętym chrześcijańskim. Nie odnaleziono dotychczas świadectw o życiu Mikołaja z okresu, kiedy on miał żyć, czyli przełomu III i IV wieku. Pisane – literackie – przekazy o nim pochodzą z czasów dużo późniejszych, czyli VI i VIII wieku, a jego pierwszy żywot, który stał się podstawą wielu późniejszych biografii, powstał na przełomie wieku VIII i IX (por. M. Szpakowska, *Święty Mikołaj wczoraj i dziś*, s. 52).

Kult Mikołaja jako świętego chrześcijańskiego rozwijał się bardzo prędko po 1087 r., kiedy – jak wierzą – jego szczątki przeniesiono do włoskiego Bari. Przez wieki był on jednym z najpotężniejszych świętych, nazywanych w Kościele katolickim Świętymi Wspomożycielami. A mimo to w 1969 r. „ze względu na brak dokumentów potwierdzających życie i działalność świętego, Kongregacja Spraw Kanonizacyjnych Kościoła rzymskokatolickiego nie uznała Mikołaja za postać realną, skreśliła go ze spisu świętych, zezwalając jedynie na kult lokalny” (A. Kostrzewa, H. M. Łopatyńska, *Przewodnik po Bożym Narodzeniu*, s. 132). Widzimy jednak, że postać świętego Mikołaja żyje swoim życiem i łączy elementy różnych kultur i wyznań, także tych przedchrześcijańskich, a nawet jest upowszechniana w publikacjach katolickich adresowanych do młodszych i starszych odbiorców – bez informacji o wcześniejszej decyzji Watykanu.

ne pisownie: święty Mikołaj, św. Mikołaj, Święty Mikołaj, święty mikołaj. Zob. m.in.: <https://sjp.pwn.pl/poradnia/haslo/Swiety-Mikolaj-i-Myszka-Miki;5788.html>; <https://sjp.pwn.pl/poradnia/haslo/Swiety-Mikolaj-i-swiety-mikolaj;17606.html> (data dostępu: 15.11.2022 r.).

Święty Mikołaj i jego towarzysze

Polska literatura dla dzieci i młodzieży rozwijała się od lat 20. XIX wieku i nie od razu podjęta temat świętego Mikołaja. Wynika to z faktu, że zwyczaj obdarowywania dzieci na naszych ziemiach 6 i/lub 24 grudnia przyjmował się stopniowo i to raczej od drugiej połowy XIX wieku. Nie dziwi więc to, że utwór literacki w całości dotyczący świętego ukazuje się dopiero w roku 1887 (w Rzeszowie). Mowa o *Podarku od świętego Mikołaja. Dla grzecznych i pilnych dzieci* napisanym przez Jana Kraweckiego.

Oprócz dosyć obszernego życiorysu Mikołaja znanego z żywotów świętych i przeplatane scenkami dialogowymi czytamy tu o „pięknym zwyczaju święcenia dnia św. Mikołaja” (s. 88), który polega na tym, że w wigilię dnia tego świętego ulicami wędruje gromadka ludzi otaczających św. Mikołaja w szacie biskupiej razem z młodym towarzyszem „w białej sukience” i starszym mężczyzną przypominającym Pawła Rodyjczyka. Za nimi kroczy „brzydki diabeł”. Narrator zwracając się do dzieci, zadaje pytanie, na które po chwili sam odpowiada: „Ale któryż z tych dwóch towarzyszy najbardziej wam się podoba, kochane dzieci? Czy św. Mikołaj z długą, piękną brodą i świecącą infułą na głowie, czy ten drugi brzydki towarzysz z rogami, przedstawiający postać złego? Niezawodnie św. Mikołaj!, bo on daje podarki i wynagradza za dobre – ten drugi grozi różgą i obiecuje karę” (s. 88). Jak wiemy choćby z przekazów ustnych, później zaczęto przypisywać Mikołajowi również tę funkcję, którą dawniej pełnił diabeł. Niejednokrotnie upominano dzieci, że jeśli nie będą grzeczne, to święty Mikołaj przyniesie im różgę...

Na saniach zaprzęgniętych w jelenia

Nieco inaczej ukazał postać świętego Tadeusz Pudłowski w książeczce zatytułowanej *Święty Mikołaj* i opublikowanej – według biblioteki polona.pl – ok. 1915 r. Tutaj Mikołaj również pojawia się tylko raz w roku, ale za to nie 5/6 grudnia, a w „[...] wigilię Bożego Narodzenia, gdy pierwsza gwiazdka zabłyśnie w błękie. Wówczas to dzieci oczekują przybycia Świętego Mikołaja, który hojnie obdarza je podarunkami” (s. 2). Oczywiście – poucza narrator tej opowieści – trzeba na to zasłużyć, czyli zachowywać się grzecznie i posłusznie przez cały rok.

A jak wygląda święty Mikołaj? „Jest to starzec jak gołąb siwiuteńki o włosach długich, takiej samej brodzie i wąsach. Na głowie ma szczerozłotą infułę biskupią, w ręku długi złoty pastorał. Odzież jego składa się z bieluteńkiej jak śnieg szaty, prze-

pasanej pasem kosztownym, z płaszczu szkarłatnego, narzuconego na ramiona” (s. 2). Przez cały rok Mikołaj zbiera wiadomości o dzieciach; znając ich zachowanie, decyduje – kogo odwiedzić i zostawić podarunek, a kogo nie. Święty zna marzenia dzieci i wie, co należy zabrać ze sobą przed wyruszeniem w podróż własnym zaprzęgiem wypełnionym workami z zabawkami i smakołykami. Mikołaj ma swoją służbę, składającą się z małych Etiopczyków, którzy przygotowują saneczki i zaprzęgają ręcznego jele-



Fot. polona.pl



Fot. polona.pl



Fot. polona.pl

nia. Święty w pośpiechu odwiedza dzieci w różnych miejscowościach, ale najpierw trzykrotnie puka do drzwi. Po wejściu zwraca się do dzieci, chwalcąc ich zachowanie, a następnie stojący tuż za Mikołajem służący wysypuje z worka dary. Zaabsorbowane prezentami dzieci nie orientują się, że w tym czasie ich darczyńca oraz służący znikają...

Święty Mikołaj Gwiazdor

Czesław Kędziński, występujący pod pseudonimem Wujek Czesio, mówi zamiennie o świętym Mikołaju (Mikołajku) i gwiazdorze (gwiazdorku; później pisownia zmienia się na wielką literę), który zjeżdża z nieba raz w roku i przynosi grzecznym dzieciom prezenty. Książeczka o wymownym tytule *Gwiazdka* (Lwów–Poznań ok. 1920 – według biblioteki polona.pl) zawiera kolorowe ilustracje – przedstawiające głównie dzieci, ale jedna z nich pokazuje też postać, która zdaje się być świętym Mikołajem i gwiazdorem (Gwiazdorem) w jednej osobie. W tekście mowa jest najpierw o dziewczynce nazwanej Żabcią, która wracając do domu z saneczkami, zatrzymuje się przy witrynie sklepu z zabawkami. Zachwyca się nimi i marzy, by je mieć. „A kiedy już grzecznie zjadła wieczerzę, poprosiła mamusię o papier i ołówkę

i napisała wielki serdeczny list do «Kochanego Pana Gwiazdora». Potem położyła go na oknie, z mówiła paciorem i poszła spać” (s. 4).

Żabcia miała „cudny sen”, a w nim wielkie niebo, w którym było wiele śniegu, choć wcale nie odczuwało się zimna. Rosły tam świerki piękniejsze niż na ziemi, a na nich jaśniały żywe światełka, czyli gwiazdki mrugające wieczorem na niebie. „I było tam dużo skrzydlatych aniołków, bardzo dużo, którym Pan Bóg udzielił wakacji, ażeby na czas Gwiazdki były pomocne Gwiazdowskiemu, któremu było na imię św. Mikołaj” (s. 5). Mikołaj jest tu ukazany jako starzec o małych siłach i słabym wzroku, za to mocno kochający grzeczne dzieci. Ma dla nich prezenty i chciałby obdarować je w rocznicę Bożego Narodzenia, dlatego uprosił u Boga pomoc aniołków, które wykonują swoją pracę z wielką radością. Kiedy jeden z aniołków przeczytał świętemu list od Żabci, on rozkazał drugiemu: „– Ano, skoro Żabcia tak grzecznie prosi, to zapakuj dla niej kilka podarków. Ale nie wszystkie. Bo gdyby tak wiele dostała zabawek, to na pewno by nie wiedziała, czym naj-



Fot. Marcin Lutomierski

pierw się bawić. I znudziłaby się szybko” (s. 5). Po Mikołaja-Gwiazdora przyjeżdżają sanki ze srebrnymi dzwoneczkami, na które wsiada „chmara aniołków z workami, pełnymi najśliczniejszych podarków” (s. 6). Święty wołając wesoło, daje znak do wyjazdu. Zabawek i pierników dla Żabci było tak wiele, że musiały dźwigać je aż trzy aniołki. To one przyniosły prezenty do pokoju dziewczynki i pozostały tam aż do świtu, bawiąc się zabawkami dziewczynki, zapalając lampki, figlując i zachwycając się Żabcią, która „[...] spała grzecznie, nie chrapała. I przez sen się uśmiechała, tak miłuchno, tak rozkosznie, że aż aniołki stanęły w zachwyceniu” (s. 6). Tymczasem na dworze czekał na aniołki mocno zziębnięty święty Mikołaj, po czym wszyscy wyruszyli saniami – niby błyskawica – do nieba...

Na zakończenie tego skromnego artykułu warto przypomnieć pewną nieoczywistość. W Polsce – dawnej i współczesnej – prezenty z okazji świąt Bożego Narodzenia, zwanych także Gwiazdką, upominki przynoszą różni darczyńcy. Oprócz świętego Mikołaja są to najczęściej: Gwiazdor albo Gwiazdka (na szeroko rozumianym Pomorzu, w Wielkopolsce i zachodnich Kujawach), Konik/Szemel (na Mazurach i Warmii), Aniołek (na południu kraju), święty

Józef lub Dzieciątko Jezus (na Śląsku) oraz Dziadek Mróz (na ziemiach wschodnich).

Wracając zaś do obrazu świętego Mikołaja w dawnej polskiej literaturze dla dzieci, należy stwierdzić, że fantastyczne i eklektyczne wizerunki tej postaci nie są wymysłami kultury współczesnej. Okazuje się bowiem, że już nasi przodkowie bardzo różnie wyobrażali sobie darczyńcę nazywanego powszechnie świętym Mikołajem. Ponadto interesujące byłoby przyjrzenie się współczesnym utworom, których bohaterem jest ta słynna postać. Ale to już temat na kolejny artykuł.

Literatura (wybór)

Kostrzewa A., Łopatyńska H. M., *Przewodnik po Bożym Narodzeniu*, Toruń 2014.

Krawecki J., *Podarek od świętego Mikołaja. Dla grzecznych i pilnych dzieci*, Rzeszów 1887.

Pudłowski T., *Święty Mikołaj*, [bez miejsca wydania, ok. 1915].

Szpakowska M., *Święty Mikołaj wczoraj i dziś*, „Gryfita. Białostocki Magazyn Historyczny” 2008, nr 28, s. 52–57.

Wujek Czesio [Kędzierski C.], *Gwiazdka*, Lwów–Poznań [ok. 1920].

Dr Marcin Lutomierski — filolog polski, członek Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego



Fot. Marcin Lutomierski

Józef Gawłowicz

Sekstanty

Gdy w 2018 roku podczas manewrów floty NATO na wodach norweskich Putin kazał wyłączyć swoją część GPS współpracującą z systemem amerykańskim, wówczas dzielni wychowankowie akademii morskich z Annapolis i West Point nie mogli trafić swoimi okrętami do Narviku.

Po tym incydencie kontradmirał dowodzący manewrami zarządził powrót do astronawigacji, więc kompendium sławnego uczonego amerykańskiego kapitana Nathaniela Bowditcha zostało niemal natychmiast wydane z trzema dodatkowymi rozdziałami rozszerzającymi wiedzę astronawigacyjną.

Dziekan Wydziału Nawigacyjnego Akademii Morskiej w Szczecinie prof. dr inż. Paweł Zalewski przywiózł do Polski te dane z konferencji Międzynarodowej Organizacji Morskiej w Londynie. Świat żegludowy wreszcie zrozumiał, jak ważne są współcześnie autonomiczne systemy nawigacyjne i jak aktualne jest powiedzonko pewnego filozofa, że nic tak nie psuje powietrza jak rozkładająca się przyjaźń pomiędzy narodami. Wyciągnięto z nawigacyjnych szafek zakurzone skrzynki sekstantów i powrócono do rewelacyjnych w swojej prostocie pomiarów kątomierzem lusterkowym, w którym nieskończenie cienki promień od gwiazdy pada na idealnie płaską powierzchnię lusterek i po sprowadzeniu na ostrą jak nóż linię widnokregu wyznacza jej dokładną wysokość. – To chytre rozwiązanie pozwalające nawigatorowi widzieć w połówce lustrzanej odbity obraz gwiazdy i równocześnie w połówce przezroczystej poziomą linię widnokregu – wyjaśnia autor *Sekstantów*. – Właśnie wtedy, gdy ta linia oddzielająca ciemniejszą wodę od jasnego nieba zostanie „dotknięta” przez obraz gwiazdy, rączka lusterka rucho- mego wskazuje jej wysokość.

To samo dzieje się z dolnymi lub górnymi kra- wędziami Słońca i Księżyca, obiektami, których nie można zgasić ani przesunąć, gdyż tam przed czasy umieścił je Pan Bóg na kopule nieba. Polowanie sekstantem na najgrubszą zwierzyńę kosmosu należy ponadto do bardzo męskiego zajęcia górującego nad polowaniem bronią palną, gdyż zamiast zabijania daje w efekcie dokładne pozycje statków

na morzu, aby pasażerowie i załoga mogli spokojnie spać i bezpiecznie dopłynąć do portu przeznaczenia, a okręty wojenne skutecznie tropić wroga.

Idea sekstantu

Według Conrada kilkadziesiąt tysięcy lat temu nasz kudłaty przodek siadł na zwałonym do wody pnia- ku i odpychając się drągiem od dna, odbył pierwszą w dziejach ludzkości podróż w żegludze przybrzeżnej. Od tamtej – nieznanej nam – daty rozpoczęła się historia nawigacji po morzach i oceanach. W od- ległej starożytności człowiek zastąpił pień wydrą- żonym czółnem, a później wypływał w dłuższe już rejsy łodzią żaglową. Początkowo trzymał się brzegu morza, ale gdy tylko ląd zniknął mu z oczu, zmuszony był określać pozycje swojej łupinki, bo inaczej nie tylko nie odkryłby żadnego nieznanego lądu, ale też nigdy nie wróciłby do miejsca, z którego wyruszył.

Szerokość geograficzna obserwatora z pomia- ru wysokości Gwiazdy Polarnej była najprostszym i najstarszym sposobem określenia pozycji okrętu na otwartym morzu. Gwiazda Polarna jest tak odległa od Ziemi, że obserwator z dowolnego punktu na jej powierzchni widzi gwiazdę w tym samym kierunku (rycina 1). Obserwator na szerokości 40° zmierzył wysokość Gwiazdy Polarnej, która wynosi właśnie 40° , gdyż kąty o ramionach wzajemnie prostopa- dłych są sobie równe.

Obserwator na każdym okręcie będącym na szerokości 40° zmierzy oczywiście tę samą wyso- kość. Czterdziesty równoleżnik, będąc „wspólnym” dla tych obserwatorów, jest w nawigacji nazywa- ny astronomicznym kołem pozycyjnym. Ten rodzaj określania pozycji stosowali w starożytności Fenicja- nie, Grecy i Rzymianie, a podługowaty kształt Morza Śródziemnego podsunął żeglarzom termin „długość geograficzna”. Paradoksalnie określano jednak nie długość, lecz szerokość geograficzną.

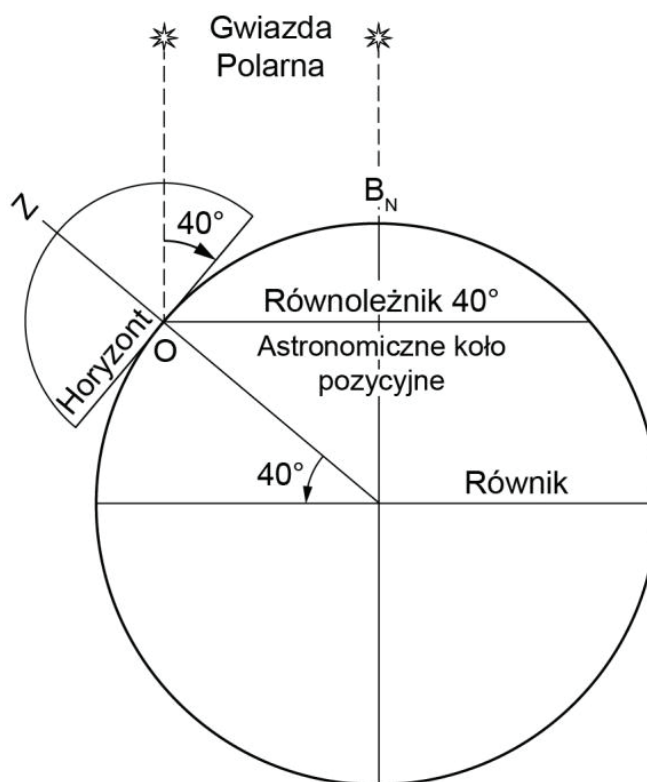
U progu wielkich odkryć geograficznych, kie- dy posuwający się w kierunku równika żeglarze portugalscy donieśli, że nie mogą obserwować już Gwiazdy Polarnej, zaczęto używać drugiego sposo- bu określania pozycji: szerokości z kulminacji Słoń- ca. Główną rolę odgrywa tu południk pozycji obser-

watora. W samo południe na nieznaną szerokość geograficzną okrętu obserwator zmierzył wysokość Słońca, która wynosi 50° . Aby obliczyć szerokość geograficzną, na której jest okręt, należy tę wysokość odjąć od kąta prostego, otrzymując 40° . I tutaj równoleżnik czterdziesty jest astronomicznym kołem pozycyjnym – wszyscy znajdujący się na nim obserwatorzy w południe okrętowe mierzą taką samą wysokość Słońca.

Niestety wszyscy ówcześni nawigatorzy borykali się z małą dokładnością pomiarów (używając astrolabium lub kwadrantu) jeszcze przez dwa wieki, do czasu wynalezienia sekstantu, czyli kątomierza lusterkowego. Drogę rozwojową kątomierzy lusterkowych zapoczątkował londyński fizyk i matematyk, członek Royal Society, Robert Hooke w roku 1666, ale nie doprowadził jej do końca, chociaż był już na dobrym tropie.

Dopiero Izaak Newton (jak głosi legenda) w noc sylwestrową 1699 roku zauważył, że panie poprawiające swoje fryzury trzymając lustro na ręczce pionowo, widziały w nim własną twarz, a jeśli odchyłały lustro o 45° widziały stiuki na suficie. Jeśli więc obserwator odchyli płaszczyznę lusterka od pionu o 45° , to obserwator zobaczy gwiazdę znajdującą się w zenicie. Gdyby lustro zamocować na osi, to jego rączka, przesuwając się po wyskalowanym łuku, wskaże nam zawsze kąt dwa razy mniejszy od wysokości gwiazdy. Podstawowym niedomaganiem takiego kątomierza jest możliwość mierzenia wysokości gwiazd znajdujących się wyłącznie za obserwatorem, przy czym gwiazdy znajdujące się nisko nad widnokreślą będzie on zasłaniał swoją głową. Niedogodność tę usunął Newton, stosując kątomierz z dwoma lusterkami taki, że można mierzyć nim wysokość ciał niebieskich znajdujących się przed obserwatorem. Opis tego wynalazku został przetrzymany w biurku do roku 1731 przez astronoma Edmunda Halleya, prezydenta londyńskiego Royal Society – a więc ponad trzydzieści lat!

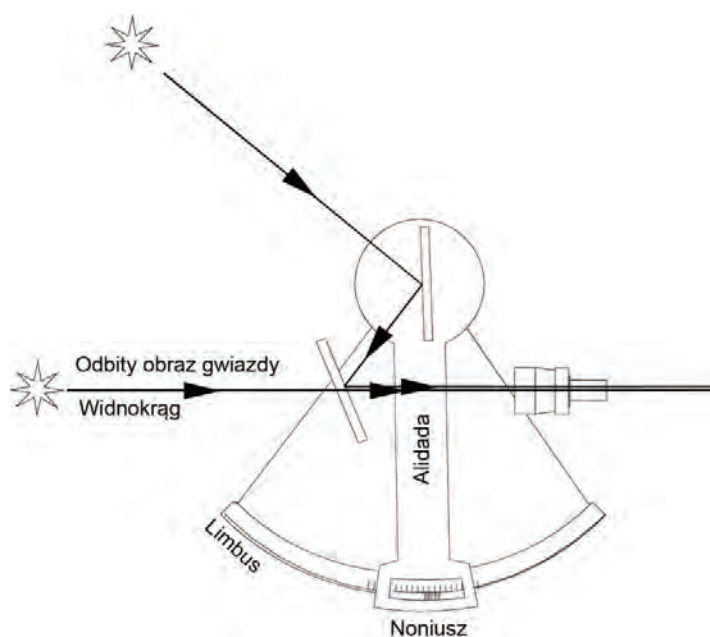
Czymże jest więc ten niezwykły instrument? Sekstant to kątomierz lusterkowy, który dzięki wysokiej dokładności i związaniu pomiaru z ostrą linią widnokreślą (zamiast trudnego do ustalenia na kołyszającym się statku pionu) do dziś skutecznie konkuruje z innymi mniej udanymi rozwiązaniami. Pamięamy z dziecinnych baśni pisanych przez mistrza Jana Brzechwę, że lis Witalis „miał lustro posrebrzane, które z tego było znane, że gdy czytał ktoś na lisa, powstawała na nim rysa”. Wypo-



Ryc. 1. Szerokość z Gwiazdy Polarnej

lerowane metalowe płytki sekstantu stały się dla nawigatorów czarodziejskimi zwierciadłami, pozwalającymi przekroczyć barierę dokładności. Lustro ma powierzchnię tak ustawioną, że pada na nią promień biegnący od gwiazdy, która znajduje się przed obserwatorem, dlatego na jego drodze musi być umieszczone jeszcze jedno lustro, aby promień odbity po raz drugi wpadł następnie do oka obserwatora. To drugie, nieruchome lustro jest dodatkowo podzielone na dwie połowy, z których jedna jest rzeczywistym lustrem, a druga przezroczystym szkłem. To chytne rozwiązanie pozwala nawigatorowi widzieć w połówce lustrzanej odbity obraz gwiazdy i równocześnie w połówce przezroczystej poziomą linię widnokreślą. Właśnie wtedy, gdy ta linia oddzielająca ciemniejszą wodę od jasnego nieba zostanie „dotknięta” przez obraz gwiazdy, rączka lusterka ruchomego wskazuje jej wysokość (rycina 2).

W rozwoju sekstantu przez długie lata używano zamocowanej na końcu alidady śruby obracanej palcami – był to więc protoplasta odczytu z wykorzystaniem mikrometru. Kiedy zamiast zwykłej śruby zamontowano bębenek z 60 minutami kątowymi na obwodzie, wówczas pełen obrót bębena przesunął po limbusie ramię z lustrem ruchomym o jeden stopień, a $1/60$ obrotu bębena to po wykreśleniu na mapie jedna mila morska, czyli



Ryc. 2. Schemat sekstantu

1852 metry. Wówczas dokładność pomiaru do minuty kątowej wyprzedzała epokę, stąd sekstantów używano przez ponad dwieście pięćdziesiąt lat i do dzisiaj były one instrumentami rezerwowymi na wypadek awarii GPS. Teraz po sztuczce Putina wróciły do łask. Pierwsze oktanty i sekstanty miały ramę z hebanu, alidadę oraz lunetki z mosiądzu, natomiast skalę na limbusie z kości słoniowej.

W XIX wieku produkowano ten typ sekstantu z wielkim pietyzmem, zaś okienko pomiarowe na końcu alidady przesuwany po limbusie działało niby suwmiarka (ryc. 3). W skrzyni przyrządu znajdowały się buteleczka z olejem kostnym oraz kluczyk do regulacji prostopadłości i równoległości lusterek. Ten ostatni drobiazg jest kluczowy dla dokładności pomiaru: lusterka winny być w pozycji zerowej alidady równoległe do siebie, zaś obydwa idealnie prostopadłe do ramy przyrządu, wówczas sekstant można porównać do fachowo przygotowanego sztucera do polowań na grubego zwierza.

Oprócz prostopadłości lusterek i błędu indeksu dla uzyskania dokładnej pozycji według pomiarów sekstantem koniecznym jest jeszcze skrupulatne poprawianie wysokości zmierzonych na rzeczywiste, zależące od czynników zewnętrznych i szczegółowo opisane w podręcznikach.

Dzisiejsze sekstanty wykonane są całkowicie ze stopów metalowych (ewentualnie najtańsze z tworzyw sztucznych). Hebanowe sekstanty są antykami pożądanymi przez muzea morskie i prywatnych kolekcjonerów. Z sekstantów mosiężnych rarytasem

są angielskie instrumenty Mercera, twórcy chronometrów okrętowych.

W obecnej dobie budowa dobrego sekstantu nie nastęrcza większych trudności, ale również pierwsze sekstanty, wykonywane technologią na poły chałupniczą, charakteryzowały się dużą precyzją. Ponieważ dokładność pomiarów i pozycji, a w dalszej konsekwencji bezpieczeństwo osobiste właściciela zależały od precyzji wykonania instrumentu, nawigator poświęcał na zakup sekstantu co najmniej dwa dni, które spędzał w warsztacie nawigacyjnym, sprawdzając gładź lusterek i wycenrowanie alidady. Najwięcej czasu zajmowało mu sprawdzenie za pomocą specjalnej lupy równomierności nacięć podziałek limbusa i noniusza, rytých w dużym zagęszczeniu na wkładce ze srebra.

Dawne warsztaty nawigacyjne mieściły się zazwyczaj nad brzegiem morza, aby żeglarz nabywający sekstant mógł widzieć z werandy linię widnokręgu, wyregulować przyrząd i zmierzyć kontrolnie wysokość Słońca. Ten przesadny – wydawałoby się – rytuał miał jednak ogromne znaczenie: sekstant stawał się dla nawigatora czymś więcej niż kusza dla strzelca czy szpada dla kawalera maltańskiego; uczył go kultury zawodowej i budził szczególne przywiązanie, ugruntowane wyłącznie posiadania i doznaniem estetycznymi, ale głównie poczucia bezpieczeństwa w żegludze oceanicznej.



Ryc. 3. Piękny i świetnie zachowany XVIII wieczny duży oktant hebanowy z grawerowaną alidadą (Muzeum Narodowe w Szczecinie). Zaginęły jedynie dwa filtry

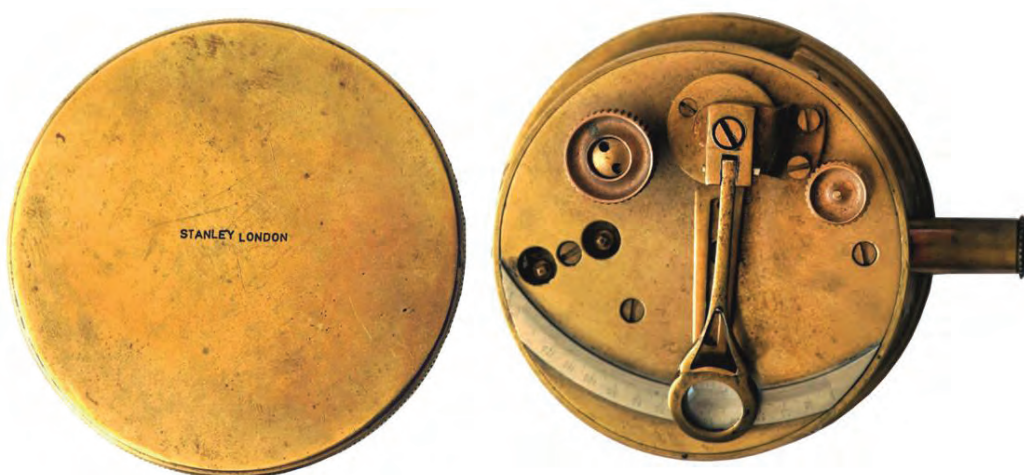
Mutacje instrumentu

W literaturze fachowej można znaleźć informacje o angielskich miniaturowych sekstantach puszkowych (średnica 3 cale, czyli ok. 8 cm), noszonych w kaburze niczym rewolwer. Jeden z najstarszych takich przyrządów posiada w swojej kolekcji właściciel hotelu „Morskie Opowieści” w Dziwnowie.

Ponieważ w wyniku dziennego obrotu Ziemi wszystkie ciała niebieskie mają swój ruch pozorny ze wschodu na zachód, pomiar sekstantem jest niczym polowanie na ruchomy cel. Obraz takiego obiektu wynurza się albo zapada w wodę widzianą przez szkło dolnego lusterka. Trzeba więc drugą ręką precyzyjnie przesuwając po limbusie alidadę z lusterkiem ruchomym, nie przerywając łukowania, wybrać moment styku z widnokręgiem i w tym samym ułamku sekundy odczytać z chronometru czas odpowiadający obserwacji. Nawigatorzy o dużej praktyce, szczególnie I oficerowie pływający na szlakach oceanicznych, są niedościgłymi mistrzami w dziedzinie nawigacji według położenia ciał niebieskich. Ich wachty dzieńne obejmują porę świtu, a nocne – porę zmierzchu, mają więc oni największe doświadczenie w robieniu pozycji z Księżyca, gwiazd i planet. Dokładne pomiary są możliwe tylko podczas zmierzchów i świtów, gdyż dobrze wtedy widać widnokrąg, ale wymagają też większej zdolności rozdzielczej oka. Obserwacje Słońca są łatwiejsze i możliwe do wykonania przez całą dzień, gdy niebo jest bezchmurne.

Współczesne sekstanty, posiadające zamiast noniusza śrubę mikrometryczną z bębniem, któ-

rego obwód podzielony jest na sześćdziesiąt działek minutowych, pozwalają po interpolacji na odczyt z błędem wynoszącym dziesięć sekund kątowych. Na pełnym morzu, nawet dla celów ratowniczych, wymagana jest dokładność określania pozycji do dwóch minut kątowych, czyli dwóch mil morskich, a więc promienia, w jakim można dostrzec człowieka na powierzchni wody za pomocą lornetki. I choć do błędów pomiaru należy jeszcze dodać błędy obliczeń, w dodatku warunki obserwacji nie zawsze przecież są idealne, to jednak sekstant ze swoją dokładnością wyprzedza zapotrzebowanie nawet dziś, kiedy odbywamy podróże w kosmos, a jego niezawodność ze względu na prostotę konstrukcji jest nieporównywalna z żadnym innym przyrządem, który służy do określania pozycji podczas żeglugi przez ocean. Po zamontowaniu do zakończenia alidady sekstantu bębniem przez ponad dwa wieki nie modernizowano instrumentu. Gdy zauroczono się GPS-em (postanowiliśmy w 1976 roku wspólnie z byłym wykładowcą astronawigacji w gdyńskiej Szkole Morskiej) zgłosić do opatentowania *sekstant nadążny*, którego lustro ruchome nadążałoby za pozornym ruchem namierzanego ciała niebieskiego. Dobrym i jedynym producentem sekstantów był w „demoludach” enerdowski Freiburger z optyką Zeissa, ale miało to miejsce po protestach „warchotów z Radomia” i Niemcy wschodni bali się „Solidarnościowej zarazy”, więc nie podjęli się produkcji. W 1987 roku Gordon B. Sigley z Queensland w Australii opatentował sekstant sprzężony z mikroprocesorem rozwiązującym trójkąty sferyczne, ale



Ryc. 4. Sekstant puszkowy Stanley'a z 1936 roku o średnicy 3 cali. Pokrywa po odkręceniu zamienia się w uchwyt dla jednej ręki, a drugą obserwator porusza alidadą, używając największego górnego lewego pokrętła. Prawe mniejsze pokrętło to kluczyk do regulacji lusterek. Należy jeszcze wysunąć lunetkę

nie znalazł nabywców. Książka niżej podpisanego *Astronawigacja wykreślna* opublikowana przez Wydawnictwo Naukowe Akademii Morskiej w Szczecinie w roku 2017 wyprzedziła o rok wybryk Putina (czego można się było spodziewać, czytając uważnie literaturę fachową). Natomiast w roku 2019 Amerykanin Eric T. Vinande opatentował sekstant sprzężony z telefonem komórkowym zawierającym rozwiązania funkcji trygonometrycznych, co było kolejną próbą uniezależnienia się od GPS.

Z kolei dwa lata później wynalazcy francuscy „Starnav” połączyli sekstant (wyposażony w bębenek mikrometryczny) z elektronicznym namiernikiem ciał niebieskich, wielkości latarki ręcznej (rycina 5). Zastosowanie małych namierników w połączeniu z sekstantem klasycznym uwolni astronawigację od zastygłego chmuru i stworzy system autonomiczny, całkowicie niezależny od wielkich mocarstw mających sztuczne satelity z niskopułapowymi orbitami obliczanymi na zaledwie kilkadziesiąt godzin. Producent oświadcza: „Rewolucyjnego następcę poprzedniego sekstantu właśnie wynaleziono. Jest realną alternatywą dla istniejącego GPS, niezależną i odporną na unieruchomienie”. Osiągalna dokładność pomiaru sekstantem to 3 mile morskie, ale należy spodziewać się wkrótce dokładności do ułamków mili.



Ryc. 5. Sekstant francuski „Starnav” jako odpowiedź na sztuczkę Putina

Niewątpliwie wynalazek jest znaczący i może być początkiem nowej ery tego sprzętu.

Oprócz wielkiej prostoty klasyczny sekstant należy do wyjątkowo taniego wyposażenia technicznego. Cena najlepszych współczesnych sekstantów osiąga około 2000 USD, zaś służący jachtomenom i studentom plastikowy kosztuje około 19 USD (rycina 6).



Ryc. 6. Sekstant „studencki” z tworzywa sztucznego „Mark III” USA

Sekstanty to tytuł książki kapitana żeglugi wielkiej Józefa Gawłowicza, pisarza marynisty, wydanej przez Morskie Centrum Nauki. Poświęcona jest urządzeniu, które przez trzy stulecia było podstawowym instrumentem nawigacyjnym, jakkolwiek w epoce GPS było przyrządem pomocniczym, używany sporadycznie. Dziś sytuacja uległa odwróceniu. Kapitan Gawłowicz w interesujący sposób opisuje dzieje sekstantu oraz przytacza wiele historii i anegdot z nim związanych. Książka jest bogato ilustrowana, uzupełniona rycinami i zdjęciami ze zbiorów autora.

Kapitan żeglugi wielkiej Józef Gawłowicz — wykładowca w Wyższej Szkole Morskiej w Szczecinie, pisarz, w latach 1963–1989 tajny kurier paryskiej „Kultury” do Polski; był także publicystą tejże „Kultury”, pisując do niej artykuły pod pseudonimami

Miłosz Michalski

Jesień z jazzem

Za nami dwudziesta druga edycja Jazz Od Nowa Festivalu (12–15 października 2022 r.) i wszystko wskazuje na to, że po ubiegłorocznym postpandemicznym przeniesieniu imprezy na jesień, zagościła ona w październikowym toruńskim kalendarzu kulturalnym na dobre.

W tym roku, podobnie jak w poprzednim, program festiwalu obsadzony był dominująco przez wykonawców polskich z wyjątkiem dwóch gości z krajów sąsiednich – niemieckiego gitarzysty Nicolii Heina i litewskiego saksofonisty Kestutisa Vaiginisa, współpracującego z formacją Piotra Schmidta.

Pierwszy wieczór festiwalowy rozpoczął się co najmniej nieszablonowym występem duetu Sławek Janicki/Nicola L. Hein, muzyków sytuujących się raczej w kategorii eksperymentu dźwiękowego niż jazzu, nawet *sensu largo*. Kontrabasista Sławek Ja-

nicki, współzałożyciel bydgoskiego Mózgu, niestrudzony animator kultury alternatywnej, od lat obecny na międzynarodowej scenie muzyki improwizowanej, znany jest toruńskiej publiczności między innymi z występu z tuwiańską wokalistką Sainkho Namtchylak podczas JONF w roku 2020. Nicola Hein sam określa się mianem artysty dźwiękowego (sound artist) i piastuje stanowisko profesora kreacji cyfrowej Akademii Muzycznej w Lubecie, prowadząc eksperymenty w zakresie zastosowań sztucznej inteligencji w oddziaływaniu człowiek–maszyna w procesach twórczych. Gitara jest w zasadzie jedynie częścią jego instrumentarium, obejmującego rozmaite obiekty przykładane do strun, elektromagnesy, wirujące tarcze, cyfrowe przetworniki, wykorzystanie samouczących się algorytmów sztucznej inteligencji itp. Wyobrażacie sobie Państwo to brzmienie? Słyszycie to? Fascynujące doświadczenie...



Piotr Schmidt International Quintet

Cierpliwość bardziej zachowawczej części widowni została jednak sowicie nagrodzona podczas drugiej części wieczoru, gdy scenę zajęła wielka (w dosłownym znaczeniu) formacja Young Power New Edition. 14-osobowy big-band flecisty Krzysztofa Popka, tym razem bez zatrzymanego przez zdarzenia losowe trębacza Józka Ziuta Gralaka, brzmiał porywająco od pierwszych taktów. Jazzrockowy projekt sięgający swoją historią lat 80., wzmocniony został przez przedstawicieli nowej generacji rodzimego jazzu (nazwa Young Power jednak zobowiązuje!), takich jak saksofonistka Marta Wajdzik, bębniarz Paweł Dobrowolski, pianista Adam Lemańczyk czy trębacz Cyprian Baszyński. Pulsujące, pełne energii, rytmicznie aranżacje starych i nowych utworów, w których usłyszeć można konglomerat stylów – funky, R&B, reggae, afro – skutecznie podniosły temperaturę na widowni.

Drugi festiwalowy wieczór rozpoczął specjalny jubileuszowy koncert nestora lżejszej odmiany polskiego jazzu, kompozytora, pianisty, saksofonisty i flecisty Włodzimierza Nahornego. Z pozoru Nahorny znany jest głównie jako autor muzyki nastrojowych polskich piosenek, takich jak np. *Jej portret* lub *Księżyc nad Kościeliskiem*. Warto jednak zaznaczyć wszechstronność jego muzycznej drogi: od jazzu tradycyjnego trójmiejskiej sceny muzycznej lat 60., przez współpracę z mainstreamowymi formacjami Kurylewicz, Ptaszyna-Wróblewskiego, Trzaskowskiego czy Janusza Muniaka, a także rockowymi (któż nie pamięta *Poszłabym za tobą* lub *Na drugim brzegu tęczy* Breakoutu z porywającymi solówkami Nahornego!), w końcu po inspiracje klasyczne, owocujące jazzowymi interpretacjami muzyki Chopina, Szymanowskiego i Karłowicza. W 1967 roku Nahorny otrzymał z rąk Duke'a Ellingtona I nagrodę indywidualną na festiwalu jazzowym w Wiedniu.

Jesienią ubiegłego roku Włodzimierz Nahorny obchodził 80. urodziny i dla uświetnienia tej rocznicy powstał projekt „Jego portret” z udziałem jubilata przy fortepianie, wybitnego gitarzysty Janusza Strobla i wokalistki Nuli Stankiewicz, znanej głównie miłośnikom poezji śpiewanej. Janusz Strobel starszej publiczności kojarzy się przede wszystkim z odnoszącym spore sukcesy w latach 70. akustycznym duetem gitarowym Alber-Strobel (wspólnie z Henrykiem Alberem), który to duet miał już wtedy na swoim koncie współpracę z Nahornym grającym na saksofonie i flecie.

Wieczór rozpoczął się nastrojowym, solowym występem Nahornego, który płynnie przeszedł

w recital skomponowanych przez jubilata piosenek do tekstów m.in. Jonasza Kofty, Agnieszki Osieckiej, Jana Wołka i Wojciecha Młynarskiego. Nie zabrakło oczywiście wizytówki jubilata, zaśpiewanej na bis piosenki *Jej portret*.

Z większym zainteresowaniem czekałem jednak na drugą odsłonę wieczoru w wykonaniu Międzynarodowego Kwintetu Piotra Schmidta, występu promującego nową płytę formacji Komeda unknown 1967. Warto poświęcić chwilę ciekawej historii nieznanych kompozycji Komedy, opisanej częściowo w książeczce płyty. W 1967 roku, na zaproszenie niemieckiego pisarza, krytyka muzycznego i wydawcy Joachima Berendta, Komeda pracował w studiach nagraniowych w Baden-Baden nad projektem „Meine Süsse Europäische Heimat” („Moja słodka europejska ojczyzna”), który w zamysle Berendta miał połączyć współczesną polską poezję z muzyką jazzową. Wśród starannie wybranych i przetłumaczonych na niemiecki utworów znalazły się m.in. wiersze Wisławy Szymborskiej, Czesława Miłosza (czyżby ktoś już wtedy przewidywał późniejszy bieg wydarzeń?), Zbigniewa Herberta, Tadeusza Różewicza, Stanisława Grochowiaka i wielu innych. Mistrzowskie tłumaczenia poezji, zamówione specjalnie na użytek projektu, wyszły spod ręki Karla Dedeciusa, nb. wielkiego przyjaciela i doktora honoris causa naszej uczelni. Oryginalne niemieckie wydanie płytowe¹ zawierało 13 kompozycji Komedy – muzyczną ilustrację 24 wierszy, recytowanych przez niemieckiego aktora Helmuta Lohnera. W nagraniu wzięły udział Komeda Quintet z Tomaszem Stańką, Zbigniewem Namysłowskim, Rune Carlssonem i Romanem Dylągiem na basie. Sam Komeda powiedział kiedyś o projekcie „Moja słodka europejska ojczyzna”, że uważa go za swoje najwybitniejsze dzieło.

Z zachowanej korespondencji Komedy z Berendtem wynikało jednak, że część powstałych w Baden-Baden kompozycji decyzją wydawcy nie znalazła się na płycie. Wydawało się, że te nieznanne utwory bezpowrotnie zaginęły. Stosunkowo niedawno odnalazły się jednak podczas kwerendy w archiwum kompozytora w Bibliotece Narodowej w Warszawie. Potem już sześć nieznanych dzieł Krzysztofa Komedy trafiło w ręce Piotra Schmidta i jego zespołu. Mieliśmy okazję wysłuchać pięciu z nich podczas

¹ Tu i ówdzie kupić można wznowienie tego krążka na płycie CD z 2012 r. z bonusowymi instrumentalnymi wersjami trzech kompozycji. To jest bez wątpienia jedna tych płyt, które warto mieć na półce.

czwartkowego wieczoru w „Od Nowie” w wykonaniu lidera zespołu grającego na trąbce, litewskiego saksofonisty Kestutisa Vaiginisa na tenorze i sopranie, Michała Barańskiego na kontrabasie, Sebastiana Kuchczyńskiego na bębnach i rewelacyjnego Pawła Tomaszewskiego przy fortepianie. Zwracam uwagę na dwa utwory: *The classic*, w którym wspaniale rozwijają się liryczne partie solowe fortepianu i saksofonu sopranowego oraz *When the light of imagination goes out*, którego autorstwo rozpoznamy bezbłędnie już z kilku początkowych taktów.

Warto zauważyć, że w nagraniu płyty Komeda unknown brał udział sekstet, z czeskim muzykiem Davidem Dorużką na gitarze. Myślę jednak, że nieobecność Dorużki w Toruniu nie przeszkodziła formacji Piotra Schmidta w bardzo udanym występie, a może nawet pozwoliła muzykom grającym – podobnie jak Komeda – w kwintecie zbliżyć się jeszcze bardziej do klimatu i ducha jego twórczości.

Miłą niespodzianką dla dawnych fanów kultowego zespołu Miłość okazał się piątkowy występ Ryszarda Tymona Tymańskiego. Tymon Tymański, onegdaj współtwórca i lider wspomnianej avant-jazzowej Miłości, znany jest także jako frontman nonkonformistycznych zespołów rockowych takich jak Kury, Trupy, Czan czy Tymon and the Transistors, kompozytor i producent muzyki filmowej (m.in. do

filmów „Sztos” czy „Wesele”), autor audycji radiowych, performer współpracujący z trójmiejskim ruchem Tot-Artu i autor książki *Sclavus* o historii tegoż ruchu. Dzięki pewnym dostrzegalnym analogiom określany bywał polskim Frankiem Zappą. Wspólnie z Jerzym Mazzałem i Tomaszem Gwincińskim wprowadził do obiegu pojęcie yass, oznaczające nowy styl muzyczny, swoisty konglomerat łączący elementy współczesnej muzyki improwizowanej, jazzu, punk rocka i folku. Oprócz modelowo yassowej Miłości, Tymański współtworzył szereg stylistycznie pokrewnych projektów, przede wszystkim NRD, Masło (wspólnie z Mikołajem Trzaską), Tymański Yass Ensemble i ostatnio Yasstet. Personalny skład Yasstetu pozostaje od kilku lat płynny, skupiając głównie trójmiejskich muzyków średniego i młodszego pokolenia. W Toruniu zespół zaprezentował się tym razem w składzie Tymon Tymański na gitarze, Michał J. Ciesielski na saksofonach, Olo Walicki na kontrabasie i Jacek Prościński na perkusji. W improwizowanym w całości występie na przemian pobrzmiewały frazy znajome np. z płyty *Jitte* (Tymański Yass Ensemble), lecz także motywy przypominające rewelacyjne, pełne energii i świeżości koncerty Miłości w toruńskim klubie „Pod Aniołem”, wzbudzając spory aplauz, zwłaszcza u starszej części festiwalowej publiczności.



Włodzimierz Nahorny

Drugim koncertem wieczoru był występ prowadzonej przez trębacza Tomasza Kudyka formacji New Bone. Członkowie zespołu to muzycy związani z Krakowską Akademią Muzyczną, konsekwentnie rozwijający formułę klasycznego kwintetu z wirtuozowskimi partiami solowymi, łączący w swojej grze szacunek dla tradycji z progresywnym, współczesnym brzmieniem. New Bone gra już od ponad 25 lat, a w obecnym składzie, pracującym wspólnie od 2014 roku, oprócz lidera występują Dominik Wania na fortepianie, Bartłomiej Prucnal na alcie, Maciej Adamczak na kontrabasie i Dawid Fortuna na perkusji. Zespół ma w swoim dorobku artystycznym sześć bardzo dobrze ocenianych płyt, zawierających głównie kompozycje Tomasza Kudyka. Program toruńskiego koncertu grupy pochodził w większości z najnowszej płyty *Longing*, dedykowanej pamięci krakowskiego trębacza Jana Kudyka – ojca lidera zespołu. Zapadają w pamięć solowe partie saksofonu i fortepianu w utworach *So confused*, *Farewell* i *Nanga Parbat*. Na szczególną uwagę zasługuje gra Dominika Wani, znanego ze współpracy m.in. z Tomaszem Stańką, Piotrem Baronem, Maciejem Obarą i Marcusem Millerem.

Trudno nie zauważyć wyjątkowo licznej reprezentacji czołówki polskiej pianistyki jazzowej w programie tegorocznego festiwalu. Oprócz występu Włodzimierza Nahornego, słuchaliśmy świetnej gry Pawła Tomaszewskiego w kwintecie Piotra Schmidta i wspomnianego przed chwilą Dominika Wani.

Kulminacją był jednak sobotni solowy występ Leszka Możdżera przy wypełnionej po brzegi Auli UMK, podczas którego artysta zaprezentował pełnię

swoich wykonawczych możliwości i wszechstronność muzycznego talentu: od znanych, lirycznych utworów z repertuaru tria Możdżer-Danielsson-Fresco, jak *Suffering*, *Incognitor* czy *Libretto*, poprzez pełne polotu interpretacje Bacha i Chopina (*Preludium*, *Etiuda cis-mol* i *Etiuda Rewolucyjna*), po wgniatające w fotel, brawurowe, wirtuozerskie wykonanie kompozycji Chicka Corei *La Fiesta*. Pojawiły się też (a jakże!) utwory Komedy – temat *Ballad for Bernd* z filmu „Nóż w wodzie” i zagrana na bis po stojącej owacji kotysanka *Sleep safe and warm* z „Rosemary’s baby”, nieodmiennie gorąco przyjmowana przez polską publiczność jazzową. Świetne zakończenie bardzo udanego tegorocznego festiwalu.

Odnotujemy jeszcze, że wisienką na torcie okazało się jazz-session, tradycyjnie odbywające się w „Od Nowie” po sobotnich finałowych koncertach festiwalowych. W tym roku mała scena należała do formacji Four Buttons grupującej absolwentów bydgoskiej Akademii Muzycznej pod kierunkiem kontrabasisty Grzegorza Nadolnego. Po emocjach koncertu w Auli spora grupa „wytrwałców” gorąco przyjęła improwizowany występ grupy, między innymi z interpretacjami utworów Milesa Davisa i Wayne’a Shortera. Wielką niespodzianką było jednak nieoczekiwane pojawienie się Leszka Możdżera przy klawiaturze. Ten wieczór zakończył się długo po północy.

Dr Miłosz Michalski — Instytut Fizyki UMK

Zdjęcia: Tomasz Dorawa



Young Power New Edition

Winicjusz Schulz

Fortepian Moździerza



Niełatwe jest życie solisty. Taka refleksja naszała mnie jeszcze przed rozpoczęciem koncertu Leszka Możdżera w auli UMK. Grasz w zespole lub chociażby z zespołem – możesz się ukryć, trochę odpuścić, artystycznie odpocząć. Ba, nawet popełnić błąd, który tylko słuchacz o wyjątkowo wrażliwym uchu wychwyci. A tu? Tylko ty i setki osób na widowni. Jesteś odpowiedzialny za każdy dźwięk i za skupienie uwagi na tym, co robisz przez dziesiątki minut. Twój sukces lub twoja porażka.

Już po kilku minutach wiedziałem, że o porażce nie będzie mowy. Zaczęło się pięknie, niemal hipnotycznie, a transowe odczucia potęgował jednostajny dźwięk metronomu pełniącego także rolę sekcji ryt-

micznej. Klimaty kolejnych utworów bywały jakże kontrastowe. Pastelowe dźwięki i ogniste pasaże.

Na użytek tego jednego koncertu wyobraziłem sobie, że Leszek Możdżer zaprosił nas na spacer po romantycznym zamczysku. Korytarze, schody, wielkie komnaty i kameralne salki. Tu dzieje się wiele radosnych rzeczy, np. trwa bal, tam z kolei, gdzieś w lochach straszy, a po wyjściu na wieżę naszym oczom ukazuje się przepiękny widok. I to wszystko „namalowane” fortepianem (czasem z dodatkami) – dziełami własnymi, jazzowymi standardami (ten cudowny Komedą), muzyką klasyczną, a nawet elektroniczną, lecz „przetłumaczoną na fortepian”, gdy zabrzmiał najstojniejszy utwór Jeana Michela

Jarre'a „Oxygene”. Ciekawe, co powiedziałby Francuz, gdyby usłyszał taką interpretację swego dzieła?

Moździerz czarował, ale i też od czasu do czasu manifestował dystans do tzw. wielkiej sztuki – tej koturnowej, z piedestału. To przecież tylko dźwięki, które należy tak, a nie inaczej zagrać, ułożyć, by ładnie brzmiały. Były nawet chwile, gdy Leszek Możdżer zachowywał się jak rasowy gwiazdor estrady, zapraszający na stand up. Dowcipkował, parafrazował wykłady z fizjologii czy muzykologii. Publiczność przyjęła to salwami śmiechu.

Leszek Możdżer to obecnie niekwestionowana wielka gwiazda polskiego... chciałoby się stwierdzić,

że jazzu (zwłaszcza, że jego koncert w auli UMK wieńczył Jazz Od Nowa Festiwal). Mam jednak wrażenie, że przypisywanie go do jednego muzycznego stylu to czynienie mu krzywdy. Wystarczy popatrzyć na jego artystyczną drogę: jassowo-awangardową Miłość jeszcze w latach 90. minionego wieku, na koncerty solowe, z orkiestrami symfonicznymi. No i nie można też zapomnieć o współpracy z legendą rocka, gitarzystą Pink Floyd – Davidem Gilmourem. Sporo tego...

Zdjęcia: Andrzej Romański



Oceaniczne uczucia

Z kapitanem Krzysztofem Baranowskim, jednym z najwybitniejszych polskich żeglarzy, morskim kapitanem jachtowym, dziennikarzem, komentatorem telewizyjnym, propagatorem żeglarstwa i krótkofalowcem, jedynym Polakiem, który dwukrotnie samotnie opłynął kulę ziemską, rozmawia Maurycy Męczekalski



– Urodził się Pan we Lwowie, później mieszkał w Mielcu, Krakowie czy Szczawnicy. W końcu trafił Pan do Wrocławia. Jak to się stało, że człowiek, który całe dzieciństwo i młodość mieszkał w tak znacznej odległości od wszelkich dużych akwenów – jezior czy mórz – zainteresował się żeglarstwem i wybrał je jako swoją drogę życiową? Skąd wzięła się ta pasja?

– We Wrocławiu mieszkałem nad rzeką i to w takim szczególnym miejscu, gdzie rzeka się rozdzielała na Wybrzeżu Wyspiańskiego, tam był taki kanał ulżeniowy i była śluza, także wodę miałem w drodze do szkoły podstawowej w jedną stronę, a w drugą stronę do szkoły średniej też miałem wodę. W dodatku mój dziadek brał mnie na kajak, wiosłowaliśmy. Wtedy zobaczyłem, że żeglarze nie muszą wiosłować, tylko siedzą i nic nie robią, a płyną (śmiech), więc poszedłem do klubu żeglarskiego, ale ten klub żeglarski był akademicki i nie chcieli mnie przyjąć. Dopiero jak wróci-

łem do nich na jesieni, to się okazało, że trzeba łódki remontować i ci żeglarze ciężko pracują na tych łódkach, a ponieważ każda para rąk była mile widziana, więc mnie tam przyjęli i tak zakotwiczyłem w Akademickim Związku Sportowym we Wrocławiu.

– Dlaczego w związku z tym studiował Pan we Wrocławiu? Dlaczego nie wybrał Pan uczelni znajdującej się bliżej morza? Istniała już wtedy szkoła morską na poziomie wyższym w Szczecinie. Mógł Pan też wybrać na przykład Politechnikę Gdańską, żeby być blisko morza?

– Ja wcale wtedy o morzu nie myślałem, chciałem mieć po prostu dobry zawód. Chciałem konstruować urządzenia radiowe i zacząłem takie konstruować w postaci radia kryształkowego.

– No tak, przecież jest Pan również znanym krótkofalowcem.

– Nie jestem znanym krótkofalowcem, tylko chciałem wykorzystać krótkofalarstwo dla potrzeb łączności w żeglarskim i to jakoś przyszło mimochodem.

O morzu specjalnie nie myślałem tylko się koncentrowałem na tej Politechnice i pływałem po rzece, a kolejną normalnych takich karier żeglarskich jest przejście z rzeki na jeziora, potem z jezior na zatoki. Ja cały czas też się ścigałem w klasach miedzowych jak Słonka czy Finn, więc byłem wtedy zawodnikiem.

Pierwsze spotkanie z morzem to były zatoki i było to jeszcze w szkole średniej. Mój klub żeglarski był bardzo nakierowany i na regaty, i na morze, miałem tam wspaniałych ludzi, którzy mnie właśnie wprowadzili. I dopiero, jak zacząłem pływać po morzu, to mnie zafascynowało, ale wcale nie zmieniło mojego nastawienia i ciągle startowałem w tych regatach śródlądowych, przez wiele lat. Jak już nawet byłem kapitanem, to też jeszcze startowałem na Finnach, a potem jakoś tak wsiąknęłam w to żeglarsko poprzez duże wyprawy jak „Śmiały” wokół Ameryki Południowej, była to w ogóle pierwsza polska wyprawa oceaniczna w latach 1965–1966.

– Zatrzymajmy się na chwilę przy rejsie „Śmiały”. Jak Pan znalazł się na tym jachcie? Jak głosi legenda, brał Pan udział w tym rejsie w charakterze kuka, czyli kucharza okrętowego. Przecież był Pan już w tamtym czasie kapitanem jachtowym. Czy chęć uczestnictwa w tej wyprawie była tak duża, że w związku z brakiem miejsc, postanowił Pan spędzić ten czas, gotując w kambuzie, byle tylko popłynąć jachtem „Śmiały”?

– Tak. Zdecydowałem się na ten rejs i nie żałuję tego, bo to była znakomita szkoła, taka próba przetrwania i to mi dało dużą lekcję pokory i wytrzymałości na późniejsze rejsy. To był rejs załogowy, a wszystkie rejsy załogowe po jakimś czasie trwania, po paru tygodniach stają się dość męczące, powstają takie „uczucia oceaniczne”, tak to nazwałem i napisałem nawet książkę. Stan tych doświadczeń prześledziłem, i rzeczywiście te emocje na rejsie nabierają ostrości, i jak ktoś kogoś nie lubi, to zaczyna nienawidzić, jak ktoś kogoś lubi zaczyna kochać, po prostu te emocje zaostwiają się.

– No właśnie. Jesteście wtedy na siebie skazani na bardzo małej przestrzeni. W takich chwilach bardzo ważna jest rola kapitana. Czy jesteście do tego przygotowani, czy uczycie się czegoś co można nazwać „psychologią rejsu”?

– Ludzie, którzy odbywają krótkie rejsy, nie mają pojęcia o tym nawet, bo rejs trwa tydzień czy dwa tygodnie, ale przy dłuższej jakiejś wyprawie to się robi bardzo istotne i wręcz niebezpieczne, ludzie się mordują, dochodzi do rękoczynów, a kapitanów nikt nie uczy „psychologii rejsu”, nikt nie wie o takich problemach, nikt nie ma świadomości, a jeśli ktoś bierze udział w długich rejsach to już tego doświadczył, tylko że najczęściej o tym chętnie się zapomina, to jakby jest przykrywane bieżącymi wrażeniami. Nikt nie chce o tym mówić specjalnie, bo to jakby obnaża tych współtowarzyszy. Bo to, że zaczęło się kogoś nienawidzić w czasie rejsu to nie jest powód do chwaleń, więc nikt się tym nie zajmuje. Ja próbowałem to prześledzić właśnie w książce *Uczucia oceaniczne*, biorąc przykład ze swojej wyprawy na „Śmiały”, ale również z innych rejsów długich, oceanicznych. Te wyprawy się czasem sypały, ludzie nie potrafili znaleźć wyjścia z takiej atmosfery, która ciągle się „zagęszczała” i to prowadziło do różnych dramatycznych wydarzeń, takich jak to, że ktoś kiedyś zastrzelił kogoś z załogi. Na przykład „Dar Przemysła” skończył na rafie na Kubie. Wydawało się, że z powodu takiego prostego błędu technicznego, że nie zorientowali się, że prąd niesie ich w stronę wyspy, ale tak naprawdę to atmosfera się na jachcie popsuła, kapitan nie opanował tego, co tam się zdarzało, ludzie się pokłócili i nie pilnowali tego, że jacht zmienił swoją pozycję. Potem tłumaczyli się, że latarnia morska się nie świeciła, i być może to była prawda, ale rzeczywiście posadzili jacht na skałach i ten jacht został rozbity. Więc te „uczucia oceaniczne” czasem przybierają formę bardzo gwałtowną i rodzącą różnego rodzaju konsekwencje.

– Wracając jeszcze do „Śmiałego”. Jako geografa interesuje mnie skład osobowy tamtej wyprawy. To był rejs pod egidą Polskiego Towarzystwa Geograficznego. Brali w niej udział między innymi profesor, ówczesny docent Tadeusz Wilgat, hydrolog z UMCS w Lublinie – jeden z moich mistrzów – oraz Tomasz Romer, wnuk legendarnego profesora Eugeniusza Romera, najbardziej chyba znanego polskiego geografa w historii. Jak Pan wspomina tych ludzi?

– Tadeusz Wilgat nie był żeglarzem i on w gruncie rzeczy nie płynął cały czas. On do nas dołączył w Chile na badania stricte naukowe, był jakby naszym promotorem i kierownikiem naukowym. Na „Śmiały” był po parę tygodni. To była znakomita postać, jego dzieło kontynuuje Krzysztof Wojciechowski,

który wówczas był młody, a teraz jest profesorem na Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej i być może ma tę samą katedrę co profesor Wilgat.

Ta załoga była zespołem wybitnych osobowości. Z Tomkiem Romerem się bardzo zaprzyjaźniłem i spotykamy się wkrótce w ramach „Bractwa Wybrzeża”. To jest organizacja, którą przywieźliśmy z Chile, gdzie nas przyjęto jako braci, a myśmy to jakby przenieśli na polską ziemię, i teraz jest tych Braci Polskich około 200. To jest ciągle aktywna organizacja międzynarodowa, która służy pomocą różnym żeglarzom w dłuższych rejsach.

– Nawiązując do wspominanych przez Pana wcześniej „uczuć oceanicznych”. Proszę opowiedzieć o okolicznościach realizacji swojego pierwszego samotnego rejsu dookoła świata, który odbył się w latach 1972–73 na jachcie „Polonez”.

– Poniekąd pojawiły się u mnie właśnie te „uczucia oceaniczne”, wyruszyłem w samotny rejs, bo miałem dość załogi. Ale w gruncie rzeczy chodziło o coś innego. Na „Śmiałym” podważaliśmy rolę kapitana, oczywiście po cichu między sobą. Uważaliśmy, że my wszystko robimy, a kapitan nie robi nic, a przecież my też jesteśmy kapitanami i wiemy, jak należy postępować. Ale kapitan musi być, i to wielokrotnie potem miałem okazję potwierdzić, że kapitan jest potrzebny, chociażby żeby mitygować te „uczucia oceaniczne”, żeby rozwiązywać problemy dyplomatyczne na pokładzie i że jest to niesłychanie ważne.

Jeżeli żeglarz chce pokazać, że jest dobrym żeglarzem, nie tylko kapitanem, ale też nawigatorem, ale też bosmanem, ale też mechanikiem czy kucharzem, to niech zrezygnuje z załogi i płynie sam, i ja tak zrobiłem. Kiedy ja zacząłem samotnie pływać na Bałtyku, to Leonid Teliga był już w drodze dookoła świata. Jako dziennikarz wspierałem wtedy jego wyczyny, nie wiedząc o tym, że kiedyś sam popłynę. Spotkaliśmy się z Teligą, jak on skończył swój dwuletni rejs, a ja skończyłem na Bałtyku rejs dwutygodniowy. To oczywiście nieporównywalna sprawa, ale telewizja gdańska wzięła nas dwóch razem i tak poznałem Teligę. Ponieważ on był bardzo bezpośrednim człowiekiem, to z łatwością nawiązaliśmy dialog, zaprosił mnie do hotelu, gdzie miałem okazję wypytać go o różne sprawy. Zacząłem od Bałtyku, ale Teliga był w takiej sytuacji, że on pracował w dyplomacji za granicą, miał pieniądze i stać go było na jacht, a ja nie miałem jachtu, więc musiałem wykombinować jakiś sposób, żeby popłynąć w taki rejs.

– Panie Kapitanie odbył Pan dwa samotne rejsy dookoła świata. Pierwszy, jak już wspominaliśmy na początku lat siedemdziesiątych XX wieku, a drugi w latach 1999–2000. Czy można jakoś je porównać? Czym się różniły, poza trasą? Na ile istotny był postęp technologiczny, na przykład w zakresie nawigacji? W końcu te rejsy dzieli prawie 30 lat.

– W nawigacji zrobiła się rewolucja, ponieważ weszły GPS-y. W swoim pierwszym rejsie ja z sekstantem codziennie „robiłem” pozycje i byłem dumny z tego, że opanowałem tę sztukę, a tu nagle nic nie jest potrzebne, wyświetla się trasa i koniec, i to była ulga.

Ten pierwszy rejs był wybitnie sportowy, wyczynowy i niebezpieczny, a ten drugi był bardzo bezpieczny, ale z kolei ja miałem 30 lat więcej, byłem już starszym panem po sześćdziesiątce. W dodatku ten jacht, który miałem, nie był przygotowany do samotnej żeglugi, bo to był jacht na 12 osób, jacht regatowy, i tam te 12 osób miało co robić, a tu ja byłem sam.

„Polonez”, na którym odbyłem pierwszy rejs, był przystosowany do samotnej żeglugi. Siedziałem z konstruktorem nad głową i dbałem o to, żeby wszystko było tak, jak ja sobie życzę. Moim pomysłem było to, że pokład był zupełnie gładki, bez żadnej nadbudówki. Bernard Moitessier twierdził, że tylko taki jacht przetrwa w tych ryczących 40-tkach, więc ja zażądałem, żeby tak było. Ale efekt był taki, że nie było wysokości stania, więc pod pokładem musiałem stać na ugiętych nogach. Było to kłopotliwe, ale ja byłem szczęśliwy, że mam taki jacht. Był on świetnie przygotowany, opływany, a jacht „Lady B.”, na którym płynąłem drugi rejs, był kompletnie nieprzygotowany, ze źle funkcjonującą elektryką, z samosterem, który nawalał, i mimo że to była łatwa trasa, to rejs był trudny, bo jacht sprawiał różnego rodzaju kłopoty, ale byłem szczęśliwy, że mogę coś takiego zrobić.

– Kolejne pytanie ma charakter żeglarsko-geograficzny. W swoim pierwszym samotnym rejsie płynął Pan wokół przylądka Horn. Czy kiedykolwiek płynął Pan przez Cieśninę Magellana, oddzielającą Ziemię Ognistą od kontynentu? To chyba jednak trudniejsze wyzwanie dla żeglarza?

– Przez Cieśninę Magellana płynąłem na „Śmiałym” i miałem pretensje do kapitana Kowalskiego, że on nie płynął wokół Hornu, co jest nobilitacją, tylko

płynię przez kanał. Ale dzięki temu widziałem coś fantastycznego, to było naprawdę wielkie przeżycie. Te widoki – dwa tysiące metrów w górę są białe szczyty, poniżej niebieskie lodowce, potem są czarne skały, na dole bujna zieleń i w niej czerwone kwiatki i to wszystko z tęczą po deszczu. Bardzo mile to wspominam.

– Pływał Pan na wielu jachtach, a nawet miał udział w powstaniu kilku z nich – „Polonez”, „Pogoria”, „Fryderyk Chopin”. Czy któryś z nich darzy Pan jakimś specjalnym uczuciem, wyjątkowymi emocjami?

– Wszystkie trzy i każdy jest inny. Najwięcej emocji było przy „Pogorii”, to było dramatyczne, ale o każdym można opowiadać historie, świadczą o tym moje książki, że zostawiam za sobą jakieś dzieło żeglarskie. Zresztą mam w planie jeszcze jeden żaglowiec, tylko jakoś są trudności, nie ma z kim rozmawiać.

– Czy płynąc samotnie miewa się chwile zwątpienia? Czy są sytuacje, kiedy żeglarz zadaje sobie pytanie „co ja właściwie tutaj robię”?

– Nie, na ogół samotny żeglarz nie przeżywa takich wątpliwości na morzu, bo wtedy jest kwestia doraźna, trzeba dopilnować, żeby przeżyć następny dzień, żeby wykonać zwrot, kiedy trzeba, coś upichcić, jest jakaś awaria, trzeba naprawiać, jest robota. Dopiero jak się przypłynie do brzegu, to wtedy przychodzą wątpliwości. Takie wątpliwości były w Australii, kiedy miałem za sobą wywrotki na Oceanie Indyjskim i częściowo uszkodzony jacht, ale w Australii ten jacht naprawiłem. Wątpliwości jednak pozostały, tak że przez Ocean Spokojny, ja się tak spieszyłem, żeby szybko mieć to za sobą, że aż pobiłem rekord świata, na tym odcinku, co się znalazło w Księdze Guinnessa. Ale ponieważ to był ciągle PRL, więc Księga Guinnessa to była wielka ściema i ja się nie odważyłem przyznać, że jestem w Księdze Guinnessa. Oczywiście później przyszły inne rekordy, ale to było 45 dni takiego rekordowego przelotu na czas. Jak wtedy płynąłem, to Kuba Jaworski w łączności radiowej meldował, że mam jakieś fantastyczne przebiegi, a ja pozwoliłem jachtowi płynąć nie fordewindem tylko baksztagiem, w jedną stronę na Tahiti, w drugą na Antarktydę i tak zyzgakiem udało się zrobić dobry czas.

– Jednym z moich ulubionych podręczników w czasie studiów geograficznych była *Historia odkryć geo-*

***graficznych*, w znakomitej większości poświęcona żeglarzom, bo to właśnie oni na przestrzeni wieków odkrywali kolejne lądy. Vasco da Gama, Ferdynand Magellan, Francis Drake, James Cook i wielu innych odkrywców było wspaniałymi żeglarzami. Którego z nich ceni Pan najbardziej? Z którym umówiłby się Pan na kolację z winem lub rumem?**

– Tak daleko w przeszłość nie będę sięgał. Ja byłem na kolacji ze swoim idolem, którym jest Robin Knox-Johnson. Zaprzyjaźniliśmy się nawet. Poznałem również takich legendarnych żeglarzy jak Bernard Moitessier, ale przede wszystkim Eric Tabarly jako regatowiec czy Alain Colas. Dwaj ostatni nieszczęśliwie skończyli na morzu. Zresztą wielu żeglarzy i wielu nawet moich znajomych zginęło i jest to nieuchronny koniec, jeśli się bardzo dużo żegluguje, ale ja wcale dużo nie żegluguje. Są to wyprawy raz na parę lat, ale jak gdzieś już popłynę, to lubię dłuższe rejsy.

– Ukończył Pan również studia dziennikarskie na Uniwersytecie Warszawskim i przez lata wykonywał Pan zawód dziennikarza. Pamiętam Krzysztofa Baranowskiego z licznych programów i audycji telewizyjnych jak „Telerańek”, „Ekran z bratkiem”, „Latający Holender”, „Bractwo żelaznej szekli”. Czy Pan w tamtych czasach czuł się gwiazdą telewizyjną?

– Nie, ja traktowałem to jako takie okolicznościowe zajęcie, nie wiązałem z tym żadnej myśli, kiedy byłem zapraszany, to po prostu przychodziłem do telewizji. Ja raczej pracowałem wówczas w prasie, a dopiero po rejsie na „Polonezie” z rodziną przeszedłem do telewizji, bo gazeta już mnie nie chciała, po prostu nie pasowałem już im ideowo, ponieważ zrobiłem coś takiego, co nie pasowało do ówczesnej rzeczywistości. Po prostu zabrałem rodzinę i płynąłem po Stanach Zjednoczonych. Nie dość, że to Stany, to jeszcze rodzina i do tego jacht, więc to była już straszna burżuazja. Natomiast telewizja pod okiem Szczepańskiego właśnie rozwijała skrzydła i Szczepański mnie wziął. Miałem wtedy swoje programy żeglarskie.

– Jest Pan osobą, która miała okazję zobaczyć i poznać wiele miejsc na całym świecie. Jakie są te ulubione, z którymi związane są jakieś szczególne wspomnienia, emocje? Gdzie najchętniej wróciłby Pan teraz?

– Chętnie bym wrócił do Chile, ponieważ jest to niezwykle kraj przez swoje zróżnicowanie od Antarktyki, od Patagonii, aż po Pustynię Atacama. Poza tym Chilijczycy bardzo przypominają mi Polaków takim narodowym charakterem i z nimi się dobrze dogaduję. Prócz tego język hiszpański bardzo mi odpowiada, jako język porozumienia, mogę w nim rozmawiać godzinami. Po prostu jest tak śpiewny. Zresztą włoski również, ale hiszpański akurat znam, więc chętnie bym wrócił do Chile.

– Na zakończenie naszej rozmowy proszę powiedzieć: jakiej muzyki Pan słucha? Czy muzyka ma dla Pana jakieś znaczenie podczas rejsu?

– Ja bez muzyki nie mogę żyć. Słucham raczej muzyki popularnej, ale bardzo lubię też na przykład Rachmaninowa. Kiedyś chodziłem namiętnie na opery, natomiast moim ulubionym kompozytorem jest Gershwin.

– A słucha Pan jazzu?

– Słucham jazzu chętnie, ale wolę raczej jazz tradycyjny, w szczególności nowoorleański dixieland. Bardzo lubię muzykę. Kiedyś zresztą chodziłem z gitarą po górach.

– Pięknie. Czyli Pan również gra. Jak Pan kapitan ocenia swój poziom gry na gitarze?

– Początkujący ciągle (śmiech). Miałem taką dziwną gitarę – właściwie lutnię, ale jak gdzieś mi zaginęła, to właściwie przestałem grać. Kiedy sobie kupiłem nową gitarę, to się okazało, że struny były tak sztywne, że miałem problemy z ich dociskaniem.

– Dziękuję za rozmowę

Współpraca: Piotr Niedlich

Zdjęcia: Tomasz Dorawa

Rozmowę przeprowadzono w Klubie „Od Nowa” przy okazji spotkania z cyklu „Wieczór Podróżnika” zorganizowanego we współpracy z Toruńskim Towarzystwem Tradycji Morskich.



Bożena Kierzkowska, Artur Wójtowicz

Historia Wydziału Teologicznego 2001–2022

W poprzednim numerze „Głosu Uczelni” opisany został Wydział Filologiczny, który symbolicznie zamyka wiek XX. Jednocześnie wraz z tym artykułem wkraczamy w XXI wiek, pisząc o najnowszej naszej wspólnej historii, nie tak bardzo odległej. I jako pierwszy – Wydział Teologiczny.

Rozpoczynając pisanie o tym wydziale, nie sposób nie cofnąć się do wieku XX. Jednostka ta trady-

cje swoje wiąże z Wydziałem Teologicznym Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, podobnie jak cały nasz Uniwersytet. Po 1945 r. inicjatywę utworzenia WT podjął ks. prof. Antoni Pawłowski (późniejszy biskup włocławski od 1951 r.), działając w porozumieniu i za zgodą rektora Ludwika Kolankowskiego. Jego zamysł spełził na niczym. Do tej inicjatywy powrócono dopiero po 50 latach, już w wolnej Polsce.

W roku 1996 w Instytucie Pedagogiki Wydziału Humanistycznego powołano nową specjalność na kierunku pedagogika – pedagogika chrześcijańska. Była to wspólna inicjatywa profesorów Andrzeja Wojciechowskiego i Aleksandra Nalaskowskiego. Już rok później, w 1997 r., powołano Zakład Edukacji Chrześcijańskiej, którego kierownikiem został ks. prof. Jerzy Bagrowicz, a adiunktem ks. dr Czesław Kustra. Czynny udział w procesie tworzenia przyszłego wydziału miał także bp Andrzej Suski, biskup toruński, który przedstawił propozycję utworzenia Wydziału Teologicznego w Toruniu na spotkaniu Konferencji Episkopatu Polski, która projekt ten poparła. Przychylność władz uczelni, wydziału i instytutu sprawiły, że ks. prof. Jerzy Bagrowicz przystąpił do kompletowania kadry pracowników nowego wydziału, mając jednocześnie zezwolenie władz uczelni. Rektor UMK, prof. Jan Kopcewicz mianował ks. prof. Jerzego Bagrowicza pełnomocnikiem ds. organizacji Wydziału Teologicznego. Bazą, na której oparta się kadra naukowa wydziału, były dwa seminaria duchowne: toruńskie i włocławskie; w późniejszym okresie, do dalszego rozwoju wydziału przyczyniło się także naukowe środowisko Wyższego Seminarium Duchownego w Pelplinie. W grudniu 2000 r. Stolica Apostolska wyraziła zgodę na podpisanie umowy między Konferencją Episkopatu Polski a Rządem Rzeczypospolitej Polskiej w sprawie utworzenia Wydziału Teologicznego na UMK.

Poczyniono przygotowania do rekrutacji studentów w roku akademickim 2001/2002, którzy w znaczącej części pochodzili z seminariów duchownych z Torunia i Włocławka. 29 maja 2001 r. została podpisana umowa między Rządem RP a Konferencją Episkopatu Polski w sprawie funkcjonowania Wy-

UNIwersYTET MIKOŁAJA KOPERNIKA W TORUNIU UCHWAŁA Nr 20 Senatu Uniwersytetu Mikołaja Kopernika z dnia 19 grudnia 2000 r. w sprawie utworzenia Wydziału Teologicznego oraz kierunku studiów „teologia” Na podstawie art. 48 ust. 1 pkt 2 ustawy z dnia 12 września 1990 r. o szkolnictwie wyższym (Dz. U. Nr 65, poz. 385 z późn. zmianami), obwieszczenia Przewodniczącego Rady Głównej Szkolnictwa Wyższego z dnia 19 grudnia 1996 r. (Dz. Urz. MEN Nr 2, poz. 7 z 1997 r. z późn. zmianami) oraz § 18 ust. 1 Statutu UMK z dnia 18 czerwca 1991 r. (z późniejszymi zmianami) S e n a t uchwala, co następuje: § 1 1. Z dniem 1 stycznia 2001 roku tworzy się Wydział Teologiczny, który rozpocznie działalność dydaktyczną i naukową z dniem 1 września 2001 r. 2. Zadaniem Wydziału Teologicznego jest tworzenie warunków dla prowadzenia działalności naukowej, dydaktycznej oraz kształcenia kadry naukowej. § 2 1. Na Wydziale Teologicznym od roku akademickiego 2001/2002 tworzy się kierunek studiów o nazwie „teologia”. 2. Na kierunku określonym w ust. 1 prowadzone będą jednolite pięcioletnie studia magisterskie systemem dziennym i zaocznym oraz trzyletnie wyższe zawodowe studia licencjackie systemem zaocznym. § 3 Strukturę, organizację, lokalizację, szczegółowe zadania oraz zmiany do Statutu UMK dotyczące Wydziału Teologicznego określi odrębna uchwała Senatu UMK. § 4 Uchwała wchodzi w życie z dniem 1 stycznia 2001 roku. Przewodniczący Senatu UMK Prof. dr hab. Jan Kopcewicz Rektor	
---	--

Wydział Teologiczny powstał 1 stycznia 2001 r. i miał rozpocząć działalność 1 września tegoż roku. Uroczysta inauguracja roku akademickiego na nim odbyła się 23 listopada 2001 r. w auli UMK.

działu Teologicznego. Zaakceptowany został także statut Wydziału Teologicznego, a funkcję Wielkiego Kanclerza Wydziału powierzono biskupowi toruńskiemu, bp Andrzejowi Suskiemu.

Nowo powstały wydział składał się pierwotnie z 10 zakładów (zarządzenie Rektora UMK z września 2001 r.). Ostateczny kształt struktury wewnętrznej Wydział Teologiczny osiągnął w listopadzie tego roku, kiedy to powstały jeszcze dwa zakłady. Całość struktury przedstawia schemat.

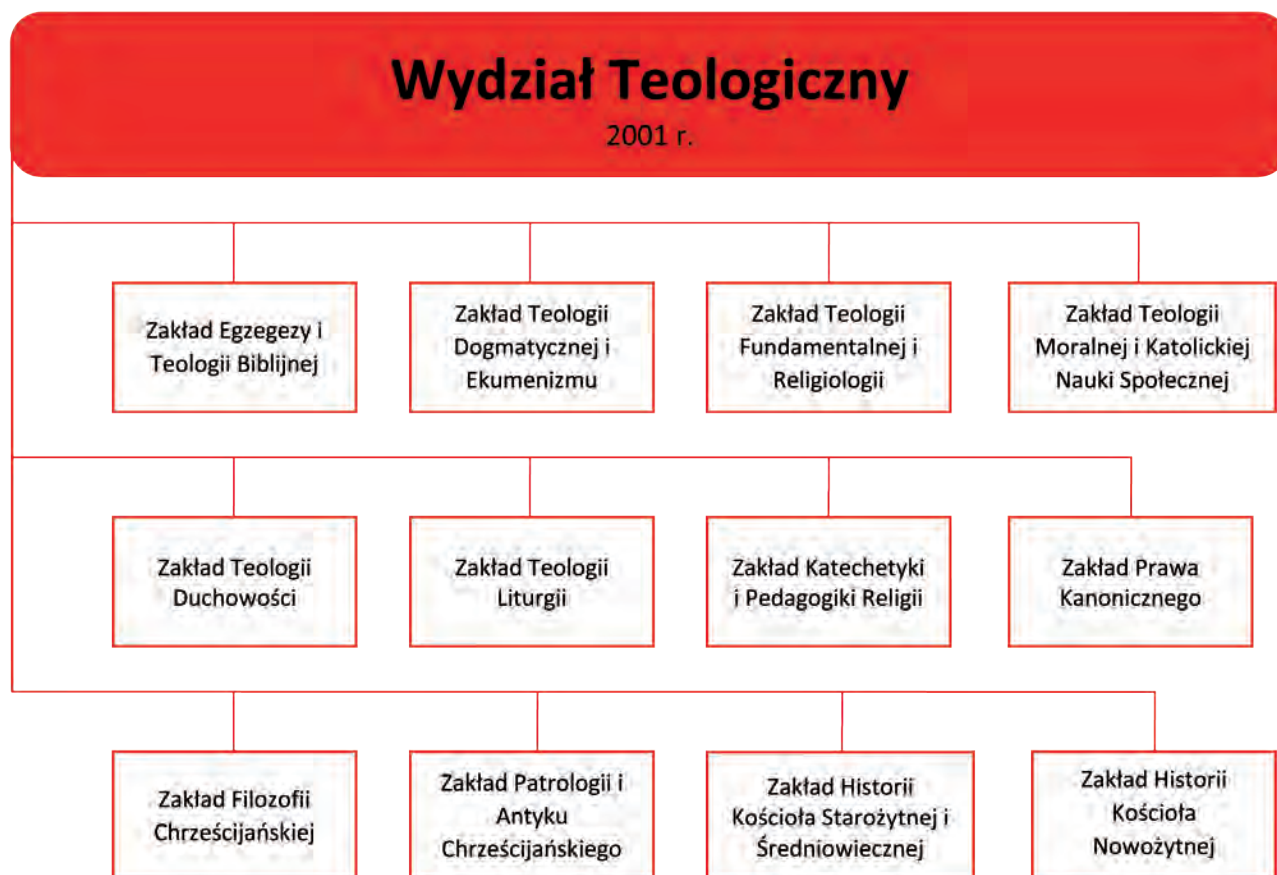
Dziekan Wydziału Teologicznego w uzgodnieniu z Wielkim Kanclerzem Wydziału ustalił skład osobowy nowo utworzonych zakładów oraz po uzgodnieniu z rektorem przydzielił im pomieszczenia wraz z wyposażeniem.

Struktura wewnętrzna Wydziału Teologicznego przechodziła nieznaczne zmiany na przestrzeni lat. W lutym 2008 r. Zakład Egzegezy i Teologii Biblijnej został zamieniony w **Katedrę Biblistyki**, która po miesiącu otrzymała strukturę wewnętrzną. Utworzono w ramach katedry 2 zakłady – Zakład Egzegezy i Teologii Starego Testamentu oraz Zakład Egzegezy i Teologii Nowego Testamentu. Oba zakłady zostały zlikwidowane we wrześniu 2014 r. W roku

2011 powstał **Zakład Pedagogiki Pastoralnej**. Znacząca zmiana nastąpiła od września 2014 r., kiedy to połączono zakłady w większe katedry. Nastąpiły wtedy następujące zmiany:



Inauguracja roku akademickiego na Wydziale Teologicznym UMK – 23 listopada 2001 r.



Struktura organizacyjna Wydziału Teologicznego – 2001 r.

- Zakład Teologii Fundamentalnej i Religiologii oraz Zakład Teologii Dogmatycznej i Ekumenizmu połączono w **Katedrę Teologii Fundamentalnej i Dogmatycznej**, w skład której wchodziły Pracownie: Szlaku św. Jakuba oraz Dokumentacji i Badań Alternatywnych Ruchów Religijnych i Parareligijnych,
- Zakład Teologii Duchowości oraz Zakład Teologii Moralnej i Katolickiej Nauki Społecznej połączono w **Katedrę Teologii Moralnej i Duchowości**,
- Zakład Katechetyki i Pedagogiki Religii oraz Zakład Teologii Liturgii połączono w **Katedrę Teologii Praktycznej**,
- Zakład Pedagogiki Pastoralnej oraz Zakład Prawa Kanonicznego połączono w **Katedrę Pedagogiki, Katolickiej Nauki Społecznej i Prawa Kanonicznego**,
- Zakład Historii Kościoła Starożytnej i Średniowiecznej, Zakład Historii Kościoła Nowożytnej oraz Zakład Patrologii i Antyku Chrześcijańskiego połączono w **Katedrę Historii Kościoła i Patrologii**.

We wrześniu 2017 r. utworzone zostały dwie pracownie, jako jednostki pomocnicze katedr. Powstała wtedy **Pracownia Przedsiębiorczości i Humanizmu**, zajmująca się etyką biznesu i teorią przedsiębiorstwa oraz **Pracownia Nowych Metod Analizy Literackiej Biblii**, zajmująca się wdrożeniem, opracowaniem metodologicznym oraz upo-

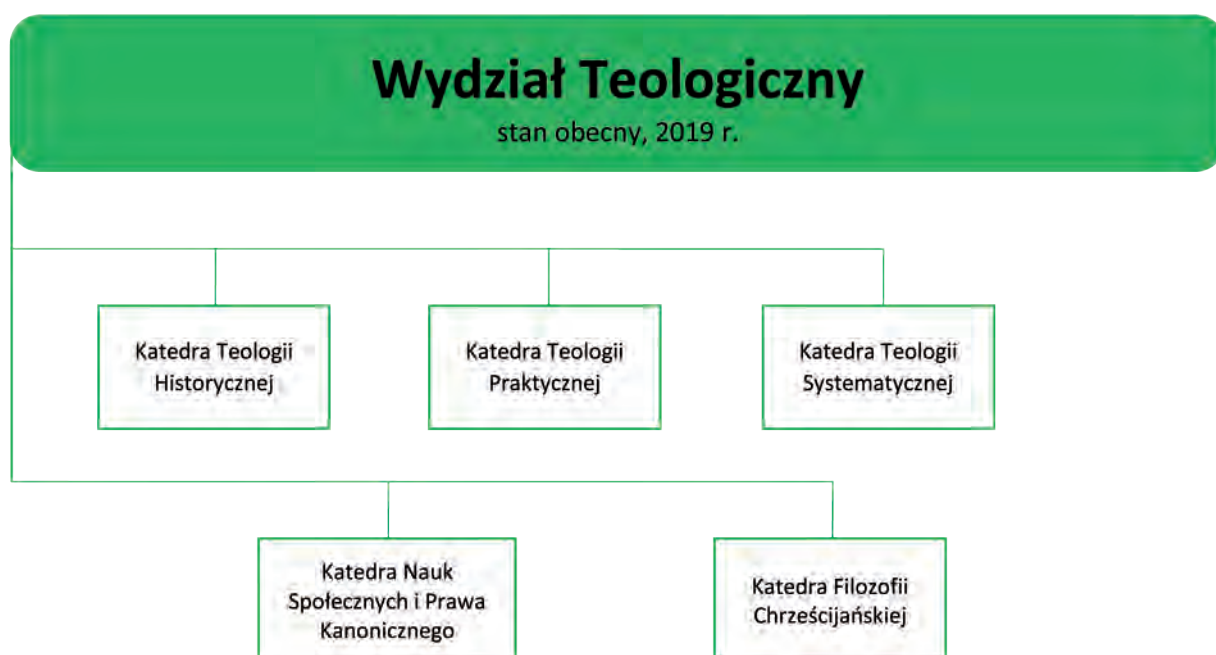
wszechnianiem nowych metod analiz literackich Biblii.

Od 1 stycznia 2019 r. zmieniono nieznacznie nazwę Katedry Pedagogiki, Katolickiej Nauki Społecznej i Prawa Kanonicznego, która otrzymała nazwę: **Katedra Nauk Społecznych i Prawa Kanonicznego**.

Ostatnie zmiany strukturalne nastąpiły w 2019 r., kiedy to ustalono nową strukturę organizacyjną wydziałów (zarządzenie nr 124 Rektora UMK z 16 września 2019 r.). Od tego czasu Wydział Teologiczny posiada organizację wewnętrzną, zobrazowaną na schemacie.

Wydział Teologiczny od początku swojej działalności prowadził studia teologiczne pięcioletnie dla osób świeckich oraz sześcioletnie dla alumnów dwóch seminariów duchownych: toruńskiego i wrocławskiego. Od roku akademickiego 2009/2010 został uruchomiony drugi kierunek studiów: nauki o rodzinie, a w roku akademickim 2015/2016 studia na kierunku: organizacja opieki nad osobą starszą (kierunek prowadzony we współpracy z Wydziałem Humanistycznym i Wydziałem Nauk o Zdrowiu Collegium Medicum; obecnie już nieistniejący). Pierwszym absolwentem Wydziału Teologicznego, który otrzymał 29 października 2002 r. dyplom o numerze 1/T, był Krystian Bótkowski.

Od początku istnienia WT są również prowadzone studia podyplomowe w zakresie teologii, a od roku 2014/2015 – studia podyplomowe w za-



Struktura organizacyjna Wydziału Teologicznego – 2022 r.

kresie bioetyki. W jednostce istnieje kilka studenckich kół naukowych: Koło Młodych Teologów, Koło Naukowe Filozofii Chrześcijańskiej. Działa także „Caritas Academica”, Toruńskie Stowarzyszenie Katolickiej Młodzieży Akademickiej, Koło Dramatyczne, Akademickie Stowarzyszenie Wolontariuszy „Dłoń i Serce”. Warto zaznaczyć, że prężnie działa i odnosi sukcesy także Chór Wydziału Teologicznego „Tibi Domine” pod kierunkiem ks. dr. Mariusza Klimka.

16 grudnia 2002 r. Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów przyznała Wydziałowi Teologicznemu uprawnienia do nadawania stopnia naukowego doktora nauk teologicznych. Pierwszą osobą, która 20 marca 2003 r. uzyskała tytuł doktora, był ks. Remigiusz Łota. Od roku akademickiego 2013/2014 Wydział prowadzi stacjonarne studia doktoranckie. 26 września 2011 r. jednostka otrzymała uprawnienia do nadawania stopnia naukowego doktora habilitowanego nauk teologicznych. Pierwszą osobą, która 18 kwietnia 2012 r. uzyskała stopień doktora habilitowanego, był ks. dr Tadeusz Lewandowski.

Organizatorem i pierwszą kierowniczką dziekanatu Wydziału Teologicznego była Hanna Osial (2001–2002). Po jej odejściu obowiązki przejęła Zofia Nółka (2002–2009), wieloletnia pracownica dziekanatu najpierw Wydziału Humanistycznego (kierownik dziekanatu WH w latach 1987–1994, zastępca kierownika w latach 1994–1999), a później Wydziału Filologicznego (zastępca kierownika dziekanatu WF w latach 1999–2002). Od 2009 r. dziekanatem kieruje Maria Janowska. Od 2004 r. w dziekanacie zatrudniona jest także Ewa Reczkowska. Wcześniej w latach 2001–2004 w dziekanacie pracowała Justyna Jezierska (obecnie pracownik dziekanatu Wydziału Humanistycznego).

W momencie powstania, siedziba tymczasowa Wydziału Teologicznego została zlokalizowana w 4 pomieszczeniach na I piętrze Akademickiej Przychodni Lekarskiej przy ul. Gagarina 39 – dwa pomieszczenia przeznaczono dla dziekanatu, a dwa pozostałe dla dziekana i prodziekanów. Pomieszczenia zakładów oraz sale wykładowe zlokalizowano w różnych budynkach Uniwersytetu, a także w seminarium w Toruniu i Włocławku. Od 1 marca 2002 r. wydział mieścił się w budynku dawnego kasyna oficerskiego przy ul. Mickiewicza 121 (dawną siedzibą Studium Wojskowego w latach 1959–1991). Budynek ten w latach 90. XX w. mieścił różne jednostki UMK – do 2000 r. był siedzibą Katedry Socjologii (od 1995 r. Instytutu Socjologii); do 2003 r. mieściła



Siedziba Wydziału Teologicznego przy ul. Mickiewicza 121

się w nim Katedra Stosunków Międzynarodowych. W tym samym czasie co Wydział Teologiczny, budynek zajmowała także Katedra Historii Sztuki, którą dopiero w 2011 r. przeniesiono do Collegium Humanisticum na Bielanych. Po wyprowadzce Wydziału Teologicznego oraz Katedry Historii Sztuki, budynek ten w całości przejął Wydział Sztuk Pięknych, który zlokalizował w niej Zakład Plastyki Intermedialnej (obecnie Katedra Intermediów).

W roku 2007 władze uczelni podjęły decyzję o remoncie dawnej stołówki akademickiej mieszczącej się przy sali gimnastycznej przy ul. Gagarina 37, aby przeznaczyć tę część budynku na nową siedzibę wydziału. Od lutego 2008 r. Wydział Teologiczny zmienił lokalizację siedziby z ul. Mickiewicza 121 na ul. Gagarina 37; przeniesiono tam dziekanat, biuro dziekana, bibliotekę, pokoje pracowników oraz sale wykładowe i aulę. W budynku od kilku lat znajduje się także biuro Toruńskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku.

W 2011 r. wyróżnienie Convallaria Copernicana otrzymał bp Andrzej Suski, biskup toruński w latach 1992–2017. Honorowe wyróżnienie *doktora honoris causa* w czerwcu 2004 r. otrzymał **papież Jan Paweł II**. Uroczyste wręczenie dyplomu odbyło się w listo-



Siedziba Wydziału Teologicznego przy ul. Gagarina 37



Jubileusz 10-lecia powstania Wydziału Teologicznego



65-lecie urodzin ks. prof. Jerzego Bagrowicza, Toruń czerwiec 2003 r.
Na zdjęciu od lewej: Maria Janowska, ks. prof. Jerzy Bagrowicz, Zofia Nolka, Justyna Jezierska

padzie tego roku w Watykanie, gdzie pojechała specjalna dziewięćdziesięcioosobowa delegacja z UMK, Torunia i województwa.

12 października 2011 r. odbyły się uroczystości 10. rocznicy powstania Wydziału Teologicznego. Z tej okazji ukazała się publikacja *10 lat w służbie Bogu i ludziom. Wydział Teologiczny Uniwersytetu Mikołaja Kopernika (2001–2011)* pod redakcją ks. Dariusza Zagórskiego i s. Katarzyny Sztylec.

Od 2003 roku wydział wydaje półrocznik (obecnie kwartalnik) „Teologia i Człowiek”. Pierwszym redaktorem naczelnym czasopisma w latach 2003–2020 był ks. prof. Krzysztof Konecki. Od 1 października 2020 r. funkcję tę pełni ks. prof. Daniel Brzeziński. Czasopismo prezentuje współczesny, światowy i krajowy dorobek naukowo-badawczy oraz ukazuje historyczne dziedzictwo nauk teologicznych, które obejmuje: teologię biblijną, patrologię, teologię dogmatyczną, teologię fundamentalną, teologię moralną, teologię duchowości, liturgikę, homiletykę, katechetykę, teologię pastoralną, historię Kościoła, a także nauki o rodzinie i zagadnienia filozoficzne. W czasopiśmie omawiane są także zagadnienia podejmujące kwestie wiary i Magisterium Kościoła, problematyki dotyczące ludzkiego życia, praw i godności człowieka, tożsamości osoby ludzkiej oraz etyki ludzkiego działania.

Wśród pracowników Wydziału Teologicznego obchodzono szereg jubileuszy. Najbardziej znaczący był jubileusz 65-lecia urodzin ks. prof. Jerzego Bagrowicza obchodzony w czerwcu 2003 r. w Sali Rady Wydziału Prawa i Administracji.

W dniach 13–14 maja 2004 r. odbyło się w Bierzgłowie Kolegium dziekanów Katolickich Wydziałów Teologicznych Europy Środkowo-Wschodniej.

Kilka lat później, w dniach 13–14 maja 2012 r., także w Toruniu, zorganizowano zjazd dziekanów Wydziałów Teologicznych polskich i słowackich, podczas którego odbyła się konferencja *Status teologii wśród innych dyscyplin naukowych*. Gościem specjalnym był ks. prof. Helmut Juros, członek Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów.

16 listopada 2018 r. podpisano umowę o współpracy pomiędzy UMK a Fundacją Watykańską Joseph Ratzinger-Benedykt XVI, reprezentowaną przez ks. Federico Lombardiego. Głównym celem umowy było ustanowienie wspólnej nagrody „Ratio et Spes”, przyznawanej za wybitną interdyscyplinarną publikację naukową lub cykl publikacji mieszczących się w corocznie określonej problematyce. Na

mocy tej umowy powstało także Centrum Naukowe Ratzingerianum – uniwersytecka jednostka podległa rektorowi, która ma za zadanie koordynować prace związane z przyznawaniem nagrody, współpracować ze wspomnianą Fundacją, upowszechniać nauczanie Josepha Ratzingera-Benedykta XVI i prowadzić badania naukowe w duchu jego teologii. Co prawda, Centrum nie jest ściśle powiązane z Wydziałem Teologicznym, ale poprzez temat zadań, badań naukowych, funkcje, adres oraz osobę dyrektora, ks. prof. Janusza Szulista, traktowane jest jako element powiązany z szeroko pojętym wydziałem.

Pierwszą nagrodę „Ratio et Spes” przyznano w roku 2020 (tematem była sztuczna inteligencja) prof. Tomaso Poggio z Center for Brains, Minds and Machines w Massachusetts Institute of Technology w USA. Nagrodę otrzymał za publikację *Theoretical Issues in Deep Networks: Approximation, Optimization and Generalization*, która jest efektem współpracy profesora z dr. Andrzejem Banburskim i mgr. Qianli Liao (także z MIT).

Drugą nagrodę „Ratio et Spes” przyznano w roku 2021 (tematem był rozwój ludzki i środowisko globalne, ang. human development and the global environment) prof. Hansowi Joachimowi Schellnhuberowi, niemieckiemu fizykowi atmosferycznemu, klimatologowi i założycielowi Potsdam-Institut für Klimafolgenforschung (PIK). Nagrodę przyznano za dorobek naukowy, który otwiera lub poszerza nowe pola badawcze wpływu globalnego ocieplenia na życie człowieka, jego zdrowie, ekonomię, społeczne skutki ocieplenia i rozumienia zagrożeń przez społeczeństwo. Trzecią nagrodę „Ratio et Spes” przyznano w roku 2022 (tematem była wartość życia i troska o zdrowie) prof. Matthew Hanley’owi. Nagrodę przyznano za publikację *Determining Death by Neurological Criteria. Current practice and Ethics*.

W 2021 r. Wydział Teologiczny świętował 20-lecie swojego istnienia. Prawdopodobnie z powodu pandemii Covid-19 uroczyste obchody nie odbyły się.

Poniżej zamieszczono wykaz dziekanów i prodziekanów Wydziału Teologicznego w latach 2001–2022:

Dziekani Wydziału Teologicznego (2001–2022):

2001–2005 – ks. prof. dr hab. Jerzy Bagrowicz
2005–2012 – ks. prof. dr hab. Jan Perszon
2012–2020 – ks. prof. dr hab. Dariusz Kotecki
2020–... – ks. prof. dr hab. Wojciech Cichosz



Kolegium Dziekanów Katolickich Wydziałów Teologicznych Europy Środkowo-Wschodniej – 2004 r.



Dyplom dla prof. Tomaso Poggio z Center for Brains – 2020 r.



Łańcuch dziekański WT



Ks. prof. dr hab. Jerzy Bagrowicz



Ks. prof. dr hab. Dariusz Kotecki



Ks. prof. dr hab. Jan Perszon



Ks. prof. dr hab. Wojciech Cichosz

Prodziekani Wydziału Teologicznego (2001–2022):

2001–2005 – dr hab. Ireneusz Mikołajczyk,
prof. UMK

2001–2005 – ks. dr hab. Mirosław Mróz

2005–2012 – ks. dr hab. Dariusz Kotecki

2005–2008 – ks. dr Roman Małecki

2008–2016 – ks. dr hab. Zbigniew Zarembski

2012–2020 – ks. dr hab. Krzysztof Krzemiński,
prof. UMK

2016–... – ks. prof. dr hab. Piotr Roszak (prodziekan ds. strategii badawczej i współpracy z zagranicą)

2020–... – ks. prof. dr hab. Janusz Szulist (prodziekan ds. studenckich i kształcenia)

Artykuł opracowano na podstawie zarządzeń, literatury i akt Wydziału Teologicznego UMK znajdujących się w zasobie Archiwum UMK oraz stron internetowych UMK; wszystkie zamieszczone w tekście zdjęcia pochodzą ze zbioru fotografii Archiwum UMK i Wydziału Teologicznego.

Bożena Kierzkowska, Artur Wójtowicz — Archiwum UMK



KAZIMIERZ WŁADYSŁAW WÓJCICKI

Twardowski. Твардовський

Niniejszy tomik zawiera legendę o czarnoksiężniku Twardowskim i jego zmaganiach z diabłem oraz nieplanowanej podróży na Księżyc

PROMOCJA CENOWA

CZYTAJ WIĘCEJ



PIOTR OLIŃSKI

Pogoda i klimat regionów południowobałtyckich od końca XIV do początków XVI w. w źródłach narracyjnych



FILIZOFIA

ALEKSANDRA DERRA

Filozofia, nauka, feminizm. Wybór tekstów



LITERATUROZNAWSTWO

MARCIN HLEBIONEK, RAFAŁ
MOCZKO (RED.)

Cztery pancerni i pies. Wokół fenomenu kulturowego



SERIA LITERACKA POZA

KAZIMIERZ WŁADYSŁAW
WÓJCICKI

Twardowski. Твардовський



NAUKI O KOMUNIKACJI I SPOŁECZNEJ MEDIACH

EWA GŁOWACKA, WERONIKA
KORTAS (RED.)

Architektura informacji. Badania i praktyka



PRAWO I ADMINISTRACJA

TOMASZ JĘDRZEJEWSKI, MARIAN
MASTERNAK, PIOTR RĄCZKA (RED.)

Aktualne problemy egzekucji administracyjnej należności pieniężnych



EKONOMIA I ZARZĄDZANIE

MAŁGORZATA JAWOREK,
WŁODZIMIERZ KARASZEŃSKI,
MAGDALENA KUĆZMARSKA,
MARCIN KUZEŁ

Bezpośrednie inwestycje zagraniczne w Republice Kazachstanu (na przykładzie aktywności inwestycyjnej polskich przedsiębiorstw)



HISTORIA WOJSKOWA

ANETA NIEWĘGŁOWSKA, ILONA
ZALESKA - OPRAĆ.

Ta wojna zmieni wszystko... Obraz i wojny światowej w literaturze wspomnieniowej kobiet. Wybór tekstów źródłowych

To Twój Głos

NAUKA • BADANIA • KULTURA

**GŁOS
UCZELNI**



kliknij do nas:
www.bilety-lotnicze.com.pl



Accredited
Agent

